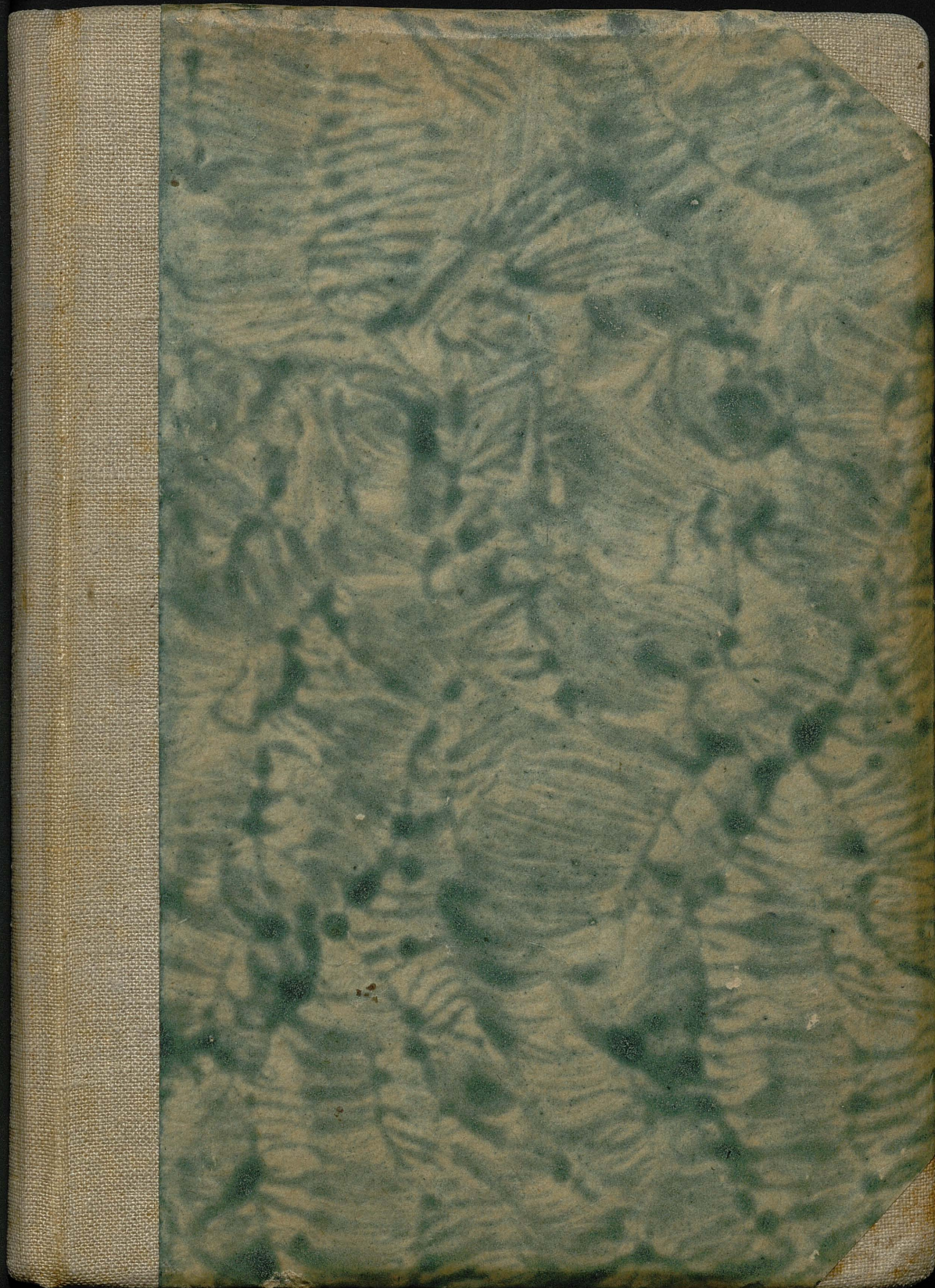






RABELAIS
GARGANTUA I PANTAGRUEL

RABELAIS

5270
GARGANTUA
I PANTAGRUEL

PRZEŁOŻYŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ
TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY)

Tom czwarty

1 9 4 9
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Okladkę projektował
J. M. SZANCER



KOMPUTER

Podpisano do druku dn. 30. X. 1949 r.
Nakład 10.000 + 350
Arkuszy 11 1/4
Papier żeb. dzieł. V kl. 61 × 86, 80 g
Wszelkie prawa zastrzeżone
Printed in Poland

Druk. 1401 Gniezno — zam. 1487/1774 5. 49 r.
K - 1718

PIĄTA I OSTATNIA KSIĘGA
HEROICZNYCH CZYNÓW I RZECZEŃ DOBREGO
PANTAGRUELA

UŁOŻONA PRZEZ
MISTRZA FRANCISZKA RABELAIS
DOKTORA MEDYCYNY

N A D P I S:

Jak to! Rabelais umarł? Oto nowa księga:
Nie, lepsza jego częśćka odżyła na nowo,
By nam, po raz ostatni, zesłać twórcze słowo,
Przez które On żywota nieśmiertelnych sięga.

Natura wypłacająca się z długu

Do łaskawych czytelników

Bibosze niestrudzone i wy, szacowne francmistrze! skoro macie nieco wolnego czasu, a ja też nie mam innej pilniejszej sprawy na głowie, zapytuję was pytając w ten oto sposób: czemu weszło teraz w użycie pospolite przysłowie: „świat nie jest już durny?“ *Durny* jest to wyraz langwedocki i znaczy niesolony, bez soli, bez smaku, mdły; przez metaforę znaczy szalony, głupi, pozbawiony mózgu, niespełna rozumu. Czy chcielibyście powiedzieć (jako w istocie można by logicznie wnioskować), że wprzód, dawniej, świat był durny, a że teraz stał się mądry? Z jakiej przyczyny i w jakim stopniu był durny? Jakich i ile warunków wymaganych było, aby go przywieść do rozumu? Dlaczego był durny? Dlaczego miałby być mądrzejszy? W czym widzicie dawniejszą durność? W czym widzicie rozum obecny? Kto go uczynił durnym? Kto go uczynił mądrym? Czy większa jest liczba tych, którym podobał się w stanie dureństwa, czy tych, którym podoba się w stanie rozumu? Ile czasu był durny? Ile czasu będzie mądry? Skąd się wzięło poprzednie szaleństwo? Skąd się wziął następny rozsądek? Dlaczego w tym czasie, a nie później, wzięło koniec dawne szaleństwo? Dlaczego w tym czasie, a nie przedtem, zaczął się obecny rozsądek? Jakie zło płynęło dla nas z poprzedniego szaleństwa? Jakie dobro nam płynęło z późniejszego rozumu? Jak zdołano uprzątnąć dawne szaleństwo? Jak zdołano wprowadzić dzisiejszy rozsądek?

Odpowiedzcie, jeśli macie wolę; innego zaklęcia nie użyję wobec Waszych Dostojności, lękając się uchybić waszej ojcowskiej powadze. Nie wstydzicie się, przyprawcie o kontuzję

Imć Kusego, nieprzyjaciela Raju, nieprzyjaciela prawdy. Odwagi, dzieci; jeśliście mi druhy, popijcie trzy albo pięć kolejek, na pierwszą część kazania, a potem odpowiedzcie na moje pytanie; jeśli zasię trzymacie z nim, a kysz, Satanas! Przysięgam wam bowiem na wielkie Huruburu, że jeżeli nie pomożecie mi do rozwiązania rzeczonoego problemu, już teraz oto żałuję, że go wam przedłożyłem. Jest to bowiem dla mnie takie utrapienie, jak gdybym wilka trzymał za uszy, bez żadnej nadziei i pomocy znikąd. Co? He? Aha, rozumiem: nie macie ochoty odpowiadać. Tedy i ja nie ruszę z miejsca, na mą brodę; przytoczę wam jeno to, co przepowiedział proroczym duchem jeden czcigodny doktor, autor książki zaintrygowanej *Dudy pralatów*. Co on powiada, ten hultaj? Słuchajcie, kuśki garbate, słuchajcie:

*W rok ten jubilo-fidrygało-górny,
Świat nasz przewidzi, ciemny wprzód i durny.*

No? słyszeliście? skapowaliście? Doktor jest starożytny, słowa lakoniczne, sentencje skotyńsko ciemne, jakkolwiek tyczą przedmiotu, który sam z siebie głęboki jest i trudny. Najlepsi wykładowcy tego dobrego ojca tłumaczą, że ponieważ rok jubileuszowy przekracza trzydziestkę, lata jego zmieszczą się w bieżącym roku tysiąc pięćset pięćdziesiątym. A zatem, skoro nadejdzie wiosna, świat nie będzie już nazywany durnym. Głupcy, których liczba jest nieskończona, jako zaświadcza Salomon, zginą od wściekliwości i wszelkie odmiany głupoty zanikną; które również są niezliczone, jako powiada Awicenna, *maniae infinitae sunt species*. Która to głupota podczas mrozów zimowych skuliła się do wnętrza, teraz zasię objawia się na powierzchni i pęcznieje sokiem jako drzewa na wiosnę. Doświadczenie nam to wykazuje, wiecie o tym, patrzycie na to. I niegdyś zbadał to wielki pocziwiec Hipokrates, *Aphorism. Verae etenim maniae*, etc. Świat zatem, zmądrzawszy, nie będzie się już obawiał kwiatu bobowego z początkiem wiosny, to znaczy (jako możecie, ze szklenicą w dłoni a ze łzą w oku, żałośliwie uwierzyć) nie

będzie zagrożony w czas postu mnogością książek, które zdają się kwietne, kwieciste i kwitnące jako piękne motylki, ale w istocie są nudne, obmierzłe, niebezpieczne, cierniste i mętne jak gryzmoły Heraklita, ciemne jak liczby Pitagorasa (który był królem bobu, świadkiem Horacy). Przepadną bowiem i już nie dostaną się do niczyjej ręki, i nikt nie będzie ich czytał ani oglądał. Takie było ich przeznaczenie i taki pisany im jest koniec.

W miejsce tych nastąpiło królestwo bobu w strączkach, to znaczy owe ucieszne, soczyste księgi pantagrueliczne, które w dzisiejszym dniu mają sławę dobrego odbytu, w oczekiwaniu roku następnego jubileuszu; cały świat rzucił się do czytania tych ksiąg, dlatego też nazwany jest roztroptym. Oto załatwiony i rozwiązany problem; nie kłopotcież sobie tym więcej głowy, dobrzy ludzie. Odkrząknijcie mi tu siarczyście raz i drugi, i pociągnijcie dziewięć łyżeków, nie odejmując — na zdrowie dobrego winka, na pohybel lichwiarzom i innej kanalii; niech się sami obwieszą. Sporo mnie będą kosztowały postronki, jeśli ten dobry czas potrwa; zobowiązuję się bowiem dostarczyć im tego towaru szczerze, bez zapłaty, ile tylko razy który zechce się obwiesić oszczędzając na zarobku kata.

Abyście tedy mieli udział w tej nadchodzącej mądrości, a stali się wyzwoleni od dawnej głupoty, wymażcie oto z tablic waszych symbol starego filozofa o złotej nodze, mocą którego zabronił wam użytku i jądania bobu. Uważajcie za rzecz prawdziwą i stwierdzoną, iż wam go zabronił w podobnej intencji, jak pewien lekarz mądrała, rodzony siostrzeniec swego wuja, zabraniał chorym skrzydelka kuropatwy, kupra pulardy i szyjki gołębia, powiadając: *ala mala, cropium dubium, collum bonum pelle remota*, zachowując te smakolyczki dla swojej gęby, a chorym zostawiając jeno kosteczki do ogryzania. Po nim przysły niejakie kapuzie pały, które zabraniają nam bobu, to znaczy ksiąg pantagruelicznych, naśladując w tym Filoksena i Gnata Sycyliczyka, starożytnych nauczycieli ich mniszej i brzusznej

rozkoszy, którzy wśród pełnej uczty, kiedy im obnoszono najsmakowitsze kąski, pluli na potrawy, aby przez obrzydzenie nikt inny prócz nich nie tknął się półmiska. Tak też owa wstrętna, parszywa, zasmarkana, zawszona czereda publicznie i prywatnie okazuje wzdargę tym smakownym księgom i pluje na nie szpetnie w swym bezwstydzie. I jakkolwiek posiadamy dziś i czytamy w naszym języku galickim wiele doskonałych pism, tak wierszem jako też i mową nie wiązaną, i niewiele już zostało zabytków z gotyckiej okapturzonej ciemnoty, postanowiłem mimo to kwakać i gęgać jako gęś (powiada przysłowie) między łabędziami, raczej niżbym wśród tylu wdzięcznych poetów i zdatnych mowców miał być zgola za miernego uważany. Wolej mi odgrywać rolę wiejskiego prostaka między tylu wymownymi aktorami tej dostojnej sceny, niżbym miał z własnej woli zostać w rzędzie tych, którzy liczą się jeno za gnuśne pospólstwo, chwytają muchy poziewając, strzygą uszami niby arkadyjski osiel przy muzyce i jeno kiwaniem głowy okazują, iż biorą udział w tym naszym ziemskim widowisku.

Powziąwszy ten wybór i postanowienie mniemałem, iż nie ściagnę na się hańby, jeśli potrząsnę nieco swoją diogeniczną beczką, abyście mi snadź nie powiedzieli, iż nie umiem sobie znaleźć przykładu.

Patrzę oto na całe mnóstwo Kolinetów, Marotów, Druetów, Sandzelesów, Salelów, Masuelsów i na długą centurię innych galickich poetów i pisarzy.

I widzę, że owi, długo namieszkawszy się na górze parnaskiej, w szkole Apollina, i napiwszy się ze źródła kabalińskiego pełnym kubkiem w towarzystwie Muz, przynoszą nam do wiekuistej fabryki naszej pospolitej mowy jeno sam marmur paryjski, alabaster, porfir, przedni cement królewski; rozprawiają jeno o samych czynach heroicznych, rzeczach wielkich, materiach stromych, poważnych i trudnych, a wszystko przy pomocy kunsztownej i ozdobnej retoryki; w pismach swych sączą jeno sam boski nektar, szacowne, smaczne, radosne wino, delikatny

i rozkoszny muszkat. A chwała ta nie ogranicza się do samych mężczyzn: i damy mają w niej udział. Między tymi jedna, zrodzona z królewskiej krwi Francji, której nie godzi się wspomnieć bez oddania wszelakiej czci, cały wiek swój wprawiała w zdumienie, tak przez niepospolite pisma i wymysły jak przez ozdobność mowy i czarodziejskiego stylu. Naśladujcie tych, jeżeli umiecie; co się mnie tyczy, nie czuję się na siłach, aby iść w ich ślady: nie każdemu jest dano mieszkać i bawić w Koryncie. Do wzniesienia świątyni Salomona każdy dostarczył sztukę złota; sypać pełnymi garściami nie każdy by uzdolnił. Skoro tedy nie jest w mej mocy tak dzielnie władać architektoniczną sztuką jak oni, gotów jestem czynić to, co czynił ów Rejnald z Montobanu, to jest posługiwać murarzom, gotować strawę dla majstrów i skoro nie mogę być ich towarzyszem, chcę być słuchaczem, wierę niestrudzoną, ich boskich i wspaniałych pism.

Ha! Strach was oblatuje, wy nieżyczliwi i zazdrośni Zoile; owo idźcie się obwiesić i sami sobie obierzcie drzewo po temu; na powrósłach wam nie zbraknie. I przysięgam tu przed swoim Helikonem, w obliczu boskich Muz, iż jeżeli mam jeszcze przed sobą wiek jednego psa i trzech wron do przeżycia w zdrowiu i czerstwości, jak go przeżył ów święty wódz żydowski, a także Ksenofil muzyk i Demonaks filozof, tedy, za pomocą niezbitych argumentów i nieodpartych racyj, dowiodę w żywe oczy wszelakim starym łataczom materii sto i tysiąc razy nicowanych, wszelakim handlarzom starego łacińskiego żelaziwa, archiwariuszom zleżałych i spleśniałych słów łacińskich, iż nasza pospolita mowa nie jest tak szpetna, nieudolna, tak uboga i godna wzdargi, jak oni mniemają. I także pokornie proszę ich o łaskę osobliwą. Kiedy niegdyś Febus rozdzielił skarby pomiędzy wielkich poetów, znalazło się przy nich wszelako miejsce i zatrudnienie dla Ezopa i jego bajki; podobnie i mnie (zważywszy, iż nie zabiegam się o wyższą rangę) niechaj zechcą bez wzdargi przyjąć za skromnego ryparografa, malarza rzeczy lada jakich, ucznia Pyrejkusowego. Przyzwolą mi to, pewien jestem, są to

bowiem wszystko tak dobrzy, łaskawi, uprzejmi i wyrozumiali ludzie, że nie można bardziej. Wówczas dopiero (słuchajcie, pijaki, słuchajcie, pedogryki), skoro ta dostojna kompania zechce się nimi ucieszyć, skoro je będzie czytać na swoich zebraniach, święcąc podniosłe misteria w nich zawarte, wówczas dopiero księgi te dojdą do szczególnej godności i reputacji, jako w podobnym wypadku uczynił Aleksander Wielki z księgami znamienitej filozofii ułożonymi przez Arystotelesa.

Hej, hej! brzuch przy brzuchu, hej, co za picie dopieroż, co za wyzerka! Dlatego, pijaki, ostrzegam was zawczasu i w sposobnej godzinie: poczyńcie dobre zapasy tych ksiąg, póki ich starczy po sklepach księgarzy. I nie tylko łuskajcie je z wierzchu, ale pożerajcie jako kordialny specyfik i wchłaniajcie w siebie; wówczas poznacie, ile dobrego się w nich mieści dla wszystkich wdzięcznych obłuskiwaczy hobbu. Teraz oto przynoszę wam piękny i luby koszyczek, zerwany w tym samym ogrodzie co poprzedzające, błagając was z winnym uszanowaniem, abyście przyjęli ten dar łaskawym sercem, oczekując czegoś godniejszego z następnym powrotem jaskółek.

I. Jako Pantagruel przybył do Wyspy Dzwonnej i jakiś tam hałas usłyszeli

Jadąc dalej swoją drogą, żeglowaliśmy trzy dni nie widząc nic zgola; czwartego ujrzelśmy ziemię, a pilot objaśnił nas, że to jest Wyspa Dzwonna. Jakoż usłyszeliśmy płynący z daleka dźwięk, powtarzający się i uporczywy; i zdało się naszym uszom, jakoby to były duże, małe i pośrednie dzwony dzwoniące razem, jak to bywa w Paryżu, Turze, Żerdzi, Nancie i indziej, w dniu uroczystego święta. Im bardziej zbliżaliśmy się, tym bardziej wzmagało się owo dzwonicie.

Przypuszczaliśmy, że to może Dodona ze swymi kociołkami albo portyk, tak zwany Heptafona, w Olimpii, albo też nieustający dźwięk owego kolosa wznoszącego się na grobowcu

Memnona w Tebach egipskich, albo też szczękanie, które niegdyś słyszano wpodłe grobowca na Liparze, jednej z wysp eolidzkich; ale chorografia nie zgadzała się z tym.

— Podejrzewam — rzekł Pantagruel — że to snadź rój pszczoł zerwał się w powietrze i że dla zwabienia go z powrotem całe sąsiedztwo czyni tu ów hałas garnków, kotłów, patelni, korybańskich cymbałów Cybeli, wielkiej matki bogów. Słuchajmy.

Przysunawszy się bliżej, usłyszeliśmy wśród nieustannego dźwięku dzwonów niezmordowany śpiew przebywających tam ludzi; przynajmniej tak się nam zdawało. Dlatego też, nim przybiliśmy do Wyspy Dzwonnej, za radą Pantagruela wylądowaliśmy na szalupie koło małej skałki, w pobliżu której ujrzelśmy odludny domek i ogródek.

Tam znaleźliśmy pocziwego pustelnika imieniem Pludrian, rodem z Głędzia, który nam dał całkowite wytłumaczenie tego dzwonicia i uczcił nas w osobliwy sposób. Kazał nam cztery dni pościć twierdząc, że inaczej nie przyjmą nas na Wyspie Dzwonnej, bowiem wówczas był post Czterech Czasów.

— Nie rozumiem zgola — rzekł Panurg — tej zagadki: to byłby raczej czas Czterech Wiatrów, poszcząc bowiem będziemy nadziani jeno wiatrem. Jakże to? nie macie tu lepszej rozrywki niż post? To mi się widzi bardzo chuda rozrywka; obeszlibyśmy się chętnie bez tych wszystkich świąt żywotnych.

— W moim Donacie — rzekł brat Jan — znajduję jeno trzy czasy: przeszły, teraźniejszy i przyszły; ten czwarty musi być snadź na piwo dla pacholka.

— To jest — rzekł Epistemon — *aoristus*, pochodzący od przeszłego bardzo lichu dokonanego czasu Greków i Łacinników, w czasie pyskatym i pstrokatym ubiegłym. Ale cierpliwości, powiadają trędowaci.

— To, co wam tu mówię — rzekł pustelnik — jest rzecz zgola niezbita i niewzruszona; kto się sprzeciwia, ten jest heretyk i wart jedynie ognia.

— Ślicznie mówicie, ojczulku — rzekł Panurg; — będąc na morzu o wiele więcej obawiam się zmoknąć niż oparzyć; więcej utopić się niż spłonąć.

Dobrze, pośmemy tedy w imię boskie; ale ja już się tak długo napaściłem, że posty mi podgryzły całe mięsiwo przy kości, i obawiam się bardzo, że w końcu bastiony mego cielska pójdą w rozsypkę.

Jeszcze o co innego się boję, to jest, abym wam nie obmierzał z moim poszczeniem, nie rozumiem się bowiem na tym i bardzo mi z nim nie do twarzy, jak wielu mi mówiło; i chętnie wierzę. Co do mnie, powiadam, niewiele dbam o post; nie masz nic łatwiejszego i tańszego; o wiele bardziej troskam się o to, aby nie pościć na zapas, w tym celu bowiem trzeba zawczasu się krzątać, co by posłać do młyna i włożyć do garnka. Pośmemy, w imię boskie, skorośmy trafili na te ferie głodowe; już dawno nie miałem z nimi do czynienia.

— Jeżeli więc trzeba pościć — rzekł Pantagruel — nie ma innej rady, jeno trza nam się z tym szybko uporać, niby z kawałkiem złej drogi. Chciałbym także trochę przepatrzyć swoje papiery i zbadać, czy studia równie dobrze szły mi na morzu co na lądzie, ile że Platon, chcąc opisać człowieka głupiego, nierozgarniętego i nieuka, przyrównuje go do ludzi chowanych na morzu w okręcie, jakobyśmy rzekli: chowanych w beczce, którzy świata przyglądali się jeno przez dziurkę.

Posty nasze były bardzo straszne i przeraźliwe, pierwszego bowiem dnia pościliśmy do stu czartów, drugiego do czarnego diaska, trzeciego do ciężkiej cholery, czwartego do usranej śmierci. Takie było rozkazanie wrózek.

II. Jako Wyspę Dzwonną zamieszkiwali Grajkowie Pogrzebni, którzy zmienili się w ptaki

Skorośmy ukończyli swoje posty, pustelnik dał nam list zaadresowany do niejakiego, jak go nazywał, Albiana Kamara,

Odźwiernika Wyspy Dzwonnej; ale Panurg witając go nazwał go mistrzem Obdziernikiem. Był to sobie nieduży stary człeczyna, łysy, z dobrze świecąią gębą i karmazynowymi policzkami. Przyjął nas bardzo dobrze na skutek polecenia pustelnika i oświadczeń naszych, iż odprawiliśmy posty, jak były nakazane. Ugościwszy nas dostatnio, pouczył nas o osobliwościach wyspy twierdząc, iż pierwotnie zamieszkiwali ją Sytycynowie, czyli Grajkowie Pogrzebni, ale że ci, wedle biegu natury (jako że wszystkie rzeczy podlegają zmianom), przemienili się w ptaki.

Tam pojąłem jasno to, co Atejus Capito, Paulus, Marcellus, A. Gellius, Atheneus, Suidas, Ammonius i inni napisali byli o Sytycjanach i Sytycynistach; i nie trudnym zdało mi się uwierzyć w przeobrażenia Nyktimeny, Prokne, Itys, Alkmeny, Antygony, Tereusza i innych ptaków. Również przestaliśmy wątpić w przemianę dzieci Matabruny w łabędzie i w metamorfozę mieszkańców Paleny w Tracji, którzy skoro tylko dziewięć razy wykapiają się w bagnie Trytona, zaraz zmieniają się w ptaki. Odtąd o niczym innym nam już nie mówił, jeno o klatkach i ptakach.

Klatki były duże, bogate, wspaniałe i zbudowane przedziwną architekturą. Ptaki były duże, piękne i bardzo łaskawe; wielce podobne do ludzi z mego kraju: piły i jadły jak ludzie, bejały jak ludzie, łykały jak ludzie, pierdziały, spały i parzyły się jak ludzie; po prostu, widząc ich, na pierwszy rzut oka rzekłbyś, iż to są ludzie; nie byli nimi wszelako wedle objaśnienia mistrza Odźwiernika, który nam uręczał, iż nie mają w sobie nic świeckiego ani zgoła ziemskiego. Także zastanawiało nas ich upierzenie: jedne były całe białe, drugie całe czarne, inne czerwone, inne półbiałe półniebieskie; uciecha była na nich patrzeć. Samców nazywał Klerykosy, Mnigusy, Kapłanosy, Opatosy, Biskopsy, Kardynangi i wreszcie Papagos, który jest jedyny swego rodzaju. Samice nazywał Klerykoski, Mniszczeczki, Kapłanice, Opacice, Biskopice, Kardynalwice, Papagoski. Rzekł nam wszelako, iż tak samo jak między pszczołami uwijają się szerszenie, które nie nie robią, tylko jedzą i psują wszystko,

tak samo od trzystu lat, niewiadomym sposobem, między te wesołe ptaki zlatuje się co piąty miesiąc wielka chmara burzych Kapuzów, które opaskudziły i ofajdały całą wyspę; a tak są wstrętne i omierzałe, że wszystko od nich ucieka. Wszystkie bowiem mają wykręcone szyje, kosmate łapy, pazury i brzuchy jak Harpije, a zadki jak ptaki Stymphalidzkie, i nie ma sposobu ich wytępić: na jednego ubitego zjawia się wraz dwadzieścia cztery innych. I życzyłbym tam jakiego drugiego Herkulesa, brat Jan bowiem stracił zmysły od gwałtownej kontemplacji, Pantagruelowi zaś trafiło się to, co zdarzyło się imć Priapowi poglądającemu na uroczystości Cerery: nie stało mu skóry na okrycie.

III. Jako na Wyspie Dzwonnej jest tylko jeden Papagos

Za czym spytaliśmy mistrza Odźwiernika, czemu (zważywszy ogromną mnożność tych czcigodnych ptaków wszelakiego rodzaju) jest tylko jeden Papagos. Odparł, iż taki jest pierwotny porządek i nieodmienny wyrok gwiazd: że z Klerykosów poczynają się Kapłanosy i Monachosy bez obcowania cielesnego, jako pszczoły lęgną się ze ścierwa młodego byka pogrzebanego wedle nauki i poleceń Aristeusa. Z Kapłanosów rodzą się Biskopsy, z tych nadobne Kardynangi; Kardynangi zaś, o ile śmierć ich w tym nie ubieży, kończą w postaci Papagosa, który niezmiennie jest tylko jeden, jako w roju pszczół jest tylko jedna królowa i na niebie jedno słońce. Skoro ten umrze, rodzi się z kolei, z całego plemienia Kardynangów, inny na jego miejsce; rozumie się, ciągle bez cielesnego obcowania. Dzięki temu istnieje w tym rodzaju jedność indywidualna, z ciągłością następstwa, ni mniej, ni więcej jak u feniksa w Arabii. Prawda, iż około dwa tysiące siedemset sześćdziesiąt księżyców temu zdarzyło się, że natura wydała dwóch Papagosów; ale też była to największa klęska, jaką kiedykolwiek widziano na wyspie.

— Albowiem — powiadał Odźwiernik — wszystkie ptaki zaczęły się tępić między sobą i obdzierały się przez ten czas tak

sumiennie ze skóry, iż groziło wyspie zupełne wyludnienie. Część wyznawała jednego i obstawała za nim, część drugiego i tego znów broniła; część znowu była niema jak ryby i wcale nie śpiewała. Część dzwonów na tej wyspie, jakoby wyklęta, nie dzwoniła. Podczas tej burzliwej epoki przyzywali na pomoc cesarzy, królów, książąt, margrabiów, monarchów, hrabiów i baronów, i wszystkie mocarstwa świata istniejące na kontynencie i ziemi stałej i nie miało końca to rozszczepienie i te rozruchy, póki jeden z nich nie rozstał się z życiem, a mnogość nie wróciła do jedności.

Spytaliśmy następnie, co pobudzało te ptaki tak nieustannie do śpiewu. Odźwiernik odpowiedział, że właśnie te dzwony zawieszono nad klatkami. Potem rzekł:

— Chcecie, abym teraz pobudził Mnigusów, których widzicie tam wciśniętych między beczki hipokrasu, aby śpiewali jako jaskółki.

— Jeśli łaska — odparliśmy.

Wówczas uderzył w dzwon, nie więcej niż sześć razy; wraz zbiegły się Mnigusy i poczęły śpiewać.

— A gdybym — rzekł Panurg — ja zadzwonił w ten dzwon, czy również pobudziłbym do śpiewu ot, te tu, z pierzem koloru wędzonego śledzia?

— Tak samo — odparł Odźwiernik.

Panurg zadzwonił i wraz zbiegły się te zakopcone ptaszyska i jęły śpiewać chórem, ale miały głosy chrypliwe i nieprzyjemne. Tedy objaśnił nas Odźwiernik, że one żyją samymi jeno rybami, jako u nas czaple i kormorany, i że to jest piąta świeżo ustanowiona odmiana Kapuzów. Dodał jeszcze, iż ma wiadomość przez Roberta Walbryka (który tamtędy niedawno przeprzeżdżał wracając z ziemi afrykańskiej), że niebawem przyfrunie tam szósta odmiana, którą nazywał Kapucyngami, bardziej jeszcze ponura, opętana i obmierzła niż jakikolwiek inny gatunek na wyspie.

— Afryka — rzekł Pantagruel — zwyczajna jest wydawać zawsze jakieś nowe i poczarne rzeczy.

IV. Jako ptaki Wyspy Dzwonnej były wszystkie wędrownej natury

— Ale — rzekł Pantagruel — wobec tego, co mówiłeś, że z Kardynangów rodzi się Papagos, a Kardynangi z Biskopsów, a Biskopsy z Kapłanosów, a Kapłanosy z Klerykosów, chciałbym bardzo wiedzieć, skąd biorą się owe Klerykosy.

— Są to — rzekł Odźwiernik — wszystko ptaki przelotne, przychodzą do nas z drugiego świata; częścią z bardzo rozległej krainy, którą nazywają *Dzień-bez-chleba*, częścią z innej, położonej ku zachodowi, którą nazywają *Za-wiele-was-tu*. Z tych dwóch okolic ciągną do nas corocznie gromadami Klerykosy, opuszczając ojca i matkę, przyjaciół i krewnych. Obyczaj jest taki, że gdy w jakim szlachetnym domu za dużo jest dzieci, bądź płci męskiej, bądź żeńskiej, tak iż gdyby podzielono między wszystkie ojcowiznę (wedle prawideł rozumu, pomyslenia przyrody i nakazu boskiego), dom poszedłby w rozsypkę, wówczas rodzice pozbywają się części potomstwa na tę Wyspę Garbatą.

— Jak ją znów zowiecie? — spytał Panurg.

— Powiadam Garbatą — odparł Odźwiernik — zwyczajnie są to bowiem garbusy, jednoocy, kulawi, mańkuci, skrofuliki, kaleki i niewydarzeńcy: nieużyteczny ciężar ziemi.

— To jest — rzekł Pantagruel — obyczaj zgoła odwrotny do zwyczajów niegdyś przestrzeganych przy przyjmowaniu dzieci westalskich. Albowiem, jako zaświadcza Labeo Antistius, zabronione było wybierać do tej godności żadnej z dziewcząt, która by miała jakąkolwiek skazę na duszy albo upośledzenie zmysłów, albo wadę cielesną, choćby najbardziej tajemną i nieznaczną.

— Dziwię się — ciągnął Odźwiernik — że matki w tym kraju noszą swe dziatki przez dziewięć miesięcy w żywocie, zważywszy, iż w domu nie mogą ich ścierpieć i chować ani przez dziewięć lat, najczęściej zgoła ani przez siedem. Co rychlej kładą im koszulkę na suknię, obcinają im na czubku co nieco włosów

wymawiając słowa jakoby ślubów i ekspiacyj (tak jak u Egipcjan za pomocą obleczenia w płótna i wygolenia głowy czyniono kapłanów Izdy) i publicznie, jawnie, oczywiście, za pomocą pitagorejskiej metempsychozy, bez żadnego uszkodzenia ani rany, czynią z nich takie ptaki, jak je tu oto widzicie. Nie wiem wszelako, mili przyjaciele, co to być może ani czym się to dzieje, iż samiczki, czy to Klerykoski, Mniszczki, czy Opatki, nie śpiewają żadnych uciesznych motetów ani charysteriów (jako był zwyczaj czynić na cześć Oromasisa, wedle zakonu Zoroastra), ale same lamentacje i gorzkie żale, jakimi czczono arymańskiego demona; i wszystkie, tak młode jak stare, zanoszą ustawiczne modły za swych rodziców i krewnych, którzy pozamieniali je w ptaki.

Większa jeszcze liczba przybywa nam z *Dnia-bez-chleba*, który jest nadzwyczaj długi. Asaphisowie bowiem, zamieszkujący ową okolicę, kiedy są w niebezpieczeństwie głodu i nie mają co do ust włożyć, a nie umieją i nie chcą nic robić ani pracować w uczciwej sztuce lub rzemiośle, ani też spełniać wiernie służby przy jakich godnych ludziach; ci także, którym się nie poszczęściło w miłości, którzy doznali zawodu w przedsięwzięciach i popadli w rozpacz; i ci, którzy popełnili jakąś niegodziwość i zbrodnię i zagrożeni są haniebną śmiercią, wszyscy przylatują tutaj. Tutaj mają zapewnione życie i często z chudych jak tyki stają się tłuści jak polcie sadła. Tutaj zażywają zupełnego bezpieczeństwa, bezkarności i swobody.

— Ale — zapytał Pantagruel — skoro te piękne ptaki raz tu przylecą, czy wracają kiedy w okolice, w których się wylęgły?

— Niektóre — odparł Odźwiernik; — dawniej wszelako było takich niewiele i czyniły to bardzo późno i niechętnie. Od czasu pewnych kataklizmów odleciała ich wielka chmara, z przyczyny konstelacji niebieskich. To nas nic nie zasmuca: te, które zostaną, mają za to tym tłustszą wyżerkę. I wszystkie, nim odlecają, zostawiają upierzenie pośród tych ostów a pokrzyw.

Istotnie znaleźliśmy tam kilka garści pierza, a szukając głębiej trafiliśmy na spory garnczek sadła.

V. Jako ptaki Komdory na Wyspie Dzwonnej są nieme

Jeszcze nie dokończył tych słów, kiedy przeleciało koło nas z jakie dwadzieścia pięć albo trzydzieści ptaków o kolorze i upierzeniu, jakich dotąd nie widzieliśmy na wyspie. Pióra ich mieniły się co chwilę jako skóra kameleona i jako kwiat trylionu albo teukrionu. I wszystkie miały nad lewym skrzydłem znak jakoby dwóch średnic krzyżujących się w kole albo też linii pionowej padającej prostopadle na drugą. U wszystkich był ów znak prawie tego samego kształtu, ale nie u wszystkich jednego koloru: u jednych był biały, u drugich zielony, u innych czerwony, u innych fioletowy, u innych niebieski.

— Co to są — spytał Panurg — za ptaki i jak je nazywacie?

— To są — odparł Odźwiernik — metysi. Nazywamy je Komdory; mają one wiele sutych Komdorii w naszym świecie.

— Proszę — rzekłem — każcie im trochę śpiewać, abyśmy usłyszeli ich głos.

— Nie śpiewają — odparł — nigdy; ale za to dla kompensaty żrą podwójnie.

— A gdzie — spytałem — samiczki?

— Nie ma — odparł.

— Skąd się tedy bierze — spytał Panurg — że są cali owrzodziali i stoczeni srogą francą?

— Jest ona — rzekł — wrodzona temu gatunkowi ptaków, z przyczyny wilgoci morza, na którym czasem przebywają.

Potem rzekł: — Przyfrunęły tutaj, aby się przekonać czy nie rozpoznają wśród was pewnej wspaniałej odmiany gotów, straszliwych ptaków drapieżnych, nie przychodzących wszelako do przynęty i nieposłusznych rękawicze sokolnika. Mówią, iż owe ptaki przebywają w waszym świecie. Z tych jedne noszą na łapach wstęgi bardzo piękne i kosztowne, z napisem na ob-

rączce, iż ktokolwiek źle o tym pomyśli, będzie natychmiast, z najwyższego wyroku, ofajdany; inne na przedzie swego upierzenia noszą trofeum Ducha potwarzy, inne runo baranie.

— Mistrzu Odźwierniku — rzekł Panurg — to wszystko być może, ale my takich wcale nie znamy.

— Ale — rzekł Odźwiernik — dość już tej gawędy, chodźmy popić.

— A pojeść nie? — spytał Panurg.

— Pojeść, to się rozumie — rzekł Odźwiernik — i takóž dobrze popić; trochę jedno, trochę drugie, na przemian. Nie masz nic kosztowniejszego jak czas; użyjmyż go tedy do zacnych uczynków.

Chciał nas wpierw zaprowadzić do kąpieli, do łazienek Kardynangów, bardzo pięknych i rozkosznych, gdzie po wyjściu z łaźni mieli nas aliptowie namaścić cennym balsamem. Ale Pantagruel rzekł, iż ma aż nadto pragnienie bez tego. Za czym Odźwiernik zaprowadził nas do dużego i rozkosznego refektarza i rzekł:

— Wiem, że pustelnik Pludrian kazał wam pościć cztery dni; owóž teraz, na odwrót, musicie przetrwać cztery dni nie ustając w jedzeniu i piciu.

— Ale przespać się będzie nam wolno?

— Ile tylko chcecie — odparł Odźwiernik — kto bowiem śpi, pije.

— Ej, Bożež ty miłosierny, co tam było za używanie. O, zacny, luby pocziwina!

VI. Jak odbywa się żywienie ptaków na Wyspie Dzwonnej

Wszelako Pantagreul zdawał się czegoś markotny i jakby niekontent z tego czterodniowego postoju, jaki nazmacył nam Odźwiernik. Spostrzegł to nasz gospodarz i rzekł:

— Panie, wszak wiecie, iż na siedem dni przed mgłą i siedem dni po mgle nigdy nie trafia się na morzu burza. A dzieje się to dla miłości, jaką mają żywioły ku zimorodkom, ptakom poświęconym Tetydzie, które wówczas niosą się i wysiadują jajka na wybrzeżu. Tutaj znowuż morze mści się za swój długi spokój i cztery dni sroży się jak wszyscy diabli, ilekroć zawitają k'nam podróżni. Sądźmy, iż myśl przyrody jest taka, aby przez ten czas goście zmuszeni byli tutaj zostać i pozwolili się hojnie ugościć z naszych podzwonnych dochodów. Dlatego nie uważajcie tego czasu za gnuśnie zmarnowany. Żywa konieczność was tu zatrzyma, jeżeli nie chcecie walczyć z Junoną, Neptunem, Dorydą, Eolem i wszystkimi Wejonami. Myście zatem jeno, jak ten czas wesoło spędzić.

Po pierwszej zakąsce brat Jan spytał mistrza Odźwiernika:

— Widzę na tej wyspie jedynie same klatki i ptaki. Nie pracują, nie uprawiają roli. Całe ich zatrudnienie to weselić się, gaworzyć i śpiewać. Z jakiejż krainy tedy spływa na was ten róg obfitości i mnogość tylu bogactw i smacznych kąsków?

— Z całej reszty świata — odparł Odźwiernik — z wyjątkiem paru krajów północnej okolicy, które od niejakiego czasu zaczęły macić bajorko patykiem.

— Sza! — rzekł brat Jan — pożałuj tego, hej, hej, pożałuj, hej, hej; pijmy moi przyjaciele.

— Ale z jakiego kraju wy jesteście? — spytał Odźwiernik.

— Z Turenii — odparł Panurg.

— Doprawdy — rzekł Odźwiernik — nie z byle jakiego gniazda pochodzicie, skoro jesteście z owej błogosławionej Turenii. Turenia nam przynosi najtłustsze dochodziki. Słyszeliśmy od ludzi tamecznych, wędrujących tedy swego czasu, że całe dochody księcia Turenii nie starczą mu na omastę do wieczery z przyczyny niezmiierzonych darowizn, jakie jego poprzednicy poczynili na rzecz tych przewielebnych ptaków; a to iżbyśmy tu mogli opływać w bazanty, kuropatewki, pulardki, kurki indyjskie, tłuste kapłony londyńskie i inny wszelaki drób i zwierzynę.

Pijmy, przyjaciele! Patrzcie na ten rój ptaków, jak są pulchne i dobrze odżywione, a wszystko z dochodów, które nam płyną od godnych Tureńczyków. Toteż śpiewają sumiennie za zbawienie ich duszy. Żadne słowiki tak pięknie nie wyciągają, jak one przy stole, kiedy ujrzą te dwa złote kijki...

— Oj, zdałyby się im kijki — rzekł brat Jan.

— ...I kiedy im zadzwonię nad uchem w te wielkie dzwony, które widzicie oto nad klatkami. Pijmy, przyjaciele; jakoś się dobrze pije dzisiaj, jak zresztą i co dzień. Pijmy! przepijam do was z całego serca, niech Bóg da wszystko najlepsze.

Nie bójcie się, aby nam tu zbrakło wina i wiwandy. Gdyby nawet niebo było ze spiżu a ziemia z żelaza, jeszcze by nam jadła nie zbrakło choćby na siedem, zgoła na osiem lat, na dłużej, niżli trwał głód w Egipcie. Pijmy razem w zgodzie, dla miłości bliźniego.

— Ha, do czarnego diaska — wykrzyknął Panurg — nieźle wam się tu dzieje, na tym bożym świecie!

— Na drugim — rzekł Odźwiernik — będzie się nam działo jeszcze o wiele lepiej. Nie miną nas Pola Elizejskie, to już co najmniej. Pijmy, przyjaciele; przepijam do całego zgromadzenia.

— W istocie — rzekłem — wielce boską i doskonałą myśl mieli wasi Sytycynowie wynajdując środki za pomocą których macie to, do czego wszyscy ludzie z natury swojej dążą, a co niewielu z nich albo, ściślej mówiąc, żadnemu nie jest w życiu dane. To się nazywa osiągnąć raj w tym życiu, a podobnież i w drugim! O ludzie szczęśliwi! O bogowie na ziemi! Dałoby niebo, abym i ja dostał tej szczęśliwości.

VII. Jako Panurg opowiada mistrzowi Odźwiernikowi bajkę o koniu i ośle

Skorośmy się dobrze najedli i napili, Odźwiernik zaprowadził nas do dobrze zaopatrzonej, pięknie obitej i wyłacanej komnaty. Tam kazał nam przynieść owoce myrobolanu, laseczki

cynamonu, imbir smażony, mnogo hipokrasu i najprzedniejszego wina; i zapraszał nas, byśmy za pomocą tych antydotów, jakoby za pomocą napoju z letejskiej rzeki, pograżyli w zapomnieniu i niebycie rudy morskiej podróży; także kazał zanieść obfitość jadła na okręty stojące w porcie. I tak ułożyliśmy się do spoczynku na tę noc; ale co się mnie tyczy, nie mogłem spać z powodu ciągłego pobrzękiwania dzwonów.

O północy Odźwiernik obudził nas, aby popić; sam przepił pierwszy, mówiąc:

— Wy, z tamtego świata, powiadacie, że nieświadomość jest matką wszystkiego złego, i powiadacie prawdę; nie wypędzacie jej wszelako precz i życie w niej, z nią i przez nią. Dlatego tyle niedoli trapi was dzień po dniu; zawsze się skarżycie, lamentujecie, nigdy nie jesteście zadowoleni. Widzę to dziś jak na dłoni. Nieświadomość trzyma was spętanych w łóżku, jako był spętany bóg bitew sztuką Wulkanu. Nie rozumiecie, że obowiązkiem waszym było oszczędzać swego snu, a nie oszczędzać bogactw tej sławnej wyspy. Powinniście już byli odprawiać trzy posiłki. Usłyszcie to ode mnie, że aby dać radę zapasom Wyspy Dzwonnej, trzeba wstawać dobrze rano. Im się ich więcej pożywa, tym bardziej się mnożą; gdy się ich oszczędza, maleją.

Skoście łąkę w swoim czasie, trawa odrośnie jeszcze gęstsza i lepsza; nie skoście jej, za parę lat jeno mchem będzie pokryta. Pijmy, przyjaciele, pijmy wszyscy wkoło; najchudsze ptaki przyspiewują nam teraz chórem; przypijmyż życzliwie do nich, jeśli wola. Pijmy, jeśli łaska, tym lepiej będzie się wam spluwać. Pijmy: raz, dwa, trzy, do dziewięciu, *non zelus, sed charitas*.

O świcie podobnie nas obudził, abyśmy skosztowali zupy ze świeżych jarzynek. Później był już tylko jeden posiłek, który trwał cały dzień; i nie wiedzieliśmy, czy to śniadanie, czy obiad, podkurek czy wieczerza. Jeno dla odsapnięcia przeszlismy się parę razy po wyspie, aby napatrzeć się i nasłuchać śpiewu tych błogosławionych ptaków.

Wieczorem Panurg rzekł do Odźwiernika:

— Panie, jeśli wola wasza, opowiem wam ucieszną historię, która zdarzyła się w ziemi kastelrandzkiej przed dwudziestu i trzema księżycami. Masztalerz pewnego szlachcica przejeżdżał rankiem, w miesiącu kwietniu, szlachetne koniki po polach; tam spotkał hożą pasterkę, która

*nad brzegiem cienistej rzeczki
pasła łagodnie białe owieczki,*

a wraz osła i kilka kóz. Wdawszy się w rozmowę namówił ją, by siadła za nim na siodle i pojechała obejrzeć dworskie stajnie, a wraz sobie tak, z prosta, troszkę pofiglować. Podczas tej ich rozmowy koń zbliżył się do osła i rzekł mu do ucha (trzeba wam bowiem wiedzieć, iż owego roku zwierzęta przemawiały głosem, co zauważono w wielu miejscach): „Biedny ty, lichy osiołku, wzrusza mnie twój los, żal mi ciebie. Pracujesz ciężko, widzę to po wytartym zadku; i to jest dobrze, Bóg stworzył cię bowiem dla użytku ludzi. Pocziwy z ciebie osiołek. Ale żeby przy tym wszystkim nie czyszczono cię lepiej, nie chędożono, nie pielęgnowano i nie żywiono przyzwoiciej, niż oto widzę, to mi się wydaje postępowaniem tyrańskim i przechodzącym wszelkie pojęcie. Toć cały jesteś zmierzwiony, ognojony, wyświchtany; jesz same chwasty, ciernie i osty kłujące. Dlatego radzę ci, osiołku, chodź trochę ze mną i przypatrz się, jak nas, których natura przeznaczyła do dzieł wojennych, pielęgnują i żywią. Nie obejdzie się bez tego, byś nie skosztował mego stołu.“ — „Doprawdy — odparł osieł — pójdę bardzo chętnie, panie koniu.“ — „Wypadałoby — rzekł mierzyn — mój osiołku, żebyś mówił: panie mierzynie.“ — „Wybacz mi — odparł osieł — panie mierzynie; my ludzie prości, wieśniacy, jesteśmy nieuczeni i prostacy w mowie. Zatem jestem do waszych usług; będę szedł z daleka za wami z obawy przed kijami (całą skórę od nich mam wygarbowaną), skoro wam się podoba uczynić mi tyle łaski i zaszczytu.“

Gdy pasterka wsiadła na koń, osieł szedł sobie z dala w stajennym zamiarze porządnego napchania żywota w błogosławionej stajni. Masztalerz spostrzegł go i polecił stajennym przyjąć go widłami i gradem kijów. Słyszając to osieł polecił się bogu Neptunowi i z wielkim pośpiechem pomknął w pole, syllogizując w duchu: „Słusznie mówi: bo też nie jest rzeczą mego stanu odwiedzać dwory wielkich panów; natura stworzyła mnie jeno ku pomocy biedakom. Ezop dobrze mnie przestrzegał w swej bajce. To była istotnie bezczelność z mej strony; nie ma innej rady jak zmykać stąd i to czym prędzej“. I dalejże puścił się osiołek klusa, wnet podskakując, pobrykując, popierdując galopkiem przez pola i rowy.

Pasterka widząc pierzchającego osła rzekła masztalerzowi, iż bydlątko należy do niej, i poprosiła, aby się z nim dobrze obchodzono; inaczej wnet się sama wróci, zgola nie zagrzawszy miejsca. Wówczas nakazał masztalerz, aby raczej wszystkim koniom brakło przez tydzień owsa, niżby osieł miał cierpieć najmniejszą przywację. Najtrudniej było go zwabić z powrotem, daremnie bowiem stajenni schlebiali mu i wołali: „Pódź, pódź, osielku, pódź ino“. — „Nie pójdę — odpowiadał — wstydzę się“. Im go uprzejmiej wołali, tym ognściej pomykał, skacząc i powierzgując. Jeszcze by dotąd się z nim pewnie parali, gdyby pasterka nie doradziła, aby mu pokazać garść owsa. Tak się też stało. Zaraz osieł obrócił głowę mówiąc: „Owies, dobrze, owszem, to co innego; ale widły, to przepraszam“. I pozwolił się ująć śpiewając melodyjnie, jako to znacie miły głos tych arkadyjskich bydlątek. Przyprowadziwszy go w ten sposób w obejście umieszczono go zaraz w stajni, wytarto, wyskrobano, wychędożono, dano świeżej podściółki aż po same brzuch, pełną drabinę siana, pełny żłób owsa. Zasię gdy chłopcy przesiewali owies, strzygł ku nim uszami, dając znaki, iż zje go chętnie i bez przesiewania i że nie zasługuje na tyle honoru.

Skoro się dobrze nakarmili, ozwał się koń do osła: „No i cóż, biedny osielku, jakże ci się tu udało? Jak ci się podoba nasz

tryb życia? Gwałtem cię trzeba sprowadzać? Cóż ty na to?“ — „Na tę figę — odparł osieł — którą zjadłszy jeden z moich przodków przyprawił o śmierć Filemona (zakrzusił się bowiem ze śmiechu), oto raj istny, panie mierzynie. Ale cóż, to dopiero połowa strawy. Czy wy tu nie... hm... tego... ten... trochę, panowie konie?“ — „O jakim tentegowaniu mówisz, mości ośle? — spytał koń; — niechże cię nosaczna ogarnie, cóż to, ty masz mnie za osła?“ — „Ech, ech, — odparł osieł — nieco mi ciężko przychodzi przyswoić sobie dworskie wyrażenia koni. Pytam się: czy nie ogierujecie tutaj trochę, panowie ogierzy?“ — „Mów ciszej, kłapouszku — rzekł koń — jeśli cię bowiem stajenni usłyszą, oporządzą cię widłami tak sumiennie, że ci odejdzie ochota od twoich tentego. Nie śmiemy tutaj wysunąć ani koniuszcza tego interesu, nawet dla oddania uryny, z obawy przed kijem; poza tym żyjemy jak królowie“. — „Na to podogonie, które mnie uwiera — rzekł osieł — odrzekam się wszystkiego i powiadam tfy! na twoją podściółkę, tfy! na twoje siano, tfy! na twój owies; niech żyją osty na polu, skoro można tam sobie poskakać do woli; nie dojeść, nie dopić, a ciągle skakać, oto moja dewiza: to nasz obrok i nasza strawa. O panie mierzynie, mój przyjacielu, gdybyś ty widział nas po jarmarkach, jak my tam odprawiamy swoje kapituły prowincjonalne, jak wyskakujemy sobie do siódmego skonania, podczas gdy nasze gosposie sprzedają pilnie gęsi i kurczęta!“ — Takie było ich rozstanie. Rzekłem.

Za czym umilkł Panurg i nie ozwał się już ani słowa. Pantagruel zachęcał go, aby dokończył materii. Ale Odzwiertnik odparł:

Mądrej głowie dość na słowie. Rozumiem bardzo dobrze, co chcesz powiedzieć i natrącić przez tę alegorię o osle i koniu. Powinieneś się wstydzić. Wiedz, że tutaj nie znajdziesz, czego szukasz; i nie mówmy o tym więcej.

— Wszelako — rzekł Panurg — widziałem tu poprzednio jedną białą upierzoną przeoryszkę, na której milej by było prze-

jechać się, niż ją prowadzić pod rękę. Sam byłbym gotów zamienić się w ptaka, do pary z taką ptaszyczką. Jak mi Bóg miły, ładnie wystrojona, cacana, warta grzechu albo i dwóch. Niech mi Bóg odpuści, nie myślałem przy tym nic złego; jeśli pomyślałem co złego, niechajże to złe spotka mnie co najprędzej!

VIII. Jako z wielkimi trudnościami pokazano nam Papagosa

Trzeci dzień upłynął na takich samych festynach i bankietach jak dwa poprzednie. W tym dniu Pantagruel zażądał usilnie oglądać Papagosa; ale Odźwiernik odpowiedział, że owego ptaka nie da się tak łatwo oglądać.

— Jak to — rzekł Pantagruel — czyż on ma hełm Plutona na głowie, pierścień Gygesa na pazurach albo kameleona na łonie, iż może się czynić niewidzialnym?

— Nie — odparł Odźwiernik; — ale z natury jest dość trudno przystępny. Dałem wszelako rozporządzenie, abyście go ujrzeli, jeśli możebna.

To rzekłszy zostawił nas przy stole nad przekąskami.

Wróciwszy w kwadrans, oświadczył, że Papagos jest w tej chwili widzialny; powiódł nas chyłkiem i w milczeniu prosto do klatki, w której siedział przycupnięty, w towarzystwie dwóch małych Kardynangów i sześciu grubych i tłustych Biskopsów. Panurg przyglądał się ciekawie jego kształtom, ruchom, zachowaniu. Następnie krzyknął:

— Niechże lichy porwie tę bestię! wygląda jak dudek.

— Mów cicho — rzekł Odźwiernik; — na miłość boską, on ma uszy, jak to bystro zauważył Michał de Matiscones.

— Toć ma czubek, wyraźnie — rzekł Panurg.

— Gdyby przypadkiem usłyszał wasze bluźnierstwo, zgubieni jesteście, dobrzy ludzie. Widzicie w jego klatce miskę? Z niej wypadają pioruny, grzmoty, błyskawice, diabły i burze, które was w jednej chwili zagrzebią sto stóp pod ziemią.

— Lepiej by było — rzekł brat Jan — popić i zabawić się jeszcze.

Panurg przyglądał się dalej uporczywie Papagosowi i jego kompanii, kiedy spostrzegł nad klatką sowę; za czym krzyknął:

— Na miłosierdzie boskie! wpadliśmy, popadliśmy, przepadliśmy. Patrzcie na tę sowę, zginęliśmy z kretelem, ręka boska nas nie ocali.

— Mów ciszej, przez Boga — rzekł Odźwiernik — to nie sowa: to samiec, to szlachetny kanclerz.

— Prosimy — rzekł Pantagruel — spraw, aby Papagos zaśpiewał nieco, iżbyśmy usłyszeli jego głos.

— Nie śpiewa — odparł Odźwiernik — tylko w swoje dni i o swoich godzinach.

— To u mnie inaczej — rzekł Panurg — zawsze jest moja godzina. Chodźmy teraz pić.

— Teraz — rzekł Odźwiernik — mówisz, jak należy; tak mówiąc nigdy nie zostaniesz heretykiem. Chodźmy, to i moje zdanie.

Wracając do beczulek ujrzelśmy starego Biskopsa z zieloną głową, który siedział w kuczki w towarzystwie Szuflagana i trzech Onokrotalów, wesołych ptaszków, i chrapał w cieniu zarośli. Koło niego siedziała ładna przeoryszka śpiewająca radośnie, co było tak lubo do słuchania, iż pragnęliśmy, aby wszystkie nasze członki zmieniły się w uszy, by nic nie stracić z jej śpiewu i żadnej innej nie czuć dystrakcji. Panurg rzekł:

— Ta piękna przeoryszka zdziera sobie gardło, a ten gruby szpetny Biskops chrapie tymczasem. Zaraz ja go nauczę śpiewać, do kroć diabłów!

Za czym zadzwonił w dzwon wiszący nad klatką; ale im mocniejszy czynił hałas, tym mocniej chrapał ów Biskops i ani myślał śpiewać.

— Na Boga — rzekł Panurg — czekaj, stara baryło, nauczę ja cię śpiewać w inny sposób.

Za czym wziął wielki kamień, chcąc go wyciąć w słabiznę. Ale Odźwiernik krzyknął ze zgrozą:

— Dobry człowieku, bij, wal, zabijaj i morduj wszystkich królów i książąt świata; tęp ich zdradą, trucizną lub inaczej, ile ci się spodoba; wybieraj z gniazd anioły niebieskie: za wszystko dostaniesz odpust u Papagosa. Ale tych świętych ptaków nie tykaj, jeżeli ci miłe życie, mienie, bezpieczeństwo, tak twoje jak krewnych i przyjaciół, żywych i umarłych; jeszcze tych, którzy się po nich porodzą, dosięgnie pomsta i nieszczęście. Spójrz dobrze na tę miszkę.

— Tedy — rzekł Panurg — lepiej iść popić i weselić się.

— Na świętego Zada, dobrze to powiada — rzekł brat Jan, — patrząc na te diabelskie ptaki bluźnimy jeno Bogu; wypróżniając zasię butelki i garnki chwalimy jego święte Imię. Chodźmyż tedy popić. O, piękne słowo!

Trzeciego dnia, po sumiennym przepiciu (jako się rozumie), pozwolił nam Odźwiernik odjechać. Daliśmy mu w podarku praski nożyk, który mu większą sprawił radość niż niegdyś Artakserksesowi szklanka wody podana przez wieśniaka. I podziękował bardzo grzecznie, posłał nam na okręty obfitość proviantu, życzył dobrej podróży, pomyślności dla naszych osób i zamiarów i kazał nam przyrzec i przysiąc na Jowisza Piotra, iż wracając zatrzymamy się w jego krainie. W końcu rzekł: — Przyjaciele, zakontujcie sobie, iż na świecie jest o wiele więcej zadków niż ludzi, i zawsze o tym pamiętajcie.

IX. Jako wylądowaliśmy na Wyspie Żeleźców

Skorośmy do syta naładowali żołądki, zaczął dąć pomyślny wiatr, jak na zawołanie; za czym rozwinęliśmy żagle i w niespełna dwa dni przybyliśmy do Wyspy Żeleźców, opuszczonej i wcale niezamieszkałej. Ujrzelśmy tam wielką ilość drzew, na których rosły siekery, noże, świdy, dłuta, szydła, pily; nożyce, szczypce, obcęgi, tasaki i gwoździe. Na innych drzewach

widzieliśmy puginy, sztylety, mieczyki; szable, kordelasy, rapiry, szpady, oszczepy i noże. Kto czegoś chciał, potrzebował jeno potrząsnąć drzewem: zaraz spadały jak śliwki; co więcej, spadając na ziemię natrafiały na rodzaj ziela, które nazywa się pochwicą, i wsuwały się w nie jak w pochwę. Gdy spadały, trzeba się było dobrze mieć na baczności, aby nie spadły na głowę, na nogi albo inne części ciała: spadały bowiem ostrzem, prosto jakby do pochwy i zabijałyby człowieka na miejscu. Pod tymi rozmaitymi drzewami ujrzałem krzewy rosnące w kształcie drzewca pik, lanc, oszczepów, halabard, toporów, spis i berdyszów; i rosły tak ku górze, aż wreszcie dotknąwszy drzewa trafiały na żeleźce i grot, każde wedle swego gatunku i kalibru. Drzewa rosnące nad nimi już je przygotowały w miarę ich zbliżania się i rośnięcia, jako wy gotujecie sukienki dla małych dzieci, kiedy je macie wyzwolić z pieluszek. Co więcej, powiem wam, iżbyście na przyszłość szanowali opinię Platona, Anaksagorasa i Demokryta (myślicie może, że to byli lada jacy filozofi?), drzewa te zdawały się nam jakoby zwierzęta ziemskie, nie w tym różne od bydła, by nie miały skóry, tłuszczu, mięsa, żył, arterii, więzadeł, nerwów, chrząstek, gruczołów, kości, szpiku, humorów, macicy, mózgu i innych ważnych członków, mają je bowiem, jak to bystro wykazał Teofrast; ale w tym, że mają głowę, to jest pień, u dołu, i włosy, to jest korzenie, w ziemi; nogi zasię, to jest gałęzie, ku górze; jak by człowiek stanął na rękach.

I jako wy, druhy francowate, w waszych scyjatycznych nogach i łopatkach z daleka przeczuwacie deszcz i wiatry, pogodę i wszelką odmianę czasu: tak samo one, swymi korzeniami, gałęzmi, sokami, szpikiem, przeczuwają rosnący pod nimi rodzaj drzewa i przygotowują dlań odpowiedni grot i żeleźce. Prawda, że wszystko na świecie (z wyjątkiem Boga) podlega niekiedy omyłkom. Natura sama nie jest od nich wolna, kiedy wydaje rzeczy potworne i niekształtne zwierzęta. Podobnie u tych drzew zauważyłem czasem omyłkę: raz bowiem pika, rosnąca wysoko

w górę pod te żelazonośne drzewa, dotknąwszy gałęzi, miast żelaziwa trafiła na miotłę: dobryś, przyda się i to do czyszczenia kominów. Drzewce przygotowane na oszczep — trafiło na nożyce; i to dobre: przyda się, by zdejmować gąsienice w ogrodzie. Rękojeść halabardy nadziała się na żeleźce kosy i zdała się hermafrodytą; wszystko jedno: przyda się jakiemu ko-siarzowi. Ładna to rzecz wierzyć w Pana Boga! Kiedyśmy wracali do okrętu, ujrzałem za nie wiem jakim tam krzakiem nie wiem jakich ludzi robiących nie wiem co i nie wiem jak, ostrzających nie wiem jakie żelaziwo, które wydostali nie wiem skąd i nie wiem, w jaki sposób.

X. Jako Pantagruel przybył do Wyspy Kosterów

Opuściwszy Wyspę Żeleźców płynęliśmy dalej; następnego dnia przybyliśmy do Wyspy Kosterów, w której to wyspie ziemia jest tak chuda, iż kości, to znaczy skały, przebijają jej skórę; piaszczysta, jałowa, niezdrowa i przykra dla oczu. Tam pokazał nam pilot dwie małe graniaste skały, jakoby wyciosane w formie sześcianu, które ze swego białego wyglądu zdały mi się jakoby z alabastru albo też pokryte śniegiem; ale pilot wytłumaczył, że to są kostki. I powiadał, że jest w nich sześciopiętrowe mieszkanie dwudziestu diabłów hazardu, tak poważanych w naszym kraju. Z tych największe i sparzone nazywał *senes*, najmniejsze *ambo*, inne średnie *quinterno*, *quater-no*, *terno*, *podwójne ambo*, inne nazywał *sześć i pięć*, *sześć i cztery*, *sześć i trzy*, *sześć i dwa*, *sześć i as*, *pięć i cztery*; *pięć i trzy*, i tak dalej, po porządku. Wówczas zauważyłem, iż mało jest graczy na świecie, którzy by nie byli wyznawcami diabła: kiedy bowiem rzucając kości na stół pobożnie wykrzykują: „*Senes*, przyjacielu“, to znaczy wielki diabeł; „*Ambo*, mój aniołku“, to znaczy mały diabeł; „*Cztery i dwa*, moje dzieci“ i dalej tak samo, wzywają wówczas diabłów, po imieniu i nazwisku. I nie tylko wzywają, ale mienią się ich przyjaciółmi i kumami.

Prawda, że te diabły nie zawsze przychodzą na wezwanie w tej chwili; ale można je wytłumaczyć. Widocznie były właśnie gdzie indziej, wedle daty i pierwszeństwa wzywających. Nie można tedy na tej podstawie twierdzić, że nie mają uszów i rozumu; mają, ręczę, i to nie lada jakie.

Następnie rzekł, iż skały te spowodowały więcej katastrof i więcej ludzi przypawili o rozbicie, o utratę życia i mienia niż wszystkie Syrty, Charybdy, Syreny, Scylle, Strofady i otchłanie morskie. Uwierzyłem temu łatwo, przypominając sobie, iż niegdyś u mędrców egipskich Neptun oznaczony był w literach hieroglificznych pierwszym sześciannem, jak Apollo przez *asa*, Diana przez *dwa*, Minerwa przez *siedem*, etc. Również powiedział, iż tam znajduje się flaszeczka świętego Graala, przedmiot iście boski i niewielu znany. Panurg, pięknie uprosiwszy miejscowych syndyków, osiągnął, iż nam go pokazano. Odbyło się to z większymi ceremoniami i uroczystością trzy razy większą, niż we Florencji pokazują Pandekta Justyniana albo w Rzymie chustę Weroniki. Nigdy nie widziałem tylu chorągwi, pochodni, lucywa, obrusów i innych figlów. W końcu, po tylu ceremoniach, pokazało się, że to jest głowa pieczonego królika. Więcej nie ujrzelśmy ciekawego, oprócz Dobrej Miny, żony Złej Gry, i prócz skorupy z dwóch jajek niegdyś złożonych i wysiedzianych przez Ledę, z których urodzili się Kastor i Polluks, bracia pięknej Heleny. Syndykowie dali nam po kawałku, za skromną zapłatą. Odjeżdżając zakupiliśmy skrzynię kapeluszy i rogatych czapek; lękam się, że na ich sprzedaży niewiele zarobimy. I mniemam, że jeszcze mniej zyskają na ich użytku ci, co je kupią.

XI. Jako przebyliśmy Kaźnię, zamieszkałą przez Pazdura, arcyksięcia Spaśnych Kotów

W kilka dni potem, parę razy znalazłszy się blisko rozbicia, minęliśmy wyspę Potępienia, która jest także całkiem opusz-

czona; minęliśmy również Kaźnię, gdzie Pantagruel nie chciał wysiadać. Dobrego miał nosa, uwięziono nas tam bowiem i przytrzymano bez ceremonii, na rozkaz Pazdura, arcyksięcia Spaśnych Kotów, za to, iż ktoś z naszego orszaku chciał sprzedać sierżantowi rogatą czapeczkę z owej koterskiej wyspy. Spaśne Koty są to bardzo groźne i niebezpieczne bestie: zjadają małe dzieci i pasą się na płytach marmuru. Pomyślcie sobie, pijaki, czy nie musiały się im splaszczyć nosy od kataru. Mają sierć nie wychodzącą ze skóry, ale ukrytą wewnątrz. Wszystkie bez wyjątku noszą, jako symbol i godło, otwartą sakwę; ale nie wszyscy na ten sam sposób: jedni bowiem mają ją umocowaną na szyi jak szarfę, drudzy na zadku, inni na brzuchu, inni na boku, a wszystko wedle osobliwych tajemnic i racyj. Mają także pazury tak mocne, długie i wyostrzone, iż nie się im nie wymknie, gdy raz się dostało w ich łapy. Jako nakrycia głowy używają jedni czapeczek o czterech rogach albo rozporkach; inni czapek wywijanych, inni kształtem moździerzy, i innych. Gdyśmy wchodzili do ich jaskini, rzekł nam stary dziaduś, żebrak, któremu daliśmy półzłotek:

— Dobrzy ludzie, niech Bóg pozwoli, abyście rychło wyszli stąd zdrowi i cali! Przypatrzcie się dobrze minom tych dzielnych filarów łupieżczej sprawiedliwości. I bądźcie pewni, że jeżeli będziecie jeszcze żyli przez sześć olimpiad i wiek dwóch psów, ujrzycie te Spaśne Koty panami całej Europy i bezpiecznymi właścicielami wszelakiego dobra i wszelakich posiadłości w całym świecie; jeżeli, przez karę boską, w rękach ich następców nie zmarnieje wnet mienie i dochody przez nich nieprawo nabyte, usłyszycie to ode mnie, uczciwego żebraka. W nich żywie jakoby jakaś szósta esencja, mocą której zagarniają, pożerają i plugawią wszystko. Palą, ćwiertują, ścinają głowy, dręczą, więżą, rujnują i podkopują wszystko, bez różnicy między złem a dobrem. Występek nazywa się u nich cnotą; złość przezwali dobrocią; zdrada ma imię wierności, złodziejstwo jest hojnością; łupiestwo jest ich godłem i, o ile oni je praktykują,

uznane jest za dobre przez wszystkich ludzi, z wyjątkiem heretyków; wszystko bowiem czynią mocą najwyższej i nieodpartej powagi. Jako znak mej przepowiedni, uważcie, że zło by umocowano tam ponad drabinką; przypomnieć sobie o tym kiedyś. I jeśli kiedykolwiek spadnie na świat zaraza, głód albo wojna, trzęsienie ziemi, kataklizmy, pożary lub inne nieszczęścia, nie przypisujcie ich ani nie odnoście do złośliwej koniunktury planet, do nadużyć Kurii Rzymskiej, do tyranii królów i książąt świeckich, do szalbierstwa bigotów, heretyków, fałszywych proroków; do niegodziwości lichwiarzy, fałszerzy monet, obrzynaczy dukatów; ani do nieuctwa, bezwstydu, lekomyślności lekarzy, chirurgów, aptekarzy; ani do przewrotności kobiet cudzołożnych, truciścielek, dzieciobójczyń; jeno przypisujcie to straszliwej, niewypowiedzianej, niesłychanej, niedoścignionej niegodziwości, panoszącej się i działającej nieustannie w pracowniach tych Spaśnych Kotów, która to niegodziwość nie jest wiadoma światu, podobnie jak kabała Żydówinów, i dlatego nikt nie potępi jej, nie dosięgnie i nie ukarze, jakby się godziło. Ale jeśli kiedy dobędzie ją kto na wierzech i objawi oczom ludu, nie ma i nie było tak wymownego mówcy, który by sztuką swoją wstrzymał jego pomstę, ani tak srogiego i drakońskiego prawa, które by powściągnęło ją obawą kary; ani tak potężnego urzędnika, który by siłą przeszkodził, aby tych wszystkich Kotów nie spalono okrutnie żywcem w ich norze. Ich własne dzieci, Spaśne Kociaki, i inni krewni nabraliby do nich wstrętu i odrazy. Dlatego podobnie jak Hannibalowi ojciec jego Amilkar, pod uroczystym i pobożnym zaklęciem, nakazał tępić Rzymian, póki tchu mu stanie, tak samo ja mam nakazane od nieboszczyka ojca, by tu trwać czekając, aż piorun z nieba uderzy w to domóstwo i w popiół ich obróci jako innych Tytanów, bezbożników i wrogów Niebios, skoro ludzie tak się zatwardzili w sercach, iż wszystkiego zła, które od nich wycierpieli, cierpią i jeszcze cierpieć będą, nie czują, nie pamiętają, nie

przewidują albo też czując je nie śmieją i nie chcą albo nie mogą ich wytępić.

— To ładne rzeczy — rzekł Panurg; oho, nie, nie; ja tam, dalibóg, nie idę; wracajmy. Wracajmy, powiadam, w imię boże:

*Ten dziad szlachetny bardziej mnie zaskoczył,
Niż gdybym w zimie piorun z nieba zoczył.*

Gdyśmy chcieli wrócić, znaleźliśmy drzwi zamknięte. Powiedziano nam, iż tam z łatwością się wchodzi, jak do Awerno; z wychodzeniem wszelako są trudności i że nie wydostaniemy się stamtąd w żaden sposób bez paszportu i pozwolenia zwierzchności. Najgorsze było, kiedy przebyliśmy kraty. Zaprowadzono nas bowiem, celem uzyskania paszportu i zezwolenia, przed najwstrętniejszego potwora, jaki kiedykolwiek był opisany. Nazywano go Pazdurem. Nie umiałbym go trafniej przyrównać niż do Chimery albo do Sfinksa, lub Cerbera, albo do wizerunku Ozyrysa, jak go przedstawiają Egipcjanie, z trzema zespolonymi głowami: mianowicie ryczącego lwa, wężącego psa i ziejącego wilka, owinięte postacią smoka gryzącego się we własny ogon i obwiedzione jarzącymi promieniami. Ręce miał pełne krwi, pazury jak u harpii, pysk kształtu kruczego dzioba, zęby starego odyńca, oczy błyszczące jakoby paszczą piekiel. Cały zaś okryty był mózdzierzami, w których tkwiły tłuczki, tak iż wystawały jako pazury. Za siedzenie jemu i wszystkim jego pomocnikom służyła drabina, całkiem nowa, nad którą na hakach zawieszane były piękne i obszerne żłoby, jak to przepowiedział żebrak. Nad głównym siedziskiem znajdował się wizerunek starej baby trzymającej w prawej ręce pochwę od sierpu, w lewej wagę i mającej okulary na nosie. Szale tej wagi to były dwie aksamitne torby: jedna pełna lichych monety zwisająca w dół; druga, pusta i długa, wznosząca się w górę ponad języczek wagi. Widzi mi się, że to był obraz Pazdurowej sprawiedliwości, bardzo odbiegającej od instytu-

cji starożytnych Tebańczyków, którzy po śmierci swoich Dikastrów i sędziów wznosili ich posągi w złocie, srebrze, marmurze, wedle zasługi każdego, a wszystkie bez rąk. Skoro nas zaprowadzono przed jego oblicze, wówczas jacyś dziwaczni ludzie, ubrani w worki i sakwy pełne strzępów pisma, kazali nam sięść na zydelku. Panurg rzekł:

— Hej, lapserdaki, mili przyjaciele, wiercie mi, czuję się aż nadto dobrze stojący; zresztą ten zydelek jest za niski dla człowieka, który ma nowe pludry a kusy kaftan.

— Siadać! — odrzekli — i żebyśmy ci drugi raz nie musieli powtarzać. A teraz baczność: jeżeli bowiem nie będziecie odpowiadali jak należy, ziemia rozewrze się, aby was pochłonąć żywcem.

XII. Jako wielki Pazdur zadał nam zagadkę

Skorośmy siedli, Pazdur, zajmawszy miejsce w pośrodku swoich Spaśnych Kotów, rzekł gniewnym i ochrypłym głosem:

— Hm, hm, hm — (Pić, pić, pić, mruknął Panurg między zębami):

*Dzieweczka młoda poczęła przykładnie
Dziecię murzyńskie bez pomocy męża;
Bez bólu zrodziła je snadnie,
Mimo iż wyszło na świat kształtem węża,
W zbytnim pośpiechu i bardzo nagannie
Wygryzłszy dziurę w boku owej pannie.
Odtąd się włóczy szlaki wszelakimi,
Lecąc powietrzem i wędrując drogą,
Tak iż filozof zadziwił się srogo,
Który je trzymał za szczyry płód ziemi.*

— Owo tedy — rzekł Pazdur — odpowiedz mi na tę zagadkę i rozwiąż mi zaraz, owo tedy, co to takiego?

— Owo przez Boga — odparłem — gdybym miał sfinksa w domu, owo przez Boga, jako go miał Werres, jeden z poprze-

dników Waszej Dostojności, owo przez Boga, mógłbym rozwiązać tę zagadkę, owo przez Boga. To pewna, iż mnie nie było przy tym i że jestem, owo przez Boga, niewinny tego wydarczenia.

— Owo tedy — rzekł Pazdur — na Styks, skoro nie chcesz więcej mówić, owo tedy, pokażę ci, owo tedy, iż lepiej by ci popaść w łapy Lucypera, owo tedy, i wszystkich diabłów, owo tedy, niżeli w nasze szpony, owo tedy. Widzisz je dobrze? Owo tedy, gamoniu, powołujesz się na swą niewinność, owo tedy, jak gdyby cię to mogło uwolnić od naszych pazurów? Owo tedy, nasze prawa są jakoby sieci pajaków; owo tedy, zwykłe muszki i małe motylki się w nie łapią; zasię, owo tedy, duże bąki, hultaje, zrywają je, owo tedy, i wydostają się nie pytając, owo tedy. Podobnie i my nie polujemy na wielkich złoczyńców i tyranów, owo tedy, nadto są ciężcy do strawienia, owo tedy; tylko by nam kłopotu narobili, owo tedy. Wy natomiast, miłe niewiniątka, owo tedy, ładnie tu bekniecie z waszą niewinnością: sam stary diabeł, owo tedy, zaśpiewa nad wami mszę, owo tedy.

Brat Jan zniecierpliwiony stękanem Pazdura rzekł:

— Hola, mości diable w spodnicy, jakże chcesz, by odpowiedział na to, o czym nie wie? Czy nie wystarczy ci prawda?

— Owo tedy — rzekł Pazdur — jeszcze za mego panowania nie zdarzyło się, owo tedy, aby ktoś odzywał się tu nie będąc wprzód zapytany, owo tedy. Któż to rozpętał tego wściekłego opętańca?

— Łiesz jak pies — rzekł brat Jan nie poruszając wargami.

— Owo tedy, kiedy na ciebie przyjdzie kolej odpowiadać, owo tedy, zaśpiewasz ty cienko, owo tedy.

— Łiesz — odparł brat Jan w milezeniu.

— Czy ty myślisz, że jesteś tu w gaju Akademosa, owo tedy, razem z owymi próżniaczymi łowcami i poszukiwaczami prawdy? Owo tedy, my tu mamy inne rzeczy do roboty, owo tedy: tutaj się zeznaje, mówię, owo tedy, kategorycznie, to, czego się

nie wie. Owo tedy, wyznaje się, że się uczyniło, owo tedy, to; czego nie uczyniło się nigdy. Owo tedy, przysięga się, iż się wie to, o czym się nigdy nie słyszało. Owo tedy, zuchwalców obłaskawia się tu jak baranki. Owo tedy, skubie się tu gąski bez krzyków i pisków, owo tedy. Odzywasz mi się bez upoważnienia, owo tedy? Widzę to dobrze, owo tedy; wnet cię tu febra ściśnie, owo tedy, wnet ci tu diabli wyprawia wesele, owo tedy!

— Ha! diabli — krzyknął brat Jan — arcydiabli, protodiabli, pantodiabli, chcesz tedy żenić mnichów? Ho, ho, ho, czekaj, bratku, czekaj, dostałem cię, ty heretyku.

XIII. Jako Panurg wyklada zagadkę Pazdurową

Wielki Pazdur udając, że nie słyszy tego odezwania, zwrócił się do Panurga mówiąc:

— Owo tedy, owo tedy, owo tedy, a ty pijaczyno, nic nie odpowiesz?

Rzekł tedy Panurg:

— Owo do stu diabłów ten, widzę jasno, żeśmy popadli w siedlisko zarazy morowej, owo do stu diabłów ten, skoro niewinność nie jest tu bezpieczna i diabeł odprawia mszę, owo do stu diabłów ten. Proszę was, pozwólcie, bym ją zaraz za wszystkich zapłacił, owo do stu diabłów i ten, i dajcie nam odejść w pokój. Już nie mogę dłużej, owo do stu diabłów ten.

— Odejść? — rzekł Pazdur — owo tedy, jeszcze nie zdarzyło się od trzystu lat, owo tedy, aby ktoś wymknął się stąd nie uroniwszy sierci, owo tedy, a najczęściej i skóry, owo tedy. Bowiem, co? owo tedy, to by znaczyło przyznać, iż zostałeś tu przed nas niesłusznie wezwany, owo tedy, i przez nas niesprawiedliwie potraktowany, owo tedy, ale nieszczęśliwsza wybije ci godzina, jeśli nie odpowiesz na daną zagadkę. Owo tedy, co to ma znaczyć, gadaj, owo tedy?

— To jest, owo do stu diabłów ten — odparł Panurg — czarny robak zbożowy urodzony z białego bobu, owo do stu diabłów ten, przez dziurę, którą w nim wygryzł, owo do stu diabłów ten: który czasem lata, czasem wędruje po ziemi, owo do stu diabłów ten; wskutek czego mniemał o nim Pitagoras, znamienity miłośnik mądrości, to znaczy po grecku *filozof*, owo do stu diabłów ten, iż otrzymał skądinąd, za pomocą metempsychozy, duszę ludzką, owo do stu diabłów ten. Gdybyście wy byli ludźmi, owo do stu diabłów ten, wówczas, wedle mego zdania, po waszej skapialej śmierci, dusze wasze weszłyby w ciała czerwów, owo do stu diabłów ten; w tym bowiem życiu toczy się i zjadacie wszystko; w drugim będziecie toczyć i zjadać

*Jak żmije, niech was ściśnie febra,
Rodzonej matki własne żebra;*

owo do stu diabłów ten.

— Do kroćset — rzekł brat Jan — z całego serca bym pragnął, aby dziura mego zadka stała się bobem i aby dookoła była objedzona przez te czerwie.

Panurg rzekłszy te słowa rzucił na podłogę dużą skórzaną sakwę pełną lśniących dukatów. Na dźwięk sakiewki wszystkie Spaśne Koty zaczęły przebierać pazurami, jak gdyby drapiąc struny u skrzypiec. I wszystkie poczęły krzyczeć wielkim glosem:

— Ho, ho, ho, pierniczki, pierniczki, proces był bardzo dobry, bardzo smakowity i korzenny. To jacyś dobrzy ludzie.

— Złoto, złoto — rzekł Panurg — same nowiuteńkie dukaty.

— Świetny trybunał — rzekł Pazdur — przyjmuje do wiadomości, owo tedy, przyjmuje. Idźcie dzieci, owo tedy, idźcie w pokój; owo tedy, nie takieśmy straszne diabły, jak nas malują, owo tedy.

Skoro nas wypuszczono z Kaźni, odprowadziły nas do portu jakoweś sępy górskie. I nim wstąpiliśmy na okręty, upomnieli

nas, iż nie godzi się nam puścić w drogę, póki nie złożymy wprzód przyzwoitych podarunków tak pani Pazdurowej jak i wszystkim Spaśnym Kociom; w przeciwnym razie mieli polecenie odprowadzić nas z powrotem do Kaźni.

— Gówno — odparł brat Jan; — czekajcież: tutaj na stronie wypróżnimy swoje przyrodzone sakwy i zostawimy, co się należy.

— Ale — rzekli posłańcy — nie zapominajcie wyrzucić na wino i nam biednym nieborakom.

— O winie — rzekł brat Jan — dla nieboraków nigdy się nie zapomina; pamięta się o tym w każdym kraju i o każdym czasie.

XIV. Jako Koty Spaśne żyją z Kubanów

Jeszcze brat Jan nie dokończył, kiedy ujrzał sześćdziesiąt osiem galer i statków wpływających do portu. Za czym pośpieszył ku nim spytać o nowiny i zarazem spojrzeć, co za towarami statki są naładowane. Ujrzał, iż wszystkie pełne są dziczyzny, zajęcy, kapłonów, bażantów, świń, kóz, indyków, kur, kaczek, pulard, gęsi i innej zwierzyny. Także ujrzał wśród tego wszystkiego parę sztuk aksamitu, jedwabiu i adamaszku. Za czym spytał podróżnych, gdzie i dla kogo niosą te smaczne kąski. Odpowiedzieli, że to wszystko dla Pazdura, dla Spaśnych Kotów i Koci.

— Jakże wy — rzekł brat Jan — nazywacie te specyfiki?

— Kubany — odparli podróżni.

— Ha! — rzekł brat Jan — z Kubanów żyją, ale z czego skapią? Jak mi Bóg miły, to jasne: ojcowie ich zjedli siła godnych szlachciców, którzy, ze swego stanu i powołania, ćwiczyli się w polowaniu i łowach z sokołem, iżby w czasie wojny byli bardziej chwaccy i zahartowani do rzemiosła. Łowy bowiem są jakoby wizerunkiem bitwy; nie skłamał zaiste niegdyś Ksenofon pisząc, iż z łowów wyszli, jako z owego konia trojańskiego, wszyscy dobrzy rotmistrze. Ja tam nie jestem żaden uczony;

ale tak mi powiedziano i wierzę. Dusze ich, wedle Pazdurowego mniemania, wchodzą po śmierci w dziki, jelenie, kozy, czaple, kuropatwy i inne zwierzęta, które za pierwszego życia zawsze miłowali i uganiali się za nimi. Owo te Spaśne Koty, zniszczywszy i pożarłszy ich zamki, ziemie, posiadłości, dziedziny, włości i dochody, teraz węszą za ich krwią i ciałem w drugim życiu. Święte słowa tego godnego żebraka, który nam zwrócił uwagę na ten złób, niby godło umocowany nad drabiną!

— Toć-że — powiedział Panurg do podróżnych — obwołano w imieniu wielkiego króla, iż nikomu nie wolno, pod stryczkiem, polować na sarny ani na łanie, dziki ani na rogacze?

— Prawda jest — odparł jeden za wszystkich. — Ale wielki król jest bardzo dobry i łaskaw; zasię te Spaśne Koty są tak zjadłe i spragnione krwi chrześcijańskiej, iż mniej czujemy strachu obrażając wielkiego króla, niż potrzeby zjednania sobie dwóch Kotów przez Kubany; zwłaszcza iż jutro Pazdur wydaje swą Spaśną Kociankę za grubego Mruczka, kota dobrze wymoszczonego sadłem. W dawnych czasach nazywano ich sianozrejami, ale od dawna już nie żrą siana. My teraz nazywamy ich zająco-kuropatwo-bekaso-bażanto-pulardo-barano-indorowieprzo-żrejami: innej strawy nie wezmą do ust.

— Gówno — rzekł brat Jan — na przyszły rok będzie się na nich wołać: łajno-żreje, gnojo-żreje, gówno-żreje. Chcecie mnie posłuchać?

— Na rozkazy — odparła załoga.

— Zróbmy — rzekł — dwie rzeczy: po pierwsze, zagarnijmy całą zwierzynę, którą tu widzicie; mam już dość wędzonego, szkodzi mi na nerki. Rozumie się, za rzetelną zapłatą. Po drugie, wróćmy do Kaźni i oporządziśmy skórę wszystkim tym diabelskim Kotom.

— To pewna — rzekł Panurg — że ja nie pójdę: jestem z natury cokolwiek upośledzony na odwadze.

XV. Jako brat Jan Łomignat zamierza wygarbować skórę Spaśnym Kotom

— Na mą sutannę — rzekł brat Jan — do czego to podobne, ta nasza podróż? To istna podróż bździarzy, nie tylko bździmy, pierdzimy, fajdamy, gadamy, nie nie czyniąc. Do kroćset! to nie dla mnie interes; ja jeśli nie dokonam co dnia jakiegoś heroicznego czynu, w nocy nie mogę spać. A możecie wy mnie wzięli w tę podróż do kompanii, żebym wam beczał msze i słuchał spowiedzi? Do kroćset czartów! pierwszy, który się z tym do mnie wybierze, temu za pokutę każe, jako łajdakowi i nieponiowi, rzucić się do morza, gdzie najgłębiej, na łeb; w zamian uwolnię go od kar czyszcowych. Co dało Herkulesowi rozgłos i wiekuistą chwałę? czy nie to, iż wędrując po świecie uwalniał ludy od tyranii, postrachu, niebezpieczeństw i ucisku? Niośł śmierć złoczyńcom, potworom, węzom jadowitym i drapieżnym bestiom. Dlaczego nie idziemy za jego przykładem i nie czynimy, jako on czynił, we wszystkich okolicach, które przebywamy? Pogromił Stymfalidów, hydrę lerneńską, Kalkusa, Anteusza, Centaurów. Ja nie jestem żaden uczony, ale uczeni tak mówią. Za jego przykładem rozgrommyż ich i wygarbujmy skórę Spaśnym Kotom, tym istnym sępom diabelskim, i uwolnijmy kraj od tyranii. Ba! gdybym był tak mocny i potężny jak on, wyrzekam się Mahometa, jeśli bym was prosił o pomoc i radę! No, ruszamy! Upewniam was, iż z łatwością ich pozabijamy i że zniosą to cierpliwie; tak sędzę, zważywszy, że zniesli cierpliwie od nas więcej zniewag, niżby ich dziesięć świń wypilo razem z pomyjami. Chodźmy!

— Ba! O zniewagę — rzekłem — i o hańbę niewiele one dbają, byle im nasypać do sakwy dukatów, choćby nawet ze wszystkim upačkanym łajnem. Zabić, może byśmy ich zabili, jak Herkules tamtych; ale brakuje nam nakazu Eurysteusza. Zresztą nic bym nie pragnął na tę chwilę, jeno żeby Jowisz z jakie dwie godzińki przechodził się między nimi w tej postaci,

w jakiej niegdyś odwiedził swą lubkę Semele, rodzoną matkę dobrego Bachusa.

— Bóg — rzekł Panurg — pozwolił nam łaskawie umknąć się z ich pazurów i, co do mnie, nie mam zamiaru w nie wracać. Jeszcze się czuję całkiem roztrzęsiony i rozklekotany od strachu, którego zażyłem. I bardzo mnie to zmierziło dla trzech przyczyn: po pierwsze, ponieważ mnie zmierziło; po drugie, ponieważ mnie zmierziło; po trzecie, ponieważ mnie zmierziło. Słuchaj mnie lewym uchem, bracie Janie, moje lewe kusiątko; ilekroć i ile razy tylko zapragniesz udać się do wszystkich diabłów, przed trybunał Minosa, Eaka, Radamanta i Disa, jestem gotów dotrzymać ci nierozłącznie towarzystwa, razem z tobą przebyć Acheront, Styks, Kocyt, wypić pełen kubek z rzeki Lety, zapłacić za nas obu Charonowi przewoźne. Ale żeby wracać tu, do tego potrzasku, to jeżeli w istocie masz ochotę wracać, szukaj sobie innej kompanii niż moja; ja nie idę; niechaj to słowo będzie ci jako mur ze spiżu. Jeśli gwałtem i przemocą mnie nie zaprowadzą, nie zbliżę się tam, póki będę żył. Zali Ulisses wrócił po miecz do jaskini Cyklopa? Dalibóg, nie: ja w tej Kaźni nie zostawiłem i po nic wracać nie myślę.

— Ha! — rzekł brat Jan — ty pocziwe serduszko, zacny kompanie, bodaj cię skreśliło! Ale pomówmy trochę, ty subtelny doktorze: skąd ci to przyszło i co cię skłoniło, aby im rzucać torbę pełną dukatów? czy mamy ich za dużo? czy nie dość było cisnąć parę wytartych szelągów?

— Dlatego — odparł Panurg — że przy każdym zdaniu swojej oracji ów Pazdur, mamrocząc swoje „owo tedy“, rozwierał aksamitną sakwę i potrzasał nią nabożnie. Stąd nabrałem przekonania, że możemy się prosto i czysto uwolnić z ich łap, rzucając przygarstkę nadobnych dukacików. Sakwa aksamitna bowiem to nie jest relikwiarz na chowanie szelągów ani też lichiej monety; to jest *receptaculum* na piękne dukaty z Matką Boską, słyszysz mnie, bracie Janie, moja mała kusieczko? Kiedy się tyle naprzypiekasz co ja, i ciebie tyle naprzypiekają co

mnie, inaczej będziesz gadał po łacinie. Ale teraz, wedle ich własnego wyroku, trzeba się nam stąd zabierać.

Tamte urwipolcie czekały tymczasem ciągle w porcie, aż im wyrzucimy jaki datek. I widząc, że mamy rozwijać żagle, zwrócili się do brata Jana ostrzegając, iż nie wolno mu ruszyć, póki nie złoży jakiego datku na wino dla pomocników hyclowskich, wedle taksy przepisanej zwyczajem.

— Na świętego Szuruburu — rzekł brat Jan — jeszczeście tutaj, sępy diabelskie? Nie dosyć mieliśmy utrapienia, abyście jeszcze wy nas nękali? Do kroćset czortów, zaraz wam utoczę wina, możecie być pewni.

Za czym, dobywszy mieczyka, wyszedł na ląd w zamiarze pozabijania ich bez pardonu; ale wzięli nogi za pas i jużśmy ich nie ujrzeli.

Nie skończyły się wszelako na tym nasze utrapienia. Gdy byliśmy przed obliczem Pazdura, niektórzy z naszych, za zezwoleniem Pantagruela, udali się do gospody, aby się pokrzepić i zabawić przy tym nieco; nie wiem, czy zapłacili sumiennie cechę, czy nie, dość że stara gospodyni ujrzawszy na lądzie brata Jana podniosła przed nim srogi lament w obecności strażnika (zięcia jednego ze Spaśnych Kotów) i dwóch świadków. Brat Jan, zniecierpliwiony ich gadaniną i żądaniem, rzekł:

— Słuchajcie, obwiesie, moi mili przyjaciele, czy macie zamiar powiedzieć, że nasi marynarze nie są uczciwi ludzie? Ja utrzymuję przeciwnie; udowodnię to wam na drodze prawnej; a ten tu mistrz Rapirek jest moim adwokatem.

To mówiąc śmignął z pochwy mieczem. Chłopki rzuciły się pędem do ucieczki; została jedynie stara, która zaczęła się zaklinać przed bratem Janem, iż jego majtkowie są bardzo uczciwi ludzie; użalała się jeno, że nic jej nie zapłacili za łóżko, na których po obiedzie spoczywali, i zażądała za każde łóżko pięć groszy dodatku.

— Doprawdy — rzekł brat Jan — to bardzo mało. To niewdzięcznicy, doprawdy; nie zawsze będą mieli ten towar tak tanio; zapłacę chętnie, ale chciałbym je widzieć.

Stara zaprowadziła go do mieszkania, pokazała łóżko i, wynosząc pod niebiosa wszystkie jego zalety, rzekła, iż wcale nie przesoliła żądając pięć groszy. Brat Jan dał jej pięć groszy; potem mieczykiem przeciął pierzynę i poduszkę na dwoje i rozpuścił przez okno pierze na wiatr. Stara zbiegła na dół i poczęła drzeć się wniebogłosy o rozbój i morderstwo, krzając się równocześnie około zbierania pierza. Brat Jan, nie zważając, zabrał koldrę, materac i prześcieradła na okręt, tak że nikt tego nie spostrzegł (powietrze bowiem było zamroczone pierzem niby płatkami śniegu) i rozdał wszystko majtkom. Potem rzekł Pantagruelowi, że w tym kraju łóżka są tańsze niż w samym Szynionie, chociaż tam mamy owe sławne pantylskie gęsi. Za całe bowiem łóżko starucha zażądała jeno pięć groszy, w Szynionie zaś trzeba by dać za nie co najmniej dwanaście franków.

Skoro tylko brat Jan i reszta kompanii znaleźli się na statku, Pantagruel kazał rozwinąć żagle; ale podniósł się wiatr zwany *sirocco*, tak gwałtowny, iż zmylili drogę i jakoby wracając w labirynt Spaśnych Kotów, dostali się w straszny wir. Fala była wielka i gwałtowna, majtek zaś posadzony na bocianim gnieździe krzyczał, iż widzi jeszcze obmierzłą siedzibę Pazdurową; czym przerażony do żywego Panurg wykrzyknął:

— Sterniku, przyjacielu, mimo wszelkich wiatrów i bałwanów, wykręcaj. O mój przyjacielu, nie wracajmyż do tego przemierzonego kraju, w którym zbyłem się sakiewki.

Za czym wiatr poniósł ich ku małej wyspie, do której wszelako nie mieli odwagi przybić wprost, jeno, na jaką milę, zaczęli kotwicę w pobliżu wielkich skał.

XVI. Jako Pantagruel przybył do Wyspy Apedeftów o długich palcach i krogulczych łapach, jako tam doznał straszliwych przygód i oglądał dziwne potwory

Skoro tylko zarzuciliśmy kotwicę i umocowali statek, spuściliśmy zaraz szalupę. Pantagruel, zmówiwszy pacierz i podziękowawszy Panu za ocalenie i ratunek w tak wielkim i groźnym niebezpieczeństwie, wstąpił wraz z całą załogą w szalupy, aby się dostać na ląd; co im przyszło bardzo łatwo, morze bowiem było spokojne i wiatr ustał. Jakoż w krótki czas znaleźli się u skał nadbrzeżnych. Gdy byli zajęci lądowaniem, Epistemon, który dziwował się położeniu wyspy i osobliwym kształtom skał, ujrzawszy kilku mieszkańców tej krainy. Pierwszy, do którego się zwrócił, odziany był w krótką szatę barwy królewskiej, w welniany kaftan z rękawami jedwabnymi u dołu, skórzanymi powyżej, i czapkę z kokardą; człowiek dość uczciwego obejścia i, jak dowiedzieliśmy się później, noszący imię Groszola. Epistemon spytał go, jak się nazywają te tak osobliwe skały i doliny. Odparł, że to jest kolonia przynależna do kraju Prokuracji i nazywa się Katastry; minawszy zaś te skały i przebywszy bród trafimy na Wyspę Apedeftów.

— Kroćset Ekstrawagantów! — zawołał brat Jan. — No a wy, z czegoż wy tu żyjecie, dobrzy ludziska? Czy moglibyśmy się napić z waszego kubka? nie widzę tu bowiem żadnych innych narzędzi jak tylko pergaminy, kałamarze i pióra.

— Bo też — odparł Groszola — żyjemy tylko z tego; jakoż wszyscy, którzy mają jaką sprawę tu na wyspie, przeszli przez nasze ręce.

— Dlaczego? — rzekł Panurg — czyście wy balbierze, że każdego musicie ogolić?

— Tak — odparł Groszola — jeśli chodzi o wygolenie sakiewki.

— Jak mi Bóg miły — rzekł Panurg — ode mnie nie zobaczycie ani szeląga. Ale proszę was, miły druhu, zawieźcie nas

do tych Apedestów, wędrujemy bowiem z kraju uczonych, gdzie niewiele dało się utargować. Tak rozmawiając doszli do Wyspy Apedestów, gdyż tymczasem przyszedł odpływ. Pantagruel wielce dziwował się budowlom, mieszkaniu i obyczajom ludzi tamecznych; mieszkają bowiem w wielkiej prasie, do której wstępuje się blisko po pięćdziesięciu stopniach; nim się wejdzie do głównej prasy (jako że są tam małe, duże, tajne, średnie i w ogóle wszelakiego rodzaju), przechodzi się przez wielki przedsionek, gdzie widzi się w krajobrazie, jakoby ruinę całego świata, takie mnóstwo szubienic i kar dla zbrodniarzy, mnóstwo haków, tortur, aż zgola strach nas obleciał od tego widoku. Widząc Groszopol, iż Pantagruel zatrzymał się na tym miejscu, rzekł:

— Panie, chodźmy dalej: to jeszcze nic.

— Jak to — rzekł brat Jan — jeszcze nic? Na duszę mego rozgrzanego rozporka, toć my oba, Panurg i ja, drżymy już ze strachu. Wolalbyśmy raczej popić niż oglądać te utrapienia.

— Chodźcie — rzekł Groszopol.

Zaprowadził nas tedy do małej prasy ukrytej na samym tyle, którą w narzeczu wyspy nazywano *Pithia*. Nie potrzebujecie pytać, czy brat Jan się tam uraczył, a dopiero Panurg! pełna była bowiem kielbas milańskich, indorów, kapłonów, gluszców, malmazji i innych znakomicie przyrządzonych potraw. Jakiś skromny piwniczny widząc, iż brat Jan skierował miłośne spojrzenie na pewną buteleczkę umieszczoną blisko kredensu, oddzielnie od armii butelczanej, rzekł do Pantagruela:

— Panie, widzę, że jeden z waszych ludzi umizga się do tej tu butelki; błagam was wszelako usilnie, niech jej nikt nie dotknie, bo to jest dla samych Panów.

— Jak to — rzekł Panurg — więc są tu jacyś panowie? Widzę, że im się dobrze dzieje.

Wówczas Groszopol zaprowadził nas ukrytymi schodkami do małego pokoju. Stamtąd pokazał nam owych Panów, ukrytych w wielkiej prasie, do której, jak nam powiedział, nikomu

nie było wolno wejść bez pozwolenia, ale którą, nie widziani przez nich, widzieliśmy dobrze przez szybę w oknie.

Skorośmy się tam znaleźli, ujrzelśmy w wielkiej prasie dwudziestu czy dwudziestu pięciu srogich wisielców, koło wielkiego kata ubranego zielono. Wszyscy wytrzeszczali na siebie oczy wzajem; ręce zaś mieli długie jako łapy żurawie, a pazury co najmniej na dwie stopy; nie wolno im bowiem nigdy ich obcinać tak że stają się haczykowate jako u krogulca. Równocześnie wniesiono wielkie grono winne z gatunku uprawianego w tym kraju, ze szczepu Ekstraordynariów, które najczęściej wiszą na słupkach. Skoro tylko przyniesiono grono, włożyli je do prasy i nie było ani ziarenka, z którego by nie wycisnęli złotej oliwy; aż biedne grono wyszło stamtąd tak suche i wyciśnięte, iż nie miało ani kropli soku i wilgoci.

— Wprawdzie — mówił Groszopol — nie często trafiają się im te piękne, duże sztuki; ale zawsze mają bodaj jakieś pod tłocznią.

— Tedy, mój kumie — rzekł Panurg — muszą mieć dużo szczepów?

— Myślę sobie — odparł Groszopol. — Widzicie oto te małe gronka, które tam wkładają właśnie do tłoczni? to szczep *Dziesięcinny*; już go kiedyś wyciskali pod prasą, ale sok pachniał księżą skrzynią i Panowie niewiele w nim znaleźli smaku.

— Dlaczegoż tedy — spytał Pantagruel — dają je owi Panowie do tłoczni?

— Aby się przekonać — rzekł Groszopol — czy nie zostało przez przeoczenie bodaj trochę jeszcze wilgoci.

— Do kroćset — rzekł brat Jan — i wy nazywacie tych ludzi ignorantami? Ech, u diaska! toć oni wycisnęliby oliwę ze ściany.

— Tak też i czynią — odparł Groszopol — nieraz bowiem dają do tłoczni zamki, parki, lasy, i ze wszystkiego wyciskają płynne złoto.

— Jakże to? — spytał Epistemon.

— Powiadam płynne — odparł Groszołap — pije się tu bowiem i zagłada do niejednej flaszki, do której by się nie powinno. I szczepów przeróżnych jest tyle, że trudno nawet wiedzieć ich liczbę. Przejdźcie tu jeno i spojrzcie na podwórze: więcej tam niż tysiąc czeka, aż przyjdzie ich kolej pod tłocznię. Tu oto szczep powszechny, pospolity; tutaj osobliwe, fortyfikacyj, pożyczek, darowizny, akcydensów, domen, drobnych przyjemnostek, pocztowy, ofiarny, dworski.

— A co zacz ten gruby szczep, koło którego kupią się wszystkie małe?

— To — rzekł Groszołap — szczep skarbowy, najlepszy z całego kraju. Kiedy się wycisnie soczek z tego szczepu, w pół roku potem nie ma ani jednego z Panów, który by się nim nie skrzepił.

Kiedy Panowie odeszli, Pantagruel poprosił Groszołapa, aby nas zaprowadził do tej wielkiej prasy, co też chętnie uczynił. Ledwieśmy weszli, Epistemon, który rozumiał wszystkie języki, zaczął pokazywać Pantagruelowi nadpisy tej prasy. Była duża, piękna, rzeźbiona, jak nam powiedział Groszołap, z drzewa krzyżowego; i na każdym przyrządzie były wypisane nazwy każdej rzeczy w języku krajowym. Szruba nazwana była *podatkiem*, skrzynia *wydatkiem*, nasada *państwem*, części boczne *pobory liczone a nie wybrane*, międlica *niedobór*, gwint *radietur*; watory *recuperatur*; kadź *nadwartość*; uszy *taryfy*; walce *akwity*; kosze *reasumpcje*; drągi do noszenia *nakaz prawomocny*; wiadra *urząd*; lejek *kwitancja*.

Na królowę Kielbasek — rzekł Panurg — wszystkie hieroglify Egiptu nie doścignęły tej gwary. Cóż u diaska! Tak ozdobnie nadają się te słowa do rzeczy, jak kozie łajno do półmiska. Ale powiedzcie mi, kumie, przyjacielu, czemu nazywają tych ludzi ignorantami?

— Dlatego — rzekł Groszołap — że nie są i nie powinni być uczeni i że tutaj, z wyższego rozkazu, wszystko powinno się

dziać przez niewiedzę i nie powinno być w niczym inszej racji jak tylko: Panowie orzekli; Panowie żądają; Panowie rozkazali.

Następnie oprowadził nas po najrozmaitszych mniejszych prasach, wychodząc zaś ujrzelśmy znowuż małego kata, koło którego było kilku owych ignorantów, brudnych i rozjuszonych niczym osieł, któremu się przywiąże zapaloną rakiętę do zadka. Ci w małej prasie, którą mieli przed sobą, wyciskali jeszcze raz soczek, biorąc kolejno jedno grono po drugich; nazywano ich w języku krajowym *Korektorami*.

— W życiu nie zdarzyło mi się widzieć obrzydliwszych łajdaków — rzekł brat Jan.

Od tej wielkiej prasy przeszliśmy przez różne mniejsze, wszystkie pełne parobków obłuskujących grona za pomocą żelaznych przyrządów, które nazywają *artykuły rachunkwe*; w końcu przybyliśmy do sali w podziemiu, gdzie ujrzelśmy wielkiego doga, o dwóch głowach psich, o brzuchu wilczym, z pazurami jak diabeł lambelski, który karmił się tam mlekiem Grzywien i bardzo był łaskawie traktowany z rozkazu Panów, każdemu bowiem przyczyniał rocznie tyle, co dochód z dobrego folwarku. Nazywali go w języku ignoranckim *Duplum*. Przy nim siedziała jego matka, podobnej sierści i postawy, z tą różnicą że miała cztery głowy, dwie samca a dwie samicy, i nosiła imię *Quadruplum*. Była to najzłośliwsza bestia w całym obejściu i najniebezpieczniejsza ze wszystkich po swojej babce, którą ujrzelśmy zamkniętą w klatce, a nazywano ją *Uchylenie się od zapłaty*.

Brat Jan, który miał zawsze dwadzieścia łokci kiszek próżnych, gdy chodziło o to, aby spożyć bigos z jakiego adwokata, zaczynał szemrać pod nosem i nakłaniać Pantagruela, aby myślał o obiedzie i nie zaniedbał wziąć z sobą Groszołapa. Za czym wyszedłszy tylnymi drzwiami spotkaliśmy starego człeka okutego w kajdany, półgłupca a półmądrą, coś niby diabelską Androgyne: uzbrojony był w okulary jak żółw w skorupę i żył jedynie potrawą nazywaną w ich narzeczu *Apelacją*. Widząc go

Pantagruel zapytał Groszola, z jakiej rasy jest ów pronotarius i jak się nazywa. Groszola opowiedział nam, iż jest tu od wiecznych i niepamiętnych czasów zakuty w kajdany, ku wielkiemu żalowi i niezadowoleniu Panów, przez co ginie niemal z głodu; a nazywał się *Revisit*.

— Na święte jajka Papieża — rzekł brat Jan — nie dziwię się, że owi panowie ignoranci tak wiele sobie robią z tego plugawca. Dalibóg, bracie Panurgu, gdy mu się dobrze przypatrzyć, zdaje mi się, że on ma wykapaną gębę naszego Pazdura; ho ho, widzę, że przy całej ignorancji rozumieją się oni na rzeczy niegorzej od innych. Odesłałbym go chętnie tam, skąd przyszedł, poganiając tęgim bykowcem.

— Na moje tureckie okulary — rzekł Panurg — bracie Janie, mój druhu, masz słuszość; sądząc bowiem z gęby tego fałszywego obwiesia *Revisita*, jest on z pewnością większy ignorant i złośliwiec niż te biedne ignoranty, które skubią, ile się da i ile mogą, bez długich procesów, i którzy za pomocą trzech słówek umieją wygolić wiunicę do czysta, bez tylu interlokucyj i deliberacji, o co Spaśne Koty są wielce oburzone.

XVII. Jako przebyliśmy Buklak i jako Panurg omal tam nie poległ

Z kolei skierowaliśmy się na drogę do Buklaku i opowiedzieliśmy swoje przygody Pantagruelowi, który powziął bardzo wielkie współczucie i dla zabicia czasu zaczął rozwodzić się w żalach. Przybywszy na miejsce pokrzepiliśmy się nieco i zaczępnęli świeżej wody; wzięliśmy także zapas drzewa. Miejscomi ludzie zdali się nam z wejrzenia dobre kompani i lubiący sobie żyć wygodnie. Wszyscy byli workowatej kompleksji i kapali od tłuszczu; i spostrzegliśmy (czego nie widzieliśmy w żadnym kraju), że rozcinają sobie skórę, aby wypuszczać przez nią podszewkę z tłuszczu, tak jak niektóre głupki w moich strojach rozcinają wierzch u pludrów, aby się popisywać podszew-

ką z jedwabiu. I powiadali tamci, że nie czynią tego dla chwały i dla parady, jeno że nie mogą inaczej wytrzymać w swojej skórze. I czyniąc tak, prędzej rosną, podobnie jak ogrodnicy nacinają korę młodych drzewek, aby prędzej rosły.

Koło portu była traktiernia, z zewnątrz bardzo pięknej i wspaniałej postaci. Widząc, jak zbiega się ku niej tłumnie cały naród Buklaków, wszelkiej płci, wieku i stanu, mniemaliśmy, iż musi się tam odbywać jakaś wielka uroczystość i uczta. Ale powiedziano nam, że to krewni, przyjaciele i znajomi zaproszeni są na pękowiny gospodarza i spieszą tam tak pilnie. Nie zrozumieliśmy zrazu tej gwary i mniemaliśmy, iż w tym kraju nazywają jakoweś gody „pękowiny“, jak gdzie indziej nazywają się zrękowiny, zaślubiny, oczepiny, postrzyżyny itd. Tedy objaśniono nas, iż ów gospodarz był to swego czasu tęgi żarłok, wielki smakosz, amator zupek lionńskich, pilnie przestrzegający godziny bandziocha i rad zadrzemujący się przy stole. Ten, naskładawszy przez dziesięć lat tłuszczu, przyszedł teraz na swoje pękowiny i wedle miejscowego obyczaju, kończył żywot pękając, ponieważ błona brzuszna i skóra przez tyle lat nadecinane nie mogły się już zamknąć i strzymać jego bebeczów, aby się nie wylały na zewnątrz jakoby z rozbitej beczki.

— Jak to, dobrzy ludzie — rzekł Panurg — nie moglibyście mu co poradzić, za pomocą tęgiego rzemienia albo tęgiej jarzębowej lub zgoła żelaznej obręczy, aby mu ten brzuch opasać? W ten sposób spętany, nie tak łatwo oddałby flaki na zewnątrz i nie tak rychło by się rozpukł.

Jeszcze nie dokończył, kiedy usłyszeliśmy w powietrzu głośny i przenikliwy dźwięk, jak gdyby wielki dąb rozpękł się na dwie części; za czym sąsiedzi powiedzieli nam, że pękowiny już się dokonały i że ten odgłos to było pierdnięcie śmierci.

Na to przypomniał mi się czcigodny opat szafelski, który nie raczył obracać swoich dziewczuszek pokojowych inaczej niż *in pontificalibus* i który, nękany od przyjaciół i krewnych, aby

ustąpił na stare lata z opactwa, zaklął się, iż nie wyzuje się z godności, póki tchu mu stanie, i że ostatnie pierdnięcie, jakie wyda z siebie jego Wielebność, będzie jeszcze pierdnięciem opata.

XVIII. Jako nasz statek osiadł na mieliźnie i jako wspomogli nas niektórzy podróżni przybywający od Pani Kwinty

Podniósłszy kotwice i zwinawszy sznury, z podmuchem łagodnego zefira rozwinęliśmy żagle. Około dwudziestej drugiej mili podniósł się wściekły wir najsprzecznějších wiatrów. Zaczynamy chodziliśmy bardzo oględnie koło wielkiej reji i wszelkiego masztu, aby się nie zdało, iż nieposłuszni jesteśmy pilotowi. Ten upewniał nas, zważywszy na łagodność wiatrów i ich ucieszne pofurkiwanie, a także życzliwość pogody i spokojność prądów, iż nie trzeba się spodziewać ani niczego bardzo dobrego, ani też obawiać bardzo złego; dlatego najodpowiedniejszą będzie dla nas rada filozofa, który nakazuje podtrzymywać i wytrzymywać, to znaczy temporyzować. Tak długo wszelako trwał ten wir powietrzny, iż na wielką naszą prośbę pilot spróbował przemóc go i płynąć dalej pierwotną drogą. W istocie, nastawiwszy wielki maszt i kierując ster prosto wedle busoli, wyrwał okręt (co prawda z wielkim wysiłkiem) z tego wiru. Ale nie większa była stąd dla nas pociecha, niż gdybyśmy omijając Charybdę wpadli w Scyllę. O dwie mile bowiem od tego miejsciska okręty osiadły na piaszczystej mieliźnie, podobnej jak jest koło Saint-Maiksant.

Cała załoga zasmuciła się wielce; jeden brat Jan nie poddał się melancholii, jeno łagodnymi słowy pocieszał to tego, to owego, przedstawiając, iż niebawem przyjdzie pomoc z nieba i że widział Kastora już nad samą reją.

— Dalby Bóg — rzekł Panurg — abyśmy w tej chwili byli na lądzie. Więcej żądam, aby każdy z was, którzy tak lubicie morskie podróże, miał po dwieście tysięcy dukatów; zabiłbym

młodego cielaczka za wasz szczęśliwy powrót. Ba! godzę się zostać na zawsze nieżonatym, jeno sprawcie, abym już był na lądzie i znalazł konika, na którym bym mógł wrócić; bez pacholka mogą się wreszcie obejść. Nigdy mi się tak dobrze nie dzieje, jak kiedy jestem bez pacholka. Plaut zgoła nie kłamie, gdy powiada, że ilość naszych krzyżów, to znaczy utrapień, niedoli, przykrości, jest w proporcji do ilości naszej służby; choćby nawet była bez języków, który jest częścią najbardziej niebezpieczną i złośliwą u każdego służącego i dla której jedynie wynalezione zostały męki, tortury i krwawe inkwizycje na lokajów. Tak jest, dla tej a nie innej przyczyny; mimo iż Fakto-rzy prawa w naszych czasach (choć w innym kraju) wyciągnęli z tego konsekwencje alogiczne, to znaczy bezrozumne.

W tejże godzinie zbliżył się ku nam okręt naładowany bebenkami. Rozpoznałem na nim paru podróżnych z godnych domów, między innymi Henryka Chwosta, starego kompana, który u pasa nosił wielki ośli chwościk, tak jak kobiety noszą różańce. W lewej ręce trzymał grubą, tłustą, starą i brudną czapkę świerzbowatego; w prawej zaś wielki głab kapusty. Skoro tylko mnie poznał, wydał okrzyk radości i rzekł:

— No? mam czy nie mam? patrzcie (wskazał na chwościk u pasa): oto prawdziwe *amalgama*; ta czapeczka doktorska to nasz jedyny Eliksir, a to (pokazując głab kapusty) to *Lunaria major*. Do zobaczenia za powrotem.

— Ale — rzekłem — skąd jedziecie, dokąd dążycie, co wie-ziecie? Czyście bodaj powąchali wody morskiej?

Odparł mi:

— Z Kwinty do Turenii; bez wypadku; alchemii, ile się zmieści w zadku.

— A co za ludzi — spytałem — macie tam z sobą na pokładzie?

— Śpiewaków — odparł — muzyków, poetów, astrologów, wierszokletów, geomantów, alchemików, zegarmistrzów: wszy-

stko wasale Pani Kwinty i mają od niej piękne i obszerne listy polecające.

Nie dokończył tej mowy, kiedy Panurg, oburzony i rozgniewany, rzekł:

— Hej tam, wy, którzy robicie wszystko, ba, nawet piękną pogodę i małe dzieci, dlaczego oto nie zaczepicie za dziób naszego okrętu i nie wyholujecie nas bez próżnej zwłoki na pełną wodę?

— Właśnie miałem ten zamiar — rzekł Henryk Chwost — czekajcie, tuj tuj, za chwilę zdejmemy was z mielizny.

Za czym kazał przedziurawić 7532810 wielkich bębnow z jednej strony, obrócił je tą stroną ku przodowi okrętu i ściśle powiązał linami. Następnie umocował nasz dziób do zadu ich okrętu i również mocno ściągnął liną. W końcu za jednym zamachem zwłókl nas z piasku, z bardzo wielką łatwością i nie bez uciechy. Dźwięk bowiem bębnow złączony z łagodnym szelestem żwiru i krzykami załogi brzmiał nam harmonią podobną do harmonii kręcących się gwiazd, którą Platon, wedle tego, co mówi, słyszał niekiedy w nocy we śnie.

W zamian za tę przysługę, nie chcąc okazać się niewdzięcznikami, rozdzieliliśmy między nich nasze kielbaski, napelniliśmy serdelkami ich bębny i wyciągnęliśmy na podkład sześćdziesiąt i dwie baryłki wina. Aliści w tej chwili dwa wielkie wieloryby trąciły gwałtownie o ich okręt, lejąc nań więcej wody, niż jej zawiera rzeka Wiena od Szynionu aż do Somury; tak iż napelniły wodą wszystkie bębny, zmoczyły żagle i skąpały ich samych po szyję. Co widząc Panurg wpadł w radość tak niezmierną i tyle śmiechu wykrzesał ze swej śledziony, że później dławila go kolka więcej niż dwie godziny.

— Chciałem — mówił — poczęstować ich winem, ale oni woleli zalewać się wodą. Wodą słodką oni gardzą i używają jej tylko do mycia rąk. Za to ta smaczna słona wodusia posłuży im za boraks, salmiak i saletrę w kuchni Geberskiej.

Więcej nie mogliśmy z nimi rozmawiać, chwycił nas bowiem prąd, odejmując swobodę sterowania. Za czym prosił nas pilot, abyśmy jemu zostawili kierowanie okrętem, sami zaś troszczyli się jeno o kuchnię i piwnicę. Rzekł też, iż na tę chwilę należy płynąć z prądem i dać mu się unosić, jeżeli bez niebezpieczeństwa chcemy przybyć do królestwa pani Kwinty.

XIX. *Jako przybyliśmy do królestwa Kwinty-Esencji, zwanej też Entelechią*

Skorośmy tak roztropnie dali się nieść prądowi przez pół dnia, na trzeci dzień z kolei pogoda zdała się wyjaśniać i szczególnie zawinęliśmy do portu w Matheotechnii, mało co oddalonego od pałacu Kwinty-Esencji. Wsiadłszy w porcie spotkaliśmy się nos w nos z wielką mnogością strażników i żołnierzy, którzy strzegli arsenału. W pierwszej chwili przestraszyli nas nieco, kazali bowiem wszystkim oddać broń i szorstko nas spytali:

— Skądże to Bóg prowadzi, moje kmotry?

— Wujaszku — odparł Panurg — jesteście Tureńczycy. Przybywamy z Francji w żądzy złożenia poklonu pani Kwinty-Esencji i zwiedzenia przesławnego królestwa Entelechii.

— Jak powiadacie? — spytali — czy mówicie Entelechia czy Endelechia?

— Szwagierku, kochasiu — odparł Panurg — jesteście ludzie prości i nieuczzeni, daruj więc gminność naszego wysławienia; serca za to są szczerze i uczciwe.

— Nie bez przyczyny — odparli — spytaliśmy was o tę różnicę; bywało bowiem tutaj wielu innych z waszego kraju tureńskiego, którzy zdawali się nam pocziwe ciemięgi i mówili, jak się należy; ale z innych krajów bywali tu znów inni, straszliwe pyszałki, hardzi jak Szkoty, którzy na samym wstępie chcieli się z nami uparcie sprzeczać; aleśmy im dobrze zmyli głowę, mimo że zadzierali ją tak wysoko. Czy w waszym kraju

— tak bardzo nie ma nic do roboty, iż nie wiecie, co z czasem począć lepszego jak tylko rozprawiać o naszej pani królowej, dysputować i pisać brednie? Trzeba też było, aby Cyceron poniechał swej republiki i tym się parał, i Diogenes Laercjusz, i Theodorus Gaza, i Argyrofilos, i Bessarion, i Policjan, i Budeus, i Laskaris, i cały kram tych zwariowanych mędrków, których liczba nie była widać jeszcze dość wielka, skoro ją świeżo pomnożyli w ostatnich czasach Skaliger, Brigot, Chambrier, Franciszek Fleury i inni tam jeszcze smarkaci kawalerowie? Niechże im grypa zatka podniebienie wraz z języczkiem! Mam ich...

— Cóż oni, u diabła, tak schlebiają diabłu — mruknął Panurg.

— Nie przybyliście tutaj, aby podtrzymywać ich w owym szaleństwie i nie po to was tu wysłano; nie będziemy tedy już o nich mówili. Arystoteles, pierwszy mędrzec i filar całej filozofii, był ojcem chrzestnym naszej pani królowej; on to, bardzo godnie i trafnie, nazwał ją Entelechią. Entelechia jest jej prawdziwe imię; niech się tu usra szczerą żółcią, kto ją nazwie inaczej. Kto ją inaczej nazywa, błądzi na niebie i ziemi! Witamy was z całego serca.

Zbliżali się z uściskiem, co nas bardzo ucieszyło. Panurg rzekł mi do ucha:

— Towarzyszu, czyś ty nie miał trochę pietra przy tym pierwszym spotkaniu?

— Trochę — odparłem.

— Ja bo miałem więcej, niżeli niegdyś żołnierze Efraima, kiedy Galaadyci pobili ich i potopili za to, iż zamiast Szibboleth rzekli Sibboleth. I nie ma człowieka, żeby nie przesadzić, w naszej rodzinnej wiosce, który by mi nie zatkał łąco dziury w zadku wózkiem siana.

Następnie w milczeniu i z wielkimi ceremoniami powiódł nas kapitan do pałacu królowej. Pantagruel chciał z nim nieco porozmawiać; ale tamten, nie mogąc wspiąć się tak wysoko,

ogłądał się za drabinką albo też za parą wysokich szczudeł. Następnie rzekł:

— Ba! żeby nasza pani królowa zechciała, bylibyśmy tak duzi jak i ty. Kiedy będzie jej wola, i to się stanie.

W sieniach pałacu spotkaliśmy wielką ciżbę ludzi chorych, rozmaicie pomieszczonych wedle rodzaju choroby. Trędowaci osobno, zatruci w jednym miejscu, zadżumieni gdzie indziej, francowate w pierwszym rzędzie i podobnie wszyscy inni.

XX. Jako Kwinta-Esencja leczyła choroby za pomocą piosenek

Na drugiej galerii ukazał nam kapitan młodą damę (miała co najmniej tysiąc osiemset lat) piękną, delikatną, ubraną załotnie, pośród swoich dam i szlachty. Kapitan rzekł:

— Nie jest teraz pora z nią mówić; bądźcie jedynie uważnymi widzami wszystkiego, co czyni. Wy macie królów, którzy nadprzyrodzonym sposobem leczą niektóre choroby, jak skrofuły, wielką chorobę, febrę kwartanę; jeno przez samo włożenie rąk. Ta oto nasza królowa leczy wszystkie choroby bez dotknięcia, jeno grając im jakąś piosenkę, wedle rodzaju choroby.

Następnie pokazał nam organy, na których grając dokonywała cudownych kuracji. Były bardzo osobliwego kształtu: rury bowiem były z lewatyw, pudło z drzewa gwajaku, klawisze z rabarby, pedały z turbitu, a klawiatura ze skamonium.

Podczas gdyśmy oglądali tę nową i cudowną budowę organów, jej abstraktorzy, spodyzatorzy, masyterowie, preguści, tabachinowie, chachaniny, neemaniny, rabrebany, nercyni, rozuińi, nedybiny, nearyny, segamiony, perazoni, chezypiny, sarryny, sotrony, abothy, eniliny, archadasperyńi, mebyńi, giboryńi i inni nadworni oficjerowie wprowadzili trędowatych; zagrała im piosenkę i zaraz zupełnie ozdrowieli. Potem wprowadzono otrutych; zagrała im inną piosenkę i wraz powstałi na

nogi. Potem ślepi, głusi, niemi, paralitycy tak samo. To nas (i nie bez słuszości) tak przestraszyło, że padliśmy na ziemię ścieląc się na twarz, pogrążeni w ekstazie i zachwyceniu niezmiernym nad mocą, jaką w oczach naszych objawiła ta pani; i żaden z nas nie mógł wymówić słowa. Tak leżeliśmy na ziemi; ale ona dotknawszy Pantagruela pięknym bukietem białych róż, który trzymała w ręku, wróciła nam zmysły i dozwoliła podnieść się na nogi. Następnie rzekła nam słowa jedwabnymi (jako żądała Parysatis, aby mówili ci, którzy odzywali się do syna jej Cyrusa) albo przynajmniej aksamitnymi:

— Zaczność polyskująca na peryferii waszych osób daje mi pewne świadectwo cnoty, mieszczącej się w centrum waszego skupienia duchowego; widząc miódopłynną słodycz waszych powściągliwych oznak uszanowania, z łatwością nabieram dufności, iż serce wasze nie jest skalane żadnym błędem, żadną poczwarnością wyzwolonej i wysokiej wiedzy, jeno iż jest zbiornikiem wybornej i rzadkiej dyscypliny, którą obecnie, w przeważającym zalewie pospolitego obyczaju nienauczonego tłumu, łatwiej jest szacować, niż spotykać. Oto przyczyna, dla której ja, jakkolwiek od dawna zdolna panować nad wszelakim osobistym afektem, nie mogę się teraz oto wstrzymać od pozdrowienia was najbardziej pospolitym słowem, to jest, abyście byli bardzo, najwięcej, trzykrotnie pozdrowieni.

— Ja tam nie jestem żaden uczony — rzekł mi po cichu Panurg — odpowiedz, jeśli masz ochotę.

Ja wszelako nie odpowiedziałem, Pantagruel również nie, i tak trwaliśmy w milczeniu. Za czym rzekła królowa:

— Z waszej niemoty poznaję, że nie tylko pochodzicie ze szkoły Pitagorasa, z której wzięło początek w sukcesywnej propagacji starożytne pokolenie moich protoplastów, ale snadź także w Egipcie, słynnej kuźnicy wysokiej filozofii, przez ciąg niejednej odmiany miesiąca gryźliście paznokcie i skrobali się palcem po głowie. W szkole Pitagorasa niemota była symbolem wiedzy; milczenie było u Egipcjan sławione boskimi pochwa-

mi, kapłani zaś w Hieropolis ofiarowali swemu Bogu w milczeniu, nie czyniąc najmniejszego szmeru ani nie mówiąc słowa. Nie jest moim zamiarem popaść wobec was w przewinę niedostatku wdzięczności; i owszem, przy pomocy żywej formalności, byleby materia była skłonna ze mnie się wyabstrahować, gotowa jestem uzewnętrznic wam ekscentrycznie swoje myśli.

Wyrzekłszy te słowa zwróciła się do dworzan i rzekła jeno:

— Tabachinowie, do Panaceów.

— Na to tabachinowie objaśnili nas, iż musimy królowej darować, że nie będzie obiadować z nami; na obiad bowiem nie zwykła nic jadać prócz trochy kategorii, jekabotów, emninów; dimionów, abstrakcyj, harborinów, cheliminów, wtórnych intencji, karadotów, antytez, metampsychoz i prolepsji transcendentalnych.

Następnie zawiedli nas do gabinetu wytapetowanego samymi strachami i tam uraczyli nas, niech im Bóg da zdrowie! Powiadają, że Jowisz spisuje wszystko, co się dzieje na świecie, na pergaminowej skórze kozy, która wykarmiła go w Kandii i którą, walcząc z Tytanami, posługiwał się jak tarczą, od czego nazywają go Egiuchos. Na moje święte pragnienie, bracia pijaki, przyjaciele: potraw, jakimi nas tam uraczono, przystawek i zakąsek, jakie nam podano, nie spisałby na osiemnastu skórach kozich, chociażby nawet tak małymi literami, w jakich Cycero (tak powiada) czytał Iliadę Homera, którą dało się schować całą w łupinie orzecha. Co do mnie, chociażbym miał sto języków, sto ust, spiżowy głos i miódopłynną wymowę Platona, nie umiałbym i w czterech księgach przedstawić wam trzeciej części połówki tego wszystkiego. I powiadał mi Pantagruel, że wedle jego rozumienia, kiedy owa pani rzekła swoim kuchtom: „Do Panaceów“, dała im znak symboliczny, oznaczający u nich najlepszy poczęstunek, jako: „W Apollinie“ powiadał Lukullus, kiedy chciał osobliwie uraczyć swoich przyjaciół, choćby go nawet zaskoczyli niespodzianie, jak to czynili niekiedy Cyceron i Hortensjusz.

XXI. Jak królowa spędzała czas po obiedzie

Skorośmy ukończyli obiad, sługa dworski wprowadził nas do komnaty królowej. Ujrzelśmy ją, jak po posiłku, wedle swego obyczaju, w towarzystwie panien i księżąt dworu przesiewa sitem, cedzi durszlakiem, pytluje i pędzi czas za pomocą pięknego i dużego sita z białego jedwabiu. Następnie spostrzeżliśmy, iż wskrzeszając starożytne obyczaje tańczą społem:

Kordaks,	Jambliki,	Karnophorum,
Emmelię,	Persyki,	Mongas,
Kalabriumum,	Phrygium,	Termanstris,
Molossicum,	Nikatismum,	Florulę,
Sycynię,	Thracium,	Pyrshicum

i tysiąc innych tańców.

Następnie na jej zlecenie zwiedziliśmy pałac i ujrzelśmy rzeczy tak nowe, cudowne i osobliwe, iż gdy myślę o tym, dziś jeszcze rozpiływam się w zachwycie. Najbardziej wszelako zdjęły nas podziwem cudowne dzieła jej panów dworskich, abstraktorów, parazonów, nedybinów, spodyzatorów i innych, kórzy rzekli nam wręcz, bez obłudy, iż pani królowa czyni same niemożliwości i leczy jeno samych nieuleczalnych; oni zaś, dworzanie, załatwiają i kupują resztę.

Ujrzałem tam młodego Parazona, jak leczył dotkniętych francą i to nie byle jaką, jakobyś rzekł ruleńską, a to jedynie dotykając po trzykroć kościstych wyrostków kręgosłupa starym pantoflem.

Innego widziałem, jak leczył radykalnie opuchlaków, cierpiących na bębnicę, puchlinę i hyposarkę, uderzając ich dziewięć razy w brzuch tenetyjskim młotkiem bez naruszenia ciągłości tkanek.

Inny leczył w momencie wszystkie febry jeno przez to, iż do pasa cierpiących na febrę wiązał po lewej stronie ogon lisa.

Inny leczył ból zębów przepłukując jeno trzy razy korzeń schorzonego zęba octem siedmiu złodziei i każąc go suszyć pół godziny na słońcu.

Inny — wszelaki rodzaj pedogry, gorącej czy zimnej, wrodzonej czy przygodnej, zalecając jeno pedogrykom zamknąć usta, a otworzyć oczy.

Innego widziałem, który w niewiele godzin uleczył dziewięciu tęgich szlachciców z choroby św. Franciszka, oczyszczając ich z długów i zakładając każdemu na szyję sznurek, na którym wisiała sakiewka z dziesiątkiem tysięcy ważnych dukatów.

Inny, za pomocą cudownej maszyny, wyrzucał domy przez okna; w ten sposób oczyszcza je ze złego powietrza.

Inny leczył wszystkie trzy rodzaje suchotników, atrofików, tabetyków zmacerowanych, i to bez kąpeli, bez tabiańskiego mleka, bez plastrów, baniek i innego lekarstwa: omniszając ich jeno na trzy miesiące. I twierdził, że jeżeli w stanie zakonnym nie nabiorą sadła, nigdy się już nie upasą, sztuką ani naturą.

Innego ujrzałem otoczonego wielką ilością kobiet w dwóch gromadach. Jedna była z samych dziewczątek, smacznych, wdzięcznych, rumianych, figlarnych i wcale nie srogich, o ile mi się zdało. Druga ze staruch bezzębnych, zmurszałych, pomarszczonych, wyschniętych i trupich. I powiedziano Pantagruelowi, iż on przetapia stare na nowe, odmładzając je w tym wdzięcznym kształcie i mocą swojej sztuki zmieniając je w owe dziewczynki. I te, któreśmy widzieli, tego dnia właśnie przepili ze starych i zupełnie wróciły do podobnej piękności formy, elegancji, proporcji i układu członków, jakie posiadały w piętnastu lub szesnastu leciech; z wyjątkiem jeno pięć, które zostawały im nieco krótsze niż w pierwszej młodości. To była przyczyna, dlaczego odtąd w każdym spotkaniu z mężczyzną bardzo były skłonne i łatwe do przewrócenia się wznak. Gromada starych czekała z wielkim nabożeństwem drugiego waru i piły czarodzieja nieustannie, przytaczając, iż to jest rzecz nie do zniesienia w naturze, kiedy kuprowi mającemu najlepsze chęci zbywa na urodzie. I miał on w swojej sztuce nieustanną praktykę i zysk wcale nie byle jaki. Pantagruel spytał, czy za pomocą takiego przetapiania odmładza także starych mężczyzn.

Odpowiedziano, że nie; jeno iż dla mężczyzn sposób odmłodzenia się polega na obcowaniu cielesnym z przetopioną kobietą, z tego bowiem czerpie się ową kwint-esencję francowatej choroby zwanej Pelladą, po grecku *Ophisais*, dzięki której odmienia się sierć i skórę, jako czynią corocznie węże, i młodość się w nich odświeża, jako u feniksów w Arabii. To jest prawdziwe źródło młodości; w nim, kto był stary i zmurszały, staje się młody, rześki i wesół; jako powiada Eurypides, iż przygodziło się Jolausowi; jako zdarzyło się pięknemu Faonowi, tak ukocha-nemu od Safony, za łaską Wenery; Tytonowi za sprawą Aurory; Ezonowi mocą sztuk Medei; i podobnie Jazonowi, którego ona, wedle świadectwa Pherecydesa i Symonidesa, również odświeżyła i odmłodziła; takóŜ powiada Eschylos, iż przygodziło się to karmicielkom dobrego Bachusa i ich mężom także.

XXII. Jako dworzanie Pani Kwinty uprawiają rozmaite sztuki i jako Jej Wysokość podniosła nas do stanu i godności Abstraktorów

Następnie ujrzałem wielką liczbę dworzan, którzy w najkrótszym czasie wybielali Murzynów, pocierając im jeno brzuch denkiem koszyka.

Inni, za pomocą trzech par lisów wprzęgniętych w jarzmo, orali piaszczyste wybrzeże i siali w nie ziarno z dobrym skutkiem.

Inni myli cegły i pozbawiali je farby.

Inni wyciągali wodę z kamienia, który nazywacie pomeksem, tłukąc go długo w marmurowym moździerzu i zmieniali jego substancję.

Inni strzygli osły i chwalili sobie ich wełnę.

Inni zbierali winne grona z cierni a figi z ostów.

Inni doili mleko z kozłów i zbierali je do sita, z wielkim pożytkiem dla gospodarstwa. Inni myli głowy osłom, nie marnując mydła daremnie. Inni łowili wiatr sieciami i chwyтали przy tym potężne raki.

Widziałem młodego Spodyzatora, który sztucznie dobywał wypierdki ze zdechłego osła i sprzedawał je po pięć groszy łokieć.

Inny putryfikował skarabeusze. O cóŜ za przednia potrawa!

Ale Panurg wyrzygał się szpetnie, widząc, jak jeden Archas-darpenin maceruje wielką dziezę uryny ludzkiej z nawozem końskim i dużą ilością chrześcijańskiego łajna. Pfuj, co za świntuch! On wszelako odpowiedział nam, iż tym świętym desty-latem napawa królów i wielkich książąt i że za jego pomocą wydłuŜa im życie na dobry sążeń albo dwa.

Inni łamali kielbaski na kolanie.

Inni obdzierali węgorze od ogona i krzyczały te węgorze dopiero wówczas, kiedy je obdarto, przeciwnie do owych me-luńskich.

Inni z nicości czynili wielkie rzeczy i wielkie rzeczy obracali znowuŜ w nicość.

Inni krajali ogień noŜem i czerpali wodę siecią.

Inni czynili z pęcherzy latarnie a z chmur ŷelazne piece.

Widzieliśmy znowu z jaki tuzin innych, którzy ucztowali w cieniu altany i pili w pięknych, dużych roztruchanach czwo-rakie wino, rozkoszne i chłodne; powiadano nam, iż w ten spo-sób sprowadzają piękną pogodę, jako iż piją póty, póki słońce nie pokaŜe się zza chmur.

Inni czynili z konieczności cnotę i ta praca wydała się im szczególnie piękna i poŜyteczna.

Inni alchemiczną sztuką sporządzali złoto zębami i przy tym zajęciu bardzo skąpo napełniali kubły stolcowe.

Inni w długiej galerii odmierzali starannie skoki pcheł i do-wodzili, że ta czynność jest więcej niŜ konieczna dla rządów państwa, prowadzenia wojen, kierowania rzeczą po-spolitą, przy-taczając, iż Sokrates, który pierwszy ściągnął na ziemię z nie-bios filozofię i z próŜnej zabawy ciekawców zmienił ją w korzy-stną i uŜyteczną sztukę, połowę studiów obracał na mierzenie

skoków pcheł, jako zaświadcza o tym Arystofanes Kwintesencjonalista.

Widziałem dwóch giburnów, srogich osilków, jak sprawowali czaty na szczycie wysokiej wieży i powiadali nam, iż strzegą księżyc od wilków.

Spotkałem czterech innych dysputujących zawzięcie w ogrodzie i gotowych powydziierać sobie kłaki ze łba. Gdym spytał, jaki jest powód niezgody, usłyszałem, iż już od przeszło czterech dni wszczęli spór o trzech wysokich i nadfizycznych twierdzeniach, z rozwiązania których obiecują sobie złote góry. W pierwszym chodziło o cień rzucony przez osła ogiera; w drugim o dym z latarni; w trzecim o kozia sierć, mianowicie, czy można ją nazwać wełną. Potem powiedziano nam, iż tym ludziom nie zda się rzeczą osobliwą, aby istniały dwie rzeczy sprzeczne sobie *in modo, in forma, in figura et in tempore*, obie prawdziwe. Rzecz, co do której paryscy sofiści raczej wyrzekliby się chrztu świętego, niżby to przyznali.

Gdyśmy się ciekawie przyglądali cudownej działalności tych ludzi, niehawem, skoro błysnął jasny Hesperus na niebie, przybyła sama pani wraz ze szlachetną świtą. Za jej przybyciem doznaliśmy uczucia przerażenia w naszych zmysłach i olśnienia wzroku. Wnet spostrzegła to i rzekła:

— To, co czyni, iż jaźń ludzka pogrąża się w otchłanie uwielbienia, to nie jest potęga skutków, które jawnie w ich oczach rodzą się z naturalnych przyczyn, za pośrednictwem przemyślności biegłych pracowników: to nowość eksperyencji wnikaющей do ich zmysłów, nie przewidujących łatwości dzieła, wspierana sądem jasnym, zespolonym z przemożną nauką. Zbierzcie wszelako siły swego mózgowia i zbądźcie się strachu, jeżeli jakowy znalazł do was przystęp na widok tego, co w waszych oczach dokonali moi dworzanie. Patrzcie, pojmujcie, rozważcie swobodnym objęciem wszystko, co mieści się w moim domu, wyzwalając się powoli ze służalczego jarzma nieuctwa. Ten obrót rzeczy zbie-

żny jest z zamiarami mej woli. Pragnąc wam dostarczyć jej niekłamanego dowodu, w rozważaniu żarliwych pragnień, których znaczną gorliwość i dostateczne oznaki poznaję w waszych sercach, zatrzymuję was tu w charakterze i obowiązkach moich Abstraktorów. Zanim stąd odejdziecie, Geber, mój pierwszy tabachin, wciągnie was w księgi.

Podziękowaliśmy uniżenie, nie mówiąc słowa i przyjmując zaszczytne stanowisko, na które nas podniosła.

XXIII. Jak obsługiwano królowę przy wieczerzy i jak jadła

Wyrzekłszy te słowa Pani obróciła się do dworzan i rzekła:

— Podwoje żołądka, wspólnego ambasadora dla zaprowianowania wszystkich członków, tak wyższych jak pośledniejszych, niewolą nas, abyśmy za pomocą dostarczenia sposobnych pokarmów odświeżali to, co im ubyło wskutek nieustannego działania przyrodzonego ciepła zasadniczej wilgoci. Spodyzatorowie, Cezynini, Nemani, Parazonowie! niech opieszalność wasza nie będzie przeszkodą, iżby wraz zjawiły się tutaj stoły uginające się pod wszelakim rodzajem godziwej wielorakości pożywienia. Wy także, szlachetni pregustowie, wspierani przez swych wdzięcznych masysterów: niech dowód waszej przemyślności, wspartej gorliwością i staraniem, nie zostawi mi czasu na upominanie was, abyście nieustannie przestrzegali swoich obowiązków i prześcigali się w nieprzerwanej baczności. I niech myśl jeno ku temu się skupi, co spełniać jest waszym nieodmiennym zadaniem.

Wyrzekłszy te słowa usunęła się na czas jakiś z częścią swoich panien; powiedziano nam, iż czyni to celem wzięcia kąpieli, jako był obyczaj u starożytnych tak powszechny jak dziś u nas mycie rąk przed posiłkiem. Stoły ustawiono szybko, po czym nakryto je kosztownymi obrusami. Porządek uczyty był taki, iż

Pani nie jadła nic prócz niebiańskiej ambrozji; nie piła nic prócz boskiego nektaru. Natomiast panom i damom jej dworu, a nam wraz z nimi, podano wszelakie rzadkie, smakowite i kosztowne potrawy, o jakich ledwo mógł śnić Apicjusz.

Pod koniec uczyty podano nam wazkę z jakowymś bigosem (jeżeliby przypadkiem któremu jeszcze głód doskwierał); a była tak duża i obszerna, iż złota taca, którą Pythius Bithymus dał królowi Dariuszowi, ledwie by ją przykryła. Carnek ów był pełen najrozmaitszego rodzaju zup, sałaty, frykasów, potrawek, kapusty, pieczystego, gotowanych mięsów, kęsów solonego wołu, jarzyny, szynki, wędliny, pasztetów, klusków, grochu, sera, śmietany, galaret, owoców wszelakiego rodzaju. Potrawa zdawała się bardzo dobra i smakowita, nie tknąłem wszelako niczego, będąc dobrze syt i pokrzepiony. To jeno muszę wam powiedzieć, iż widziałem tam paszteciki zapiekane w pasztecie, potrawę dosyć osobliwą. W głębi, na dnie garnka, ujrzałem mnóstwo kości, kart, szachów, warcabów oraz miseczki pełne nowiutkich dukatów dla tych, którzy by mieli ochotę zabawić się grą. Wreszcie na samym spodzie ujrzałem mnogość dobrze okulbaczonych mulów, z aksamitnymi czaprakami i osiodłanych tak samo, tak na użytek mężczyzn jak kobiet; lektyk wygodnych również wielki dostatek i parę kolas zaprzężonych na sposób ferraryjski, dla tych, którzy by chcieli zażyć przejażdżki.

To mnie tak dalece nie zdziwiło; bardzo natomiast nowym wydał mi się sposób, w jaki królowa jadła. Nie gryzła, nie dlatego, aby nie miała mocnych i ładnych zębów albo żeby potrawy nie wymagały żucia; ale taki już był jej obyczaj i sposób. Potrawy, skosztowane wprzód przez jej pregustów, brali masyterzy i żuli je wdzięcznie do jej usług, mając podniebienie wybite karmazynowym jedwabiem i zahaftowane złotem, zęby zaś z kości słoniowej piękne i białe; i skoro dobrze pożuli potrawy królowej, wlewali je szczerozłotym lejkiem wprost do jej żołądka. Toż samo powiadali nam, iż wypróżnia się także jeno przez prokurację.

XXIV. *Jako w obecności Pani Kwinty odbył się uciészny bal w kształcie turnieju*

Po ukończeniu wieczerzy wydano w obecności królowej bal na kształt turnieju, godny nie tylko baczego przyjrzenia, ale i wiekuistej pamięci.

Naprzód tedy pokryto podłogę dużą sztuką aksamitnej materii w kształcie szachownicy: to znaczy w kwadraty, częścią białe, częścią żółte, każdy szeroki na trzy piędzi i kwadratowego kształtu. Wówczas weszły do sali trzydzieści dwie młode osoby. Z tych szesnaście było ubranych w złotogłów, a mianowicie: osiem młodych nimf (tak jak je malowali starożytni jako towarzyszki Diany), król, królowa, dwóch strażników wieżowych, dwóch konnych i dwóch łuczników. W podobnym szyku weszło szesnastu innych, przybranych srebrną lamą. Ustawili się na dywanie w następujący sposób: Królowie stanęli w ostatnim rzędzie na czwartym kwadracie, tak iż król pozłocisty był na kwadracie białym, srebrny zaś na żółto; królowe koło królów: pozłocista na kwadracie złotym, posrebrzana na białym; dwaj łucznicy obok nich, po obu stronach, jako giermcy swoich królów i królowych. Koło giermków dwaj konni; koło konnych dwaj stróże wieżowi. W drugim rzędzie przed nimi osiem nimf. Między dwoma rzędami nimf były wolne cztery szeregi kwadratów.

Każdy orszak miał po swojej stronie muzykantów przybranych w podobne barwy, jedni w pomarańczowy, drudzy w biały adamaszek; było ich po każdej stronie ośmiu, z całymi różnymi instrumentami, uciésznie wymyślonymi, zgodnie brzmiącymi z sobą, cudownie melodyjnymi, zmiennymi w tonach, takcie i mierze, jak tego wymagał program balu; co mi się wydało iście cudowne, zważywszy nadzwyczajną różnorodność kroków, figur, skoków, podskoków, obrotów, uciekań, zasadzek, cofań się i pułapek. Jeszcze bardziej przechodziło ludzkie pojęcie to, co zauważyłem, że osoby tańczące w lot chwytaly dźwięki odpo-

wiadające ich krokom, naprzód czy wstecz. Ledwie zabrzmiał ton, już oni ustawiali się na przeznaczonym miejscu, mimo że sposób poruszania się każdego był zupełnie odmienny. Nimfy bowiem (które są w pierwszym rzędzie jakoby gotowe do otwarcia boju) idą przeciw nieprzyjaciółom prosto naprzód z jednego kwadratu na drugi; z wyjątkiem pierwszego wypadu, w którym wolno im przebyć dwa kwadraty. Jeśli zdarzy się, iż jedna dotrze aż do rzędu nieprzyjacielskiego króla, koronuje się ją na królowę i kroczy odtąd tak samo i używa tych samych przywilejów co królowa. Poza tym nimfy biją nieprzyjaciół zawsze tylko w linii poprzecznie skośnej i zawsze naprzód. I nie wolno im (jak i innym także) zabić żadnego z nieprzyjaciół, jeśli biorąc go zostawia swoją królowę odsłoniętą i pod grozą bicia. Królowie idą i biją nieprzyjaciół we wszystkich kierunkach o jeden kwadrat i przechodzą jeno z kwadratu białego na sąsiedni żółty i odwrotnie. Wszelako jeśli ich rząd opróżniony jest całkowicie z innych oficerów z wyjątkiem wież, mogą się umieścić na ich miejsce i schronić przy ich boku. Królowe chodzą i biją z większą swobodą niż inne figury: mianowicie we wszystkich kierunkach i na każdy sposób, w linii prostej tak daleko, jak im się podoba, byle na linii nie znajdował się żaden z jej żołnierzy; także w skośnej linii, byle nie zboczyły z koloru swej pozycji.

Gierмки kroczą do woli naprzód i wstecz, daleko i blisko; jeno iż nigdy nie zmieniają koloru swego pierwotnego stanowiska. Konni idą i biją w kształcie zygzakowatym, przeskakując jedno pole, chociażby nawet było zajęte przez swoich lub nieprzyjaciół; z drugiego zaś przesuwają się o jedno na lewo albo na prawo, zmieniając kolor; który to skok jest bardzo niebezpieczny dla strony przeciwnej i wymaga wielkiej baczności: nigdy bowiem nie biją otwarcie. Strażnicy wieżowi idą i biją w linii prostej, tak na prawo jak i na lewo, naprzód i wstecz, jak królowie; i mogą posuwać się, jak daleko chcą, o ile linia jest wolna, czego nie mogą króle.

Wspólne prawo dla obu stron, jako ostateczny cel walki, jest oblegać i zamknąć króla przeciwnej partii w ten sposób, by nie mógł się umknąć w żadną stronę. Skoro tak się go zamknie, iż nie może uciekać ani znaleźć pomocy u swoich, ustaje walka i osaczony król przegrywa. Aby go tedy ustrzec od tej niedoli, nie ma ani jednego, ani też ani jednej w całej jego armii, którzy by nie dali zań własnego życia. I wybijają wzajem jedni drugich, na każdym miejscu, w takt muzyki. Kiedy który weźmie jeńca z przeciwnego obozu, wówczas składając ukłon uderza go z lekka w prawą rękę, usuwa z kwadratu i zajmuje jego miejsce. Jeśli który z królów wystawiony jest na zabicie, nie wolno przeciwnej stronie brać go; jeno pilnie nakazane jest temu, który go odsłoni albo trzyma pod grozą bicia, złożyć głęboki ukłon i ostrzec go mówiąc: „Niech Bóg chroni Wasz Majestat“, iżby oficerowie jego spieszyli mu na pomoc i okryli go albo też, aby zmienił miejsce, gdyby nieszczęściem u'e mogli mu zdążyć z pomocą. I nawet gdy przyszła nań ostateczna zaguba, przeciwna strona nie bierze go do niewoli, jeno pozdrawia go uginając lewe kolano i mówiąc: „Dzień dobry“. Na tym kończy się turniej.

XXV. *Jako walczą trzydzieści dwie osoby uczestników balu*

Skoro tak się ustawi na posterunkach dwa hufce, wraz muzykanci intonują pobudkę rycerską całę groźną, jakoby do szturm. Na to widzimy, jak oba hufce przebiega dreszcz i jak krzepią się w sobie, aby dzielnie walczyć, gdy nadejdzie godzina starcia i gdy przyjdzie im wyruszyć z obozu. Nagle ustali muzykanci srebrnego hufca i brzmiały jeno instrumenty gromady złotej; z czego poznaliśmy, iż hufiec złoty zaczyna atak. Co też niebawem się stało; przy nowej bowiem pobudce ujrzelśmy, jak nimfa stojąca przed królową obraca się na lewo ku swemu królowi, jakoby prosząc o zezwolenie rozpoczęcia walki, a zara-

zem pozdrawiając całą kompanię. Następnie przeszła dwa kwadraty z wielką skromnością i złożyła dworny ukłon stronie przeciwnej, którą zaczęła atakować. Za czym ustali muzykanci złoci i zaczęli srebrni. Tutaj godzi się nadmienić, iż gdy nimfa pozdrowiła w krąg króla i swoją armię, ci, aby nie pozostawać bezczynnie, również oddali ukłon zwracając się na lewo, z wyjątkiem królowej, która obróciła się ku swemu królowi na prawo. Tych ukłonów przestrzegali wszyscy tańczący przez cały ciąg balu i oddawania ukłonów także, tak w jednym jak w drugim obozie.

Na dźwięk srebrnych muzykantów wystąpiła srebrna nimfa stojąca przed królową i pozdrowiwszy wdzięcznie króla i wojsko i otrzymawszy od nich wzajem pozdrowienie, jak to opisano u złotych (z tą różnicą, że tu wszyscy obracali się na prawo, a królowa na lewo), ustawiła się na drugim z kolei kwadracie. Wówczas, składając ukłon przeciwnej partii, stanęła oko w oko naprzeciw nimfy złotej, bez żadnego przedziału między nimi, jakoby do walki, gdyby nie to, iż wolno im bić jedynie na boki. Za nimi podążyły towarzyszki, tak złote jak srebrne, w przegradzanym porządku i wszczęły jak gdyby pierwsze harce. Aż wreszcie nimfa złota, która pierwsza wyszła w pole, uderzywszy dłonią nimfę srebrną po lewej, wywiodła ją z walki i zajęła jej miejsce; ale niebawem, przy nowej pobudce, sama legła z ręki srebrnego łucznika. Nimfa złota wygnała go stamtąd, jeździec złoty ruszył w pole; królowa złota ustawiła się przed swoim królem.

Za czym król srebrny zmienił miejsce obawiając się furii złotej królowej i pociągnął na stanowisko strażnika wieżowego z prawej, które to miejsce zdało się bardzo warowne i obronne. Wówczas dwaj konni trzymający się dotąd na lewo, tak złoty jak srebrny, ruszyli i uczynili obfity pogrom między nimfami przeciwnych obozów, które nie mogły się cofnąć wstecz; tak samo i złoty giermek obrócił całą zwinność na branie nimf w niewolę. Ale giermek srebrny zamyśla rzecz bardziej doniosłą,

ukrywając swoje przedsięwzięcie. Mimo że mógł pojmać nimfę złotą, zostawił ją i puszcza mimo; jakoż to zdziałał, iż podszedł blisko nieprzyjaciół w miejsce, z którego pokłonił się złotemu królowi i rzekł: „Niech Bóg chroni W. K. Mość!“ Hufiec złoty otrzymawszy ostrzeżenie, aby bronić swego króla, zadrżał cały: nie iżby trudno było spieszyć na pomoc królowi, ale iż ratując króla tracił prawego strażnika wieżowego, nie mogąc na to nie zaradzić. Za czym król złoty usunął się na lewo, giermek zaś srebrny pojmał złotego strażnika, co było dla obozu z wielką stratą. Wszelako gromada złota knuje zemstę i otacza go ze wszystkich stron tak, aby nie mógł uciec z powrotem ani też wymknąć się z ich rąk; ów czyni tysiąc wysiłków, aby umknąć, jego druhy tysiąc chytrłości, aby mu przyjść z pomocą. Wreszcie złota królowa bierze go żywcem w niewolę.

Hufiec złoty, pozbawiony jednego ze swych filarów, wyteża siły, szuka na prawo i lewo sposobu do zemsty; i przepominając ostrożności zadaje wielkie straty nieprzyjacielskiej armii. Hufiec srebrny czai się czekając godziny odwetu i podsuwa jedną ze swoich nimf złotej królowej, zastawiwszy jej tajemną pułapkę tak, iż za wzięciem owej nimfy nie wiele brakło, by giermek srebrny wręcz nie pochwycił złotej królowej. Jeździec złoty knuje wzięcie srebrnego króla i królowej i powiada: „Dzień dobry“. Giermek srebrny ocala ich; bierze go z kolei nimfa złota, tę znowuż nimfa srebrna. Bitwa wre zacięta. Strażnicy wychodzą ze swych wież na pomoc. Wszystko ogarnia groźny zamęt; los wojny ciągle nierozstrzygnięty. Od czasu do czasu srebrni hurmem wdzierają się aż pod namiot złotego króla i znowuż są odparci. Między innymi złota królowa dokazuje wielkich czynów i jednym zamachem bierze giermka; następnie, rzucając się w bok, bierze strażnika srebrnego. Widząc to królowa srebrna wysuwa się naprzód i piorunuje nieprzyjaciół podobną śmiałością: bierze ostatniego strażnika złotego, jak również kilka nimf.

Dwie królowe walczyły długo, częścią starając się zaskoczyć wzajem, częścią uchodząc przed sobą i chroniąc swoich królów. Wreszcie królowa złota wzięła srebrną, ale zaraz potem sama padła z ręki srebrnego giermka. Wówczas królowi złotemu zostały jeno trzy nimfy, jeden giermek i jeden strażnik wieżowy. Srebrnemu zostały trzy nimfy i jeździec prawy; co było przyczyną, iż nadal walczyli już wolniej i ostrożniej.

Obaj królowie zdawali się znękanymi tym, iż stracili swoje tak ukochane damy. Całe ich staranie i wysilek kieruje się ku temu, aby w razie możności zyskać inne spomiędzy swoich nimf, obiecując wynieść je do godności małżonki i przyrzekając to wszystko i miłość wieczną tej, która zdoła dotrzeć aż do końca nieprzyjacielskiego obozu. Złote wyprzedzają je i z ich rzędu zmartwychwstaje nowa królowa, której wkładają na głowę koronę narzucając na ramiona koronacyjne szaty.

Srebrne idą jej śladem: już brakło tylko jednego rzędu, aby i z nich uczyniono nową królowę; ale w tym miejscu czyhał na nią strażnik złoty: dlatego wstrzymała się ostrożnie.

Nowa złota królowa wstąpiwszy na tron pragnie okazać się silną, mężną i wojowniczą. Dokazuje wielkich czynów w obozie nieprzyjaciół. Ale oto nagle jeździec srebrny pojmał strażnika złotego, który strzegł krańców obozu; w ten sposób uczyniono nową królowę srebrną, która również w pierwszych chwilach królowania pragnie okazać rycerskiego ducha. Wszczął się bój jeszcze zawziętszy niż wprzód. Tysiąc podstępów, napaści i obrotów uczyniono z jednej i z drugiej strony, aż wreszcie srebrna królowa weszła zmienacka do namiotu złotego króla powiadając: „Niech Bóg chroni W. K. Mość!“ I mogła mu udzielić pomocy jeno jego nowa królowa. Ta nie wahała się nadstawić głowy, aby ratować małżonka. Wówczas jeździec srebrny, skacząc na wszystkie strony, podsunął się do swej królowej i wprawił złotego króla w taki popłoch, iż dla swego ocalenia zmuszony był poświęcić królowę. Ale król złoty pojmał srebrnego jeźdźcę. Mimo to giermek złoty z dwiema nimfami,

które jeszcze zostały, z całej mocy bronili króla, ale wreszcie polegli i wyniesiono ich poza szranki i król złoty pozostał sam. Wówczas cały hufiec srebrny rzekł mu z głębokim pokłonem: „Dzień dobry“, jakoby obwołując zwycięstwo srebrnego króla. Na te słowa obie kapele zaczęły otrębywać zwycięstwo. I na tym zakończył się pierwszy bal: w wielkim weselu, w płasach tak uciechowych, postawie tak grzecznej i wdziękach tak rzadkich, iż w sercach poculiśmy radość jakoby ekstatyczną; i nie bez słuszności zdało się nam, iż przeniesiono nas jakoby w najcenniejsze rozkosze i najwyższe szczęśliwości olimpijskiego nieba.

Po ukończeniu pierwszego turnieju wróciły oba hufce na pierwotne stanowiska i tak jak walczyły poprzednio, tak samo podjęły walkę po raz drugi; z tą jeno różnicą, iż kapela przygrywała o pół taktu szybciej niż pierwszym razem; przebieg tańców był całkiem różny. Oto ujrzałem, jak złota królowa, jakoby niezadowolona z postępów swego wojska i zagrzana pobudką, wysunęła się w pierwszym rzędzie w towarzystwie giermka i jeźdźcy i niewiele brakło, a byłaby pojmała srebrnego króla w jego własnym namiocie, pośród własnych oficyjów. Następnie widząc, iż odkryto jej zamiary, wmięszała się między wojsko i tak pogromiła nimfy srebrne i innych oficyjów, że litość było patrzeć. Rzekłbyś, druga Pentezilea Amazonka piorunem spadająca w obóz Greków. Ale nie długo trwał ten pogrom, srebrni bowiem zadrżawszy patrząc na zagubę swych ludzi, ukrywając wszelako swą żalność, zastawili na nią w zasadzce, w odległym kącie, łucznika i błędnego jeźdźcę, przez których została ujęta i usunięta z pola bitwy. Reszta szybko poszła w rozsypkę. Na drugi raz będzie ostrożniejsza: będzie się trzymać blisko króla, nie zapędzać się tak daleko, a kiedy będzie trzeba puścić się w wir walki, pójdzie silniej ubezpieczona. Srebrnych tedy obwołano powtórnie zwycięzcami.

Na trzeci i ostatni taniec ustawili się w dwóch hufcach jak poprzednio, przy czym zdało mi się, iż mają oblicza weselsze i bardziej ochocze niż wprzód. Kapela również przyspieszyła

takt więcej niż o hemiolę, we frygijskiej, wojennej tonacji wymyślonej niegdyś przez Marsjasza. Za czym rozpoczęli turniej i zwarli się we wspaniałej walce tak lekko, iż na jeden takt czynili cztery poruszenia wraz z ukłonami przynależnymi do każdego ciągu, jak wspomnieliśmy poprzednio; tak iż było widać jeno same skoki, zwroty i susy petaurystyczne, zaplatające się jedne z drugimi. I widząc, jak obracają się na jednej nodze oddając ukłony, przyrównywaliśmy te obroty do ruchu bąka, kręcącego się dla zabawy dzieci i popędzanego uderzeniami bicia, aż obrót jego staje się tak szybki, iż ruch zda się spoczynkiem: oko widzi, iż spoczywa, nie zaś porusza się. I jeśli naznaczyć na nim punkt jakiegoś koloru, zda się wówczas nie punktem, ale linią ciągłą, jak to bystro zauważył Kuzanus rozprawiając o bardzo górnej materii.

Wówczas słyszeliśmy jeno same klaskanie rękami i znaki co chwila ponawiane, tak ze strony jednego hufca jak i drugiego. I sam Katon niegdyś tak surowy albo Krassus stary, tak nie-sklonny do śmiechu, albo Tymon Ateńczyk, taki mizantrop, albo Heraklit, tyle mierzący się ową właściwością ludzką zwaną śmiechem, byliby wyszli ze swej natury, widząc, jak przy dźwięku tej szybkiej muzyki w stutysięcznych odmianach owi młodzieńcy z królowymi i nimfami zwinnie poruszają się, kroczą, skaczą, obracają się, wirują, kręcą; i to z taką szybkością, iż nigdy jeden nie był drugiemu zawadą. Im mniejsza liczba pozostała na placu, tym większa była rozkosz patrzeć na chytryści i obroty, jakich używali, aby podejść jedni drugim, wedle tego jak kapela dawała znaki. Więcej powiem: jeżeli to widowisko więcej niż ludzkie przykuwało nasze zmysły, zdumiewało umysł i wprowadzało w jakieś zachwycenie, jeszcze więcej czuliśmy w sercach naszych poruszenia i przestachu pod wpływem dźwięków owej kapeli; i byłbym skłonny wierzyć, iż za pomocą takich melodii Ismeniasz pobudził niegdyś Aleksandra Wielkiego siedzącego przy stole i uczującego spokojnie, aby wstał

nagle i chwycił za broń. W trzecim turnieju zwycięstwo zostało przy królu złotym.

Podczas tych tańców Pani niepostrzeżenie znikła i jużśmy jej więcej nie widzieli. Odprowadzili nas pazikowie Gebera, zapisawszy wprzód w księgę w charakterze przez nią nadanym. Następnie udawszy się do Mateotechnicznego portu, wróciliśmy na statki słysząc, iż mamy pomyślny wiatr, z którego jeśli natychmiast nie skorzystamy, będziemy musieli czekać do przyszłej ponowy księżycy.

XXVI. *Jako wylądowaliśmy na Wyspie Chodów, w której drogi podróżują*

Po dwudniowej żegludze ukazała się nam wyspa Chodów, na której ujrzeliśmy rzecz godną uwagi. Drogi są tam żyjącymi istotami, jeśli prawdą jest twierdzenie Arystotelesa, który podaje jako niezbłą cechę zwierzęcia, iż zdolne jest poruszać się samo przed siebie. Drogi bowiem wędrują tam jakoby zwierzęta. I są tam drogi błędne na kształt planet, drogi przechodnie, krzyżowe, poprzeczne. I widziałem, iż podróżni; śludzy i mieszkańcy tego kraju pytali: „Dokąd idzie ta droga? a ta“ Odpowiadało im: „Do młyna, do gospody, na plebanie, do miasta, do rzeki“. Za czym wstępując na właściwą drogę bez trudu i fatygi przybywali w żądane miejsce; tak samo jak ci, którzy siadają na statek na Rodanie, aby się dostać z Lionu do Awinionu lub Arles. A jako wiecie, iż w każdej rzeczy są jakieś chyby i że nic nie jest we wszystkich punktach szczęśliwe, tak samo i tu powiedziano nam, że istnieje odmiana ludzi, których nazywają zawalidrogami albo szlifibrukami. I biedne drogi obawiają się ich i uciekają przed nimi jak przed złoczyńcami. Czyhają na nie przytajeni z boczku, jako na wilki koło paści lub na bekasy z siecią. Widziałem jednego takiego, kórego ścigano sądownie, obrał bowiem niegodziwie, na przekór rozumowi, drogę do szkoły ze wszystkich najdłuższą; inny chępił się, iż chwycił się

po żołniersku najkrótszej, mówiąc, iż tym sposobem pierwszy dojdzie do celu.

Rzekł tedy Karpalim do Epistemona (zastawszy go jednego dnia, jak ze swą przyrodzoną polewaczką w garści ćwiczył się w polewaniu muru), iż nie dziwi się już, że zawsze pierwszy był przy wstawianiu dobrego Pantagruela z łóżka, skoro dzierzył się najkrótszej i najmniej chwiejnej. Rozumiecie, pijaki, że myślał o kuście.

Poznałem wielką drogę z Bourges i ujrzałem ją, jak wędruje proboszczowski kroczyk, i także, jak ucieka za zjawieniem się paru woźniców, którzy grozili, iż rozdepczą ją kopytami i przejadą jej po brzuchu, jako Tulia kazała wóz przepędzić przez brzuch ojca swego Serwiusza Tulusza, szóstego króla Rzymian.

Poznałem również starą drożynę z Perony do Senkantyny i zdała mi się bardzo godna, pocziwa drożyna.

Ujrzałem pomiędzy skałami stary dobry gościniec Ferracki, jadący na wielkim niedźwiedziu. Widząc go z dala, przypomniałem sobie malowanego świętego Hieronima, z tą odmianą, że tam zamiast niedźwiedzia był lew: był bowiem ów gościniec wielce umęczony, z dużą brodą całkiem siwą i lichą uczesaną; rzekłbyś, zwisające sople śniegu; miał na sobie mnóstwo różańców z sosnowego, grubo ciosanego drzewa i włókł się jakoby na kolanach, nie prosto na nogach ani też leżąc całkiem; i bił się po piersiach dużymi i ciężkimi kamieniami. Wzbudzał w nas przestrach i litość zarazem. Gdyśmy tak nań patrzeli, odciągnął nas na stronę jakiś szkolarz z tamtych okolic i rzekł ukazując drogę gładką, całkiem białą i nieco poproszoną słomą:

— Odtąd nie ważcie sobie lekce mniemania Talesa z Miletu, który powiada, iż woda jest początkiem wszystkich rzeczy, ani też zdania Homera, wedle którego wszystko czerpie początek z Oceanu. Ta droga, którą widzicie, zrodziła się z wody i w nią się znowu obróci; przed dwoma miesiącami statki po niej żeglowały, teraz zaś jeżdżą po niej wózki.

— Doprawdy — rzekł Pantagruel — śpiewacie bardzo stare piosenki! toć u nas takich przeobrażeń widzimy corocznie po pięćset i więcej.

Następnie poglądając na zachowanie tych wędrujących dróg rzekł nam, iż wedle jego sądu, Philolaeus i Arystarch musieli filozofować na tej wyspie, jak również i Seleukus tam snadź doszedł do swego pewnika, iż to ziemia obraca się naokoło osi, nie zaś niebo, mimo iż prawdą zda się nam rzecz przeciwna; tak samo, jak gdy płyniemy Loarą, zda się nam, iż drzewa nadbrzeżne się ruszają, wszelako nie one się ruszają, jeno my wraz z biegiem statku. Wracając do okrętów ujrzałyśmy, jak łamią kołem trzech zawalidrogów, których przychwycono na gorącym uczynku. Również palono na wolnym ogniu jednego wielkiego nieponia, który szlifował bruk gościńca i złamał mu jedno żebro; i powiedziano nam, że jest to droga do wielkiej tamy na rzece Nilu w Egipcie.

XXVII. Jako przybyliśmy do Wyspy Trepków i zakonu braci Buczących

Następnie przybyliśmy na Wyspę Trepków, którzy żywią się jeno zupkami ze sztokfisz; godnie wszelako podjął nas tam i ugościł król wyspy, zwany Beniusz, trzeci tego imienia, który po kilkunastu kolejkach zaprowadził nas, byśmy odwiedzili nowy klasztor, zbudowany, założony i ufundowany za jego sprawą dla braci Buczących: tak nazywał swoich zakonników. Powiedział nam też, iż na lądzie stałym mieszkają bracia mniejsi, Służebnicy i Przyjaciele Słodkiej Pani; *item* wspaniali i piękni bracia Minores, dla których starczy pół buli i stąd nazwani są bibuły; bracia Minimi, szczere piklingi wędzone, także bracia Minimi z zakrzywioną łapą. I pospolicie dawano im miano braci Buczących. Na podstawie statutów i jednej buli uzyskanej od pani Kwinty, która nie droży się ze swymi łaskami, byli wszyscy ubrani jak zbrodniarze albo podpalacze, z tą odmianą, że tak

jak pobijacze dachów w Andegawenii mają podwójne pikowane pludry na kolanach, tak oni mają brukowane brzuchy, i brukarze brzuchów w wielkim są u nich zachowaniu. Saczek u pludrów noszą w formie pantofla i każdy z nich ma przszyty jeden z przodu a drugi z tyłu: i twierdzą, że ta dwoistość rozporka wiernie przedstawia jakoweś wysokie i przeraźliwe tajemnice. Noszą trzewiki okrągłe jak miednice, wzorem tych, którzy mieszczą na piaskowym morzu; zresztą mają ogolone brody i podkute podeszwy. I aby okazać, że nie dbają o szczęście doczesne, kazał ich ostrzyć i oskubać jak świny na tyle głowy, od czubka po łopatkę. Na przedzie, od kości bragmatycznej, włosy im rosną wolno. Tak oni kształtują się kontrafortunnie, jako ludzie nie troszczący się o dobro świata. I dalej tak wyzywając nie stałą fortunę nosił każdy z nich, nie w ręku jak ona, ale u pasa, kształtem różańca, ostrą brzytwę, którą ostrzyli dwa razy na dzień i przeciągali trzy razy na noc.

Na nogach każdy nosił okrągłą kulę, ponieważ powiedziano jest, iż fortuna ma taką pod nogami. Czubek kaptura umocowany był z przodu, a nie z tyłu; w ten sposób mieli twarz schowaną i kpili sobie swobodnie tak ze Szczęścia jako i ze Szczęśliwców, ni mniej, ni więcej jak panienki z miasta, kiedy wdziają swoje welonki i chusteczki; starożytni nazywali je *chusteczki*, kryją bowiem pod sobą wielką moc pożądliwości. Mieli także zawsze odsłoniętą tylną część głowy, jako my twarz; to była przyczyna, iż chodzili przodem albo zadem, jak im przyszła ochota. Jeśli szli zadem, rzekłbyś, iż to jest ich naturalny sposób, tak z przyczyny okrągłych butów jak i rozporka na przodzie, takóŜ gęby z tyłu gładkiej i pomalowanej grubo z dwoma oczami i ustami, jako widzicie na indyjskich orzechach. Jeśli szli brzuchem naprzód, wzięlibyście ich za ludzi, którzy grają w ślepą babkę. Radość była patrzeć na nich.

Sposób ich życia był taki. Skoro jasny lucifer zabłysnął nad ziemią, wkładali sobie buty i przypinali ostrogi wzajem jeden drugiemu, z chrześcijańskiego miłosierdzia. Tak w butach

z ostrogami spali albo chrapali przyjemniej; i we śnie mieli binokle na nosie albo zgoła okulary.

Ten obyczaj zdawał się dość dziwny, ale wyjaśnili go nam przedstawiając, iż kiedy przyjdzie sąd ostateczny, ludzie będą pogrążeni we śnie i w spoczynku. Aby zatem jawnie okazać, iż nie wzdragają się stanąć na nim, jako czynią gnuśni szczęśliwcy ziemscy, trzymają się w pogotowiu, w butach i z ostrogami, gotowi wsiąść na koń, skoro tylko trąba zabrzmi.

Gdy było południe (zważcie, iż dzwony, tak w dzwonnicy jak w kościele i refektarzu, uczynione były wedle Poncjanej maksymy, to jest z delikatnego skubanego pierza, serce zaś było z lisiego ogona), skoro tedy było południe, budzili się i rozzuwali; kto chciał, oddawał urynę, kto chciał, wypróżniał się, kto miał ochotę, kichał. Ale wszyscy, z obowiązku i z surowego nakazu statutów, obficie i hojnie ziewali; ta poziewka, to było ich śniadanie. Widowisko zdało mi się uciészne: powiesiwszy bowiem buty i ostrogi na szaragach, zstępowali do refektarza; tam myli pilnie ręce i gęby, następnie zasiadali na długiej ławce i wykałali zęby, póki prefekt nie dał znaku gwizdząc w palce; wówczas każdy rozdziawiał gębę, ile tylko mógł, i ziewali czasem pół godziny, czasem więcej, czasem znowu mniej, wedle tego, jakie śniadanie przeor uważał za odpowiednie do uroczystości dnia. Potem czynili piękną procesję, w której obnosili dwie chorągwie: na jednej był pięknie wymalowany i wyobrazony obraz Cnoty, na drugiej Szczęścia. Brat Buczący pierwszy niośł sztandar Szczęścia, za nim szedł drugi niosąc sztandar Cnoty, w ręku trzymali kropidło umaczane w wodzie merkurialnej, opisanej przez Owidego w jego *Fastis*; i tym kropidłem nieustannie jakoby ćwiczył pierwszego brata Buczącego, niosącego Szczęście.

— Ten porządek — rzekł Panurg — przeciwny jest zdaniu Cyncerona i akademików, którzy chcą, aby Cnota szła przodem, a Fortuna za nią.

Przekonali nas wszelako, iż tak a nie inaczej godzi się czynić, ponieważ ich zamiarem jest chłostać Fortunę.

Podczas procesji buczeli melodyjnie przez zęby jakieś antyfony, nie wiem dobrze, jakie, nie zrozumiałem bowiem ich szwargotu. Kiedym się uważnie wsłuchał, spostrzegłem, iż śpiewają jeno uszami. O cóż za piękna harmonia i jakże zgodna z graniem ich dzwonów! Nigdy nie usłyszycie żadnego rozdzźwięku. Na widok tej procesji przyszła Pantagruelowi szczególna myśl i rzekł:

— Czy widzieliście i zauważyli przemyślność tych braci Buczających? Odbывая procesję wyszli z kościoła jednymi drzwiami, a wrócili drugimi. Pilnie się strzegli wrócić tamtędy, którędy wyszli. Na mą cześć, to jakieś kute pacholki; powiadam, kute jak stal damasceńska, kute na cztery nogi, kute, podkute i zakute.

— Ta chytrość — rzekł brat Jan — wypośrodkowana jest z jakiejś tajemnej filozofii i nic z tego diabelstwa nie rozumiem.

— Tym bardziej — rzekł Pantagruel — jest niebezpieczna, że się z niej nie rozumie. Chytrość bowiem przejrzana, chytrość zrozumiana, chytrość odkryta traci istotę i miano chytrości, nazywamy ją niezgrabstwem. Na mój honor, oni muszą znać lepsze jeszcze sztuki!

Ukończywszy procesję (niby zdrową przechadzkę i zbawienne użycie ruchu) udawali się do refektarza i klękali pod stołami, przy czym każdy opierał brzuch i piersi o latarnię. Gdy znaleźli się w tej pozycji, wchodził wielki Trepek z widelcem w dłoń i częstował ich z tego widelca; i zaczęli posiłek od sera, a kończyli musztardą i sałatą, jako, wedle świadectwa Marcjale, było obyczajem u starożytnych. W końcu podawano każdemu talerzyk musztardy po obiedzie.

Pożywienie ich było takie: w niedzielę jedli kiszki, kielbasy, serdelki, potrawki, bigosy, nie licząc oczywiście sera na początek a musztardy na zakończenie. W poniedziałek nadobny groch ze słoniną, z obszernym komentarzem i głosem interlinearną. Wtorek: dużo opłatka, kołacz, ciasta, biszkopty. Środa: pieczone. to jest smakowita głowa barania, cielęca, głowa borsuka, który

obficie znajduje się w tej okolicy. We czwartek zupy w siedmiu rodzajach i do tego wiekiusta musztarda. W piątek nic, jeno jarzębina, i to niezbyt dojrzała, o ile mogłem sądzić po kolorze. W sobotę ogryzali kości; nie trzeba wszelako sądzić, iżby byli zmizerowani albo cierpiący głód, każdy bowiem miał zapasik brzucha wcale pokąsany. Za napitek służyło im wino antyfortunalne; tak nazywali swój miejscowy napój. Kiedy mieli jeść albo pić, obracali kapuzy ku przodowi, aby im służyły za śliniaczki.

Ukończywszy obiad modlili się pięknie do Boga, a zawsze buzieniem. Resztę dnia, oczekując sądu ostatecznego, ćwiczyli się w dziełach miłosierdzia; w niedzielę iskając jeden drugiego, w poniedziałek dając sobie szczutki, we wtorek drapiąc się wzajem, we środę wycierając nos jeden drugiemu, we czwartek wyciągając sobie muchy z nosa, w piątek laskocząc jeden drugiego, w sobotę biczując się wzajem.

Taki był ich tryb życia, kiedy przebywali w klasztorze. Jeśli za zleceniem przeora wychodzili na świat, zakazane im było surowo, pod strasliwymi karami, dotknąć ani jeść ryby, kiedy będą na morzu lub na rzece; ani też jakiego bądź rodzaju mięsa, gdy będą na lądzie stałym. A to, aby każdemu było jasne, iż mając pod ręką te potrawy nie ulegają grzechowi użycia i pożądliwości i równie są niezachwiani w cnocie jak skała marpezańska; a wszystko czynili z odpowiednimi i stosownymi antyfonami i ciągle śpiewając uszyna, jako się rzekło. Gdy słońce zachodziło za oceanem, kładli buty, zapinali ostrogi jeden drugiemu i w okularach na nosie układali się do snu. O północy Trepek wchodził i wszyscy wstawali; wówczas ostrzyli i przeciągali brzytwy i odbywszy procesję wśliznęli pod stoły i pożywiali się jak przedtem.

Widząc tych wesołych braci Buczających i słysząc treść ich statutów brat Jan Łomignat nie mógł się pohamować i wykrzyknął głośno:

— Widzicie tego grubego szczura tam przy stole! Jak mi Bóg miły, przewiercę mu to brzucho! O czemuż tu nie ma Priapa, jako niegdyś bywał przy świętach nocnych w Kanidii, abyśmy go usłyszeli, jak z pełnego wora pierdzi i popierdując buczy tu sobie wraz z nimi! W tej chwili poznaję, zaiste, iż jesteśmy w ziemi Antychtonów i Antypodów. W Germanii burzą klasztory i ściągają mnichom habity; tutaj, przeciwnie, budują je i stroją świat kudłami na wierzch.

XXVIII. Jako Panurg zadając pytania bratu Buczącemu zdołał wydobyć zeń jeno same monosylaby

Panurg od chwili naszego przybycia cały czas uważnie wpatrywał się w gęby tych wspaniałych braci Buczących; za czym pociągnął za rękaw jednego z nich, chudego jak wędzony diabeł, i spytał:

— *Frater*, Bububuu, a gdzie dziewczuszka?

Na to braciszek odpowiedział:

— Tam.

Panurg: Dużo ich tu macie?

Braciszek: Nie.

Panurg: Ileż naprawdę?

Braciszek: Sześć.

Panurg: A ile byście chcieli?

Braciszek: Sto.

Panurg: Gdzie macie je schowane?

Braciszek: Tam.

Panurg: Przypuszczam, że nie wszystkie są w jednym wieku, ale czy są bodaj gładkie?

Braciszek: Hej.

Panurg: Jakaż ich pleć?

Braciszek: Biel.

Panurg: Włosy?

Braciszek: Blond.

Panurg: Oczy?

Braciszek: Czern.

Panurg: Piersi?

Braciszek: Krag.

Panurg: Buziak?

Braciszek: Miód.

Panurg: Brwi?

Braciszek: Pilśn.

Panurg: Wdzięki?

Braciszek: Smak.

Panurg: Spojrzenie?

Braciszek: War.

Panurg: A nogi?

Braciszek: Płask.

Panurg: A pośrodek?

Braciszek: Cmok.

Panurg: A ręce jakie, długie?

Braciszek: Dość.

Panurg: A pierścionki na palcach, z czego?

Braciszek: Miedź.

Panurg: A w jakie sukno je ubieracie?

Braciszek: Plusz.

Panurg: Jakiego koloru?

Braciszek: Żółć.

Panurg: A czepek na głowę, czego ma kolor?

Braciszek: Nieb.

Panurg: A trzewiczki?

Braciszek: Brąz.

Panurg: A na trzewiczki czego używacie?

Braciszek: Skór.

Panurg: A co jeszcze zdoła je zazwyczaj?

Braciszek: Brud.

Panurg: Rade tedy wychodzą z domu?

Braciszek: Hum.

Panurg: Przejdźmyż do kuchni; rozumiem, do kuchni tych dziewczuszek; i bez pośpiechu rozpatrzmy wszystko szczegółowo. Cóż jest w kuchni?

Braciszek: Żar.

Panurg: Czego używacie dla podtrzymania żaru?

Braciszek: Drew.

Panurg: Aby się dobrze paliły, wprzód...?

Braciszek: Schną.

Panurg: Jakież drzewo bierzecie?

Braciszek: Świerk.

Panurg: A na podpalkę?

Braciszek: Chrust.

Panurg: A jakimż drzewem palicie w izbie?

Braciszek: Buk.

Panurg: I jeszcze inne?

Braciszek: Cis.

Panurg: Bardzo mi leży na sercu zdrowie waszych dziewczuszek; jakież tu one mają pożywienie?

Braciszek: W bród.

Panurg: Cóż jedzą?

Braciszek: Chleb.

Panurg: I czegoż jeszcze kosztują?

Braciszek: Mięś.

Panurg: Jak zgotowane?

Braciszek: Ruszt.

Panurg: A zupy nie jadają?

Braciszek: Nie.

Panurg: A ciasta?

Braciszek: Dość.

Panurg: To mi się podoba; a rybę jedzą?

Braciszek: Tak.

Panurg: No i czegoż więcej dostają?

Braciszek: Jaj.

Panurg: Twardych?

Braciszek: Głaz.

Panurg: I to cały ich posiłek?

Braciszek: Nie.

Panurg: No i coś więcej jeszcze za potrawy?

Braciszek: Wół.

Panurg: A więcej?

Braciszek: Wieprz.

Panurg: A więcej?

Braciszek: Gęś.

Panurg: I jeszcze?

Braciszek: Kur.

Panurg: *Item?*

Braciszek: Tryk.

Panurg: A cóż mają za zaprawę?

Braciszek: Sól.

Panurg: A do delikatniejszych potraw?

Braciszek: Moszcz.

Panurg: A na wety?

Braciszek: Ryż.

Panurg: I co jeszcze?

Braciszek: Miód.

Panurg: I jeszcze?

Braciszek: Groch.

Panurg: A do niego?

Braciszek: Tłuszcz.

Panurg: A owoc jaki?

Braciszek: Żrał.

Panurg: A z drzew jakich?

Braciszek: Grusz.

Panurg: I do tego?

Braciszek: Trześń.

Panurg: A piją jak?

Braciszek: *Ex.*

Panurg: Czego im lejecie?

Braciszek: Win.

Panurg: A jakiego, dobrego?

Braciszek: Smak.

— Na kudły mego habitu — zakrzyknął brat Jan — toż te szelmutki buczące muszą być pulchne i muszą dobrze klusa chodzić, zważywszy, iż mają tak smaczną i obfitą paszę!

— Czekajcie — rzekł Panurg — niech skończę.

Panurg: O jakiejż porze udają się na spoczynek?

Braciszek: Noc.

Panurg: A kiedy wstają?

Braciszek: Dzień.

— Oto — zawołał Panurg — najmilszy Buczek, jakiego zdarzyło mi się ujeżdżać w tym roku; dałby Bóg i błogosławiony święty Buczek i przewielebna dziewica święta Buczyha, aby został pierwszym prezydentem paryskiego trybunału. Kroćset fur beczek śledzi, hej przyjaciele, co by to był za pies na wszystkie dysydencje! Co by to były za krótkie procesy, co za szybka ekspedycja aktów, rewizja apelacyj! Przejdźmyż teraz do innych wiktuałów i pomówmy spokojnie i rozsądnie o naszych godnych siostrach miłosierdzia.

Panurg: Jakież jest ich formularz?

Braciszek: Głah.

Panurg: U wejścia?

Braciszek: Chlód.

Panurg: A w głębi?

Braciszek: Żar.

Panurg: A po brzegach?

Braciszek: Sierć.

Panurg: Jaka?

Braciszek: Blond.

Panurg: A u starych?

Braciszek: Szpak.

Panurg: Jakże idzie wsuwanie?

Braciszek: Huź.

Panurg: A wytrząsanie pośladków?

Braciszek: Hoc.

Panurg: I wszystkie są takie hocliwe?

Braciszek: Zbyt.

Panurg: A wasze instrumenty, jakież są?

Braciszek: Drag.

Panurg: A na końcu?

Braciszek: Krag.

Panurg: A koniec jakiego koloru?

Braciszek: Róż.

Panurg: Kiedy już zrobią swoje, co się z nich czyni?

Braciszek: Flak.

Panurg: A wasze przybory genitalne ile ważą?

Braciszek: Pud.

Panurg: Owo, wedle waszych ślubów, kiedy chcecie je ob-skoczyć, jak je kładziecie?

Braciszek: Wznak.

Panurg: Cóż one mówią na takowe ujeżdżanie?

Braciszek: Nic.

Panurg: Jenó pieścżą się z wami i czulą, i ciągle jeno my-ślą o waszym wisiorku?

Braciszek: Hej.

Panurg: Dają wam dzieci?

Braciszek: Nic.

Panurg: Jak sypiacie razem? w gatkach?

Braciszek: Bez.

Panurg: Wedle nakazów waszego ślubowania, ile razy czynicie to zwyczajnie przez dzień?

Braciszek: Sześć.

Panurg: A w nocy?

Braciszek: Osiem.

— Ha — rzekł brat Jan — taki syn nie chciał się przyznać do więcej niż czternastu; wstyd mu.

Panurg: No i cóż, bracie Janie, potrafilbyś mu dotrzymać placu? Niechże go trąd ogarnie! I wszyscy tak czynią?

Braciszek: Tak.

Panurg: A któryż tu najczerstwiejszy?

Braciszek: Ja.

Panurg: I nigdy wam nie spali na panewce?

Braciszek: Nie.

Panurg: Głupieję doprawdy. No, a jeżeli poprzedniego dnia wyciśniesz i opróżnisz wszystkie swoje naczynia spermacyjne, nazajutrz znów czujesz w nich pełno?

Braciszek: Znów.

Panurg: Tam do licha! Albo ja śnię, albo oni musieli znaleźć owo indyjskie ziele, sławione przez Teofrasta. Ale jeżeli wskutek jakiej godziwej zwłoki albo innej przyczyny, trafi się wam w tym obcowaniu jakoweś upośledzenie na członku, jak się z tym czujecie?

Braciszek: Żle.

Panurg: A cóż wtedy robią dziewczuchy?

Braciszek: Wrzask.

Panurg: I cóż wtedy?

Braciszek: Kij.

Panurg: A one, cóż dają wam wtedy?

Braciszek: Gnój.

Panurg: Co ty mówisz?

Braciszek: Smród.

Panurg: Skądże się to bierze?

Braciszek: Zad.

Panurg: Jakże je wówczas karcicie?

Braciszek: Bicz.

Panurg: I co z nich dobywacie?

Braciszek: Krew.

Panurg: I takie pokrwawione zostawiacie?

Braciszek: W gźlach.

Panurg: I nie dajecie im...?

Braciszek: Jeść.

Panurg: I co z tego rośnie dla was?

Braciszek: Strach.

Panurg: I jeszcze?

Braciszek: Cześć.

Panurg: Owo, wedle nakazów waszego ślubowania, jaki jest miesiąc, w którym najwięcej to czynicie?

Braciszek: Wrześć.

Panurg: A najkrzepciej?

Braciszek: Marc.

Panurg: Ale zazwyczaj przybór wasz jest jaki?

Braciszek: Zdrow!

Na to Panurg rozśmiał się i rzekł:

— Jak mi Bóg miły, oto siarczasty brat Buksa; słyszeliście, jaki on stanowczy, treściwy i zwięzły w odpowiedziach? Nie można zeń wydobyć więcej niż jedną sylabę. Myślę, że takim poziomką starczyłaby na trzy kąski.

— Do kroćset — rzekł brat Jan — inaczej za to on gada ze swymi dziewczuchami, tam jest bardzo polysylabiczny. Powiadacie, że poziomka starczyłaby mu na trzy kąski; owóż na świętego Wsuwantego, ja hym przysiągł, że z udźcem baranem załatwiłby się najwyżej w dwóch kłapnięciach zębami, a z garncem wina w jednym lyku. Spójrzcie tylko, co to za mizerne niebożatko.

— W całym świecie — rzekł Epistemon — te hycle mnichy są takie zażarte na jadło, a potem powiadają, że mają tylko swój żywot na świecie. A cóż u diabła mają królowie i inne mocarze?

XXIX. *Jako instytucja postu nie podoba się Epistemonowi*

— Czyście zauważyli — rzekł Epistemon — jak nam ten hultaj i nicpoń Buczący podał marzec jako miesiąc nierządu?

— Tak — odparł Pantagruel — a przecież ten miesiąc wypada zawsze w poście, który ustanowiono dla umartwienia ciała, poskromienia żądz cielesnych i zduszenia wenerycznej furii.

— Z tego — rzekł Epistemon — możecie wnosić, co za rozum musiał mieć ten papież, który pierwszy go ustanowił, skoro ten szpetny Trepek Buczący wyznaje, iż nigdy się tyle nie świnął wszeteczeństwem, co w czas postu. Co dzieje się także dla oczywistych racyj, przytoczonych przez wszystkich dobrych i uczonych lekarzy, którzy twierdzą, iż przez cały rok nie je się tylu potraw tak podniecających lubieźność w człowieku, co w tym czasie: bób, groch, fasolę, cebulę, orzechy, ostrygi, śledzie, ryby morskie i rzeczne, salaty sporządzone jeno z samych ziół wenerycznych, jako gorczycy, rzeżuchy, brukwi, traganku, berli, maku, chmielu, fig, ryżu, malagi.

— Ba — rzekł Pantagruel — dopieroż bylibyście zdumieni, gdyby się okazało, że ów dobry papież, ustanowiciel świętego postu, wiedząc, że właśnie w owej porze naturalna gorącość wychodzi z wnętrza ciała (w którym była uwięziona przez czas zimowych mrozów) i rozlewa się po obwodzie członków jako soki w drzewach, gdyby, powtarzam, wiedząc o tym, umyślnie ustanowił te potrawy, aby dopomóc rozmnożeniu się ludzkiego gatunku. A myśl tę obudziło we mnie to, iż w księgach kościelnych zapisana jest większa liczba dzieci urodzonych w październiku i w listopadzie niż w pozostałych dziesięciu miesiącach; które to dzieci, wedle wstecznego obliczenia, wszystkie uczyniono, poczęto i spłodzono w poście.

— Słucham — rzekł brat Jan — waszych rozmów i czerpię w nich niemalą przyjemność; proboszcz wszelako z naszego miasteczka przypisywał to obfite zachodzenie w ciążę nie potrawom postnym, ale niejakim koślawym kwestarzykom, ubłocnym kaznodziejaszkom, zasmarkanym spowiednikom, którzy przez ten czas swojego panowania skazują wszetecznych mężów na trzy łokcie głęboko w piekło, w pazury Lucypera; tak iż wy-

straszeni przez nich mężowie nie obracają już pokojówek, jeno wracają do żon. Rzekłem.

— Wykładajcie sobie — rzekł Epistemon — instytucję postu wedle swej fantazji; każdy może się trzymać swego rozumienia; ale zniesieniu jej, na które coś mi się zanosí, sprzeciwiają się wszyscy lekarze. Wiem o tym, słyszałem to wprost od nich. Gdyby bowiem nie post, sztuka ich byłaby w pogardzie, nie by nie zarabiali, nikt by nie chorował. W poście jest posiew wszelakich chorób; to prawdziwe ich gniazdo, naturalna i płodna wylegarnia wszystkich cierpień. A jeszcze zważcie, iż jeżeli post zżera ciało, także i dusze doprowadza do oszołomienia. Wówczas diabły odprawiają swoje nabożeństwa; obludniki wychodzą na żer; świętoszki mają swoje wielkie dni, swoje sesje, stacje, odpusty, spowiedzi, biczowania, przeklinania. Nie chcę wszelako twierdzić, aby Arismapowie byli w tym lepsi od nas; jeno tak mimochodem powiadam, co myślę.

— Owo tedy — rzekł Panurg — kusi nabożny i buczący, cóż ty na to powiesz? Czy to nie jest heretyk?

Braciszek: Jest.

Panurg: I nie ma być spalony?

Braciszek: Ma.

Panurg: I to jak najprędzej?

Braciszek: Hej!

Panurg: Bez ugotowania wprzód?

Braciszek: Bez.

Panurg: W jaki tedy sposób?

Braciszek: Żyw.

Panurg: Tak żeby co z tego wynikło?

Braciszek: Śmierć.

Panurg: Tak cię bowiem uraził?

Braciszek: Zbyt.

Panurg: Czym ci się zdawał być?

Braciszek: Czort.

Panurg: Co chciałbyś, aby zeń było?

Braciszek: Dym.

Panurg: Wszakże spalono już takich?

Braciszek: Dość.

Panurg: Którzy byli heretykami?

Braciszek: Mniej.

Panurg: I jeszcze będzie się ich palić?

Braciszek: Hej!

Panurg: A zbawiż ich kto bodaj?

Braciszek: Bies.

Panurg: I trzeba wszystkich spalić?

Braciszek: Trza.

— Nie wiem — rzekł Epistemon — co za przyjemność znajdujecie w rozprawianiu z tym omniszonym gnojkiem. W istocie, gdybym was nie znał, musiałbym nabrać o was nieszczególnej opinii.

— Jak mi Bóg miły — rzekł Panurg — zabrałbym go chętnie z nami do Gargantui, tak mi się udał ten braciszek. Kiedy będę żonaty, trzymałbym go dla mojej żony za blazna.

— Juścić — rzekł Epistemon — o cóż za śliczny blazenek! jakie ucieszne skoki będzie po niej wyprawiał!

— Ha, ha, ha — rzekł brat Jan śmiejąc się — oberwało ci się za swoje, dobry Panurgu, już się nie wymigasz, abyś nie miał być rogalem aż po sam zadek.

XXX. *Jako zwiedziliśmy krainę atlasową*

Zadowoleni, iż poznaliśmy nowy zakon braci Buczących, żeglowaliśmy dwa dni; trzeciego zaś pilot odkrył wyspę piękną i rozkoszną ponad wszystkie inne; nazywano ją Wyspą Wełnistą, drogi bowiem były tam z wełny. Tam leżał kraj Atlasowy, tak głośny wśród paziów dworskich; w którym kraju drzewa i ziola nigdy nie traciły liści ani kwiatów i były z adamaszku i kwiecistego aksamitu. Zwierzęta i ptaki były z dywanowej materii. Tam ujrzeliśmy rozmaite zwierzęta, ptaki i drzewa, podobne do

naszych z wyglądu, wielkości, wymiarów i barwy; z tą różnicą, iż nie nie jadły i nie śpiewały ani też nie gryzły, jako czynią nasze. Wiele ujrzeliśmy takich, jakich wprzód nigdyśmy nie widzieli. Między innymi były tam różne słonie w rozmaitych postawach; zauważyłem zwłaszcza sześciu samców i sześć samic, które niegdyś ich wychowawca pokazywał w Rzymie w teatrze. za czasów Germanika, siostrzeńca cesarza Tyberiusza; słonie uczone, biegle w muzyce, filozofii, tańcu, płasach i igraszkach; i siadały do stołu bardzo obyczajnie, pijąc i jedząc w milczeniu, jako dobre ojcaszki w refektarzu. Mają ryj długi na dwa łokcie (nazwany proboszczydą), którym czerpią wodę do picia, skubią palmy, śliwki, wszelakie rodzaje pożywienia, bronią się i napastują, jak gdyby ręką; i w walce rzucają człowieka wysoko w powietrze, tak iż spadając ginie wskutek pęknięcia ze śmiechu. Mają piękne i kształtne uszy w kształcie koszuw plecných. Mają stawy i więzadła u nóg. Ci, którzy piszą inaczej, widzieli je tylko na malowidłach. Między zębami mają dwa wielkie rogi; tak nazywał je Juba i Pauzaniusz także powiada, iż to są rogi, nie zęby. Filostrates utrzymuje przeciwnie, że to są zęby, nie rogi: to mi wszystko jedno, byleście raczyli zauważyć, że jest to szczerza kość słoniowa i że są długie na trzy albo cztery stopy, a tkwią w szczęcie górnej, nie dolnej.

Jeśli uwierzycie tym, którzy bają inaczej, źle na tym wyjdziecie, choćby to był ów Elian, arcymistrz wszelakiego łgarstwa. Tu, nie gdzie indziej, widział je Pliniusz, jak tańczyły przy dzwoneczkach na linie; także jak chodziły po stołach podczas uczty nie niepokojąc w niczym pijących pijaków.

Widziałem tam nosorożca zupełnie podobnego temu, jakiego, pokazywał mi niegdyś Henryk Kleberg, i mało różniącego się od kiernoza, którego widziałem niegdyś w Limoges; z tą różnicą, że miał w pysku róg długi na stopę i szpiczasty, z którym nie lękał się porywać do walki przeciwko słoniowi i żgając go w brzuch (który jest najczulszą i najsłabszą częścią u słonia) kładł go trupem na ziemię.

Widziałem trzydzieści dwa jednorożce; jest to bardzo okrutne zwierzę, całkiem podobne do pięknego konia, z tą różnicą, że ma głowę jak jeleni, nogi jak słoń, ogon jak dzik i na czole ostry, czarny i długi róg na sześć albo siedem stóp, który zazwyczaj zwisa mu nisko jak grzebień u indora; kiedy natomiast chce walczyć lub zgoła inaczej się nim posługiwać, podnosi się prosty i sztywny. Widziałem jednego, jak otoczony rozmaitymi dzikimi zwierzętami, rogiem swoim ochędożył źródło. Panurg rzekł, iż jego malutki podobny jest do tego rogu, nie w rozmiarach oczywiście, ale w przymiotach i właściwościach, tak samo bowiem jak ów bydlak czyścił wodę w sadzawkach i źródłach z wszelkiej nieczystości i trucizny, tak iż różne zwierzęta z całym bezpieczeństwem przychodziły pić, tak samo po nim bezpiecznie można było tryksać, bez obawy szankra, francy, wiewióra, wrzodów i innych drobnych przyjemności; jeżeli bowiem nawet była jaka zaraza w owej zapowietrzonej dziurze, on wszystko uprzątnął swoim unerwionym rogiem.

— Kiedy — rzekł brat Jan — będziesz żonaty, zrobimy próbę na twojej żonie. Uczynimy to, dla miłości Bożej, skoro nam dajesz takie zbawienne przepisy.

— Owszem — rzekł Panurg — a potem przygodzi się wam w brzuch piękna pigułka agregatywna, złożona z dwudziestu dwóch cezarycznych pchnięć sztyletu.

— Lepiej by się zdała — rzekł brat Jan — jaka szklaneczka dobrego chłodnego winka.

Widziałem tam złote runo, zdobyte przez Jazona. Ci, którzy mówili, iż to nie jest runo, jeno jabłko złote, ponieważ μηλα znaczy jabłko i jagnię, źle snadź zwiedzili krainę Atlasów. Widziałem Kameleona, jak go opisuje Arystoteles i jak mi go niekiedy pokazywał pan Karol Mareński, znamienity lekarz w szlachebnym mieście Lyonie nad Rodanem; który kameleon był tylko samym powietrzem jak i tamten.

Widziałem trzy hydry, takie jak zresztą widziałem i gdzie indziej. Są to węże, z których każdy ma siedemnaście rozma-

tych głów. Widziałem czternaście feniksów. Czytałem w rozmaitych autorach, że istnieje tylko jeden na świecie na cały wiek; ale, wedle mego skromnego rozeznania, ci, którzy to pisali, widzieli je jedynie w kraju Dywanów, jak np. Laktancjusz Firmian. Widziałem skórę złotego osła Apulejuszowego. Widziałem trzysta i dziewięć pelikanów, sześć tysięcy szesnaście ptaków-Seleucydów, krocących w porządku i pożerających koniki polne w zbożu; dalej cynamolgi, argantyle, kaprymulgi, tymunkule, lajnotary, to jest chciałem powiedzieć, onokrotale z przepaścistą gardzielią, stymfalidy, harpie, pantery, dorkady, cemady, kinocfale, satyry, kartazoni, taranty, ursy, monoppy, pegazy, cepy, neary, stery, cerkopiteki, bizuny, muzymony, bitury, ofiry, strzygi, gryfy.

Widziałem Pólpoście na koniu; widziałem wilkolaki, centaury, tygrysy, lamparty, kamelopardy, orygi.

Widziałem remorę, małą rybkę zwaną u Greków Echeneis, tuż naprzeciw wielkiego okrętu, który nie ruszał się z miejsca, mimo iż miał wszystkie żagle rozwinięte. Sądzę, iż to był okręt tyrana Periandra, który ta mała rybka zatrzymała wbrew wszystkim wiatrom. I sądzą, że w tym kraju Atlasów, nie gdzie indziej, musiał ją widzieć Mucjanus. Brat Jan powiedział nam, że po trybunałach sądowych srożyły się niegdyś dwa rodzaje ryb, które wszystkim stronom procesującym, czy to ze szlachty, czy z mieszczan, z chłopów, z bogatych czy biednych, małych czy dużych, przeżerały ciało i przywodziły dusze do szaleństwa. Jedne były to rybki kwietniowe, makarele; drugie przedajne remory, to znaczy wiekuiste trwanie procesu bez terminu wyroku.

Widziałem sfinksy, rafa, uncje, cefy, które mają przednie łapy jak ręce, a zadnie jak nogi człowieka; krokuty, eale, które są wielkie jak hipopotamy, mają ogony jak słonie, szczęki jak dziki, rogi ruchome jak uszy u osła. Kukrokuty, bestie bardzo zwinne, wielkie jak orły mirabelańskie, mają kark, ogon i piersi jak u lwa, nogi jak u jelenia, pysk rozciąty aż do uszu i nie mają więcej zębów niż jeden u góry, jeden u dołu; mówią ludzkim

głosem, ale wówczas nie pisnęły ani słowa. Powiadacie, że nikt nigdy nie widział świętej airy; owóż ja widziałem ich jedenaście, zapamiętajcie to sobie dobrze.

Widziałem halabardy mańkucie, których gdzie indziej nie widziałem.

Widziałem mantykory, bestie bardzo osobliwe: mają ciało jak lew, czerwoną sierść, ludzką twarz i uszy, trzy szeregi zębów, które wchodzą jedne w drugie jakoby palce jednej ręki zaplecione o drugą; w ogonie mają kolec, którym kłują jak skorpiony; a głos mają wielce melodyjny. Widziałem katoblepy, dzikie bestie, o małym ciele, głowach zaś nieproporcjonalnie dużych, tak iż zaledwie mogą je unieść z ziemi; oczy mają tak jadowite, że ktokolwiek je ujrzy, umiera nagle, jak gdyby ujrzał bazyliżka. Widziałem zwierzęta o dwóch grzbietach, które mi się zdały bardzo wesołe i zwinne w potrząsaniu zadkiem.

Widziałem mleczne raki, których nigdzie indziej nie widziałem, i kroczyły w pięknym porządku, tak iż radość była na nie patrzeć.

XXXI. *Jako w kraju Atlasowym ujrzelśmy pana Podobno odprawiającego szkołę świadczienia*

Posuwając się nieco dalej krajem Dywanów ujrzelśmy Morze Śródziemne, otwarte i odsłonięte aż do samego odmetu, jako w Cieśninie Arahskiej rozstało się Morze Czerwone, aby zrobić przejście Żydom uciekającym z Egiptu.

Tam ujrzałem Trytona dmącego w wielką konchę, Glauka, Proteusza, Nereusza i tysiąc innych bogów i potworów morskich. Ujrzelśmy także nieskończoną mnogość rozmaitych gatunków ryb, tańczących, latających, fruujących, walczących, jedzących, oddychających, tryksających się, polujących, wydających potyczki, czyniących zasadzki, zawierających rozejmy, targujących się, kłających, swarzających.

Opodal, w kącie, ujrzelśmy Arystotelesa trzymającego latarnię, w podobnej postawie, w jakiej malują pustelnika przy boku

św. Krzysztofa, na wszystko baczego, wszystkiemu przypatrującego się i utrwalającego wszystko pismem. Za nim, jakoby świadkowie i strażnicy, byli inni filozofowie: Appianus, Heliodorus, Atheneus, Porphyrius, Pankrates, Archadian, Numenius, Possidonius, Owidiusz, Oppianus, Olimpius; Seleukus; Leonides; Agathokles, Teofrastes, Demostrates; Mucjanus; Nymphodorus; Elianus i jeszcze pięciuset takich nierobów, jako Chryzyp albo Arystarch z Soli, który pięćdziesiąt osiem lat przyglądał się obyczajom pszczoł, nie trudniąc się niczym innym. Pomiedzy tymi zauważyłem Piotra Gila, który trzymał w ręku urynek, oglądając w głębokim skupieniu urynek tych pięknych rybek.

Napatrzywszy się sumiennie krainie Atlasów rzekł Pantagruel:

— Napasłem tu obficie oczy, nie mogę wszelako nijak się nasycić; brzuch aż mi skwierczy z głodu.

— Pokrzepmy się, pokrzepmy — rzekłem — skosztujemy tych anakampserotów, które tu zwisają nad nami. Pfuj, to nie szczególnego.

Wziąłem tedy parę śliwek, które wisiały u gałęzi dywanowych; ale nie mogłem ich zżuć ani połknąć; przysięgłbyś, wedle smaku, iż to był jeno zwinięty jedwab; nie miały żadnego soku. Można by myśleć, że Heliogabal stamtąd zaczerpnął obyczaj, iż gości swych, kazawszy im wprzód długo pościć i przyrzekając wykwinąć, wspaniałą, obfitą królewską ucztę, potem zasię karmił potrawami z wosku, marmuru, gliny, malowidła albo zgoła haftowanym obrusie.

Rozglądając się tedy po okolicy, czy nie znajdziemy czego do zjedzenia, usłyszeliśmy ostry i skłócony dźwięk, jakoby krzyk kobiet piorących płótno albo też klekot młyna w Bazakli koło Tuluzy. Nie ociągając się pospieszyliśmy natychmiast w miejsce, skąd głos pochodził, i ujrzelśmy małego staruszka, garbatego, pokracznego i szpetnego; nazywano go imięm *Podobno*; miał głowę rozdartą od ucha do ucha, w gębie siedem języków, każdy rozszczepiony na siedem części; mimo to wszyst-

kimi siedmioma na raz gadał rozmaite rzeczy i w rozmaitej gwarze; miał także na głowie i na reszcie ciała tyle uszu, ile niegdyś Argus oczu; poza tym był ślepy i sparaliżowany na nogi.

Dokoła niego ujrzałem nieprzeliczoną mnogość mężczyzn i niewiast, zasluchanych i uważnych; niektórzy w tej zgrai wyglądali wcale miniasto. Jeden trzymał właśnie mapę świata i objaśniał ją z grubsza wielce aforystycznie: tak iż w niewiele godzin stawali się mądrzy i uczeni i mówili o wielu cudownych rzeczach pięknie jakoby z otwartej książki; których rzeczy aby wiedzieć setną część, nie starczyłoby życie człowieka: o piramidach, o Nilu, o Babilonie, o Troglodytach, o Hymantopodach, o Blemijach, o Pigmejach, o Kanibalach, o Górach Hyperborejskich, o Egipanach, o wszystkich diablach, a wszystko na wiarę imiępana *Podobno*.

Tam ujrzałem, jak mi się zdaje, Herodota, Pliniusza, Lobina, Beroza, Filostrata, Melama, Strabona i wielu innych starożytnych, dalej Alberta, wielkiego jakobina, Piotra Świadka, papieża Piusa Drugiego, Wolaterana, Paula Jowia dzielnego człeczynę, Jakuba Cartier, Chaitona Armeńczyka, Marka Paula weneccjanina, Ludowika Rzymianina, Piotra Alwarez, i wielką jeszcze mnogość nowożytnych historyków ukrytych za obiciem i spisujących ukradkiem nader piękne opowieści, a wszystko na wiarę imiępana *Podobno*.

Za aksamitną materią wyciskaną w kwiat miętowy widziałem w otoczeniu imiępana *Podobno* wielu Perszerończyków i Mancejanów, gorliwych uczniów, dość sobie młodych. Owo gdyśmy spytali, na jakim fakultecie prowadzą swoje studia, usłyszeliśmy, iż od młodości uczą się na *świadców* i w tej sztuce wydoskonali się tak dobrze, iż za powrotem z tej akademii żyją wcale dostatnio z rzemiosła świadecznego, używając świadectwa w każdej rzeczy temu, kto więcej zapłaci, a wszystko na wiarę imiępana *Podobno*. Można o tym myśleć rozmaicie, ale, co do mnie, wiem tyle, że nie żalowali nam piwniczki i pociągnęliśmy z ich beczulek, ile dusza zapragnie. Po czym ostrzegli nas życz-

liwie, że powinniśmy, ile tylko w naszej mocy, oszczędnie obchodzić się z prawdą, jeśli chcemy dojść do czego na dworze wielkich panów.

XXXII. Jako ukazała się nam kraina Latarników

Żle podjęci i lichu ugoszczeni w krainie Atlasów, żeglowaliśmy dalej trzy dni; czwartego dopłynęliśmy szczęśliwie do kraju Latarników. Zbliżając się ujrzelśmy na morzu latające ogniki; co do mnie, myślałem, że to są nie latarnie, ale ryby, które wystawiając z morza płomieniste języki, tak błyszczą; albo też, że to Lampirydy (wy je nazywacie Cycyndełe) błyszczą tam, tak jak w moich stronach w czas dojrzewania jęczmienia. Ale pilot pouczył nas, że to są latarnie straży oświecające kraj koło rogatki i eskortujące jakoweś obce latarnie, które, jako dobrzy franciszkanie i jakobini, podążają na kapitułę prowincjalną. Gdyśmy zdradzili obawę, czy to nie jest jakowaś zapowiedź burzy, upewnił nas, iż rzecz ma się tak, jak on mówi.

XXXIII. Jako zawinęliśmy do portu Lychnobitów i jako wstąpiliśmy w ziemię Latarneńskie

Niebawem wpłynęliśmy do portu Latarników. Tam na wysokiej wieży Pantagruel ujrzał i rozpoznał latarnię z Roszeli, która świeciła bardzo jasno. Ujrzelśmy także latarnię z Pharos, z Nauplion, z Akropolis w Atenach poświęconą Palladzie. Koło portu jest mała wioska zamieszkała przez Lychnobitów, którzy są narodem żyjącym z latarni, jako w naszym kraju bracia Bireci, dzielni i uczeni ludzie, żyją z mniszek.

Demostenes świecił tam niegdyś swoją latarnią. Z tego miejsca odprowadziły nas aż do pałacu trzy Drągi, strażnicy portowi, w wysokich czapkach modą albańską. Tym wyłożyliśmy przyczynę i zamiar naszej podróży, mianowicie, aby wyprosić u królowej Latarników jaką latarnię, iżby nas oświecała i pro-



wadziła w owej wyprawie do wyroczni boskiej Flaszy. Przyrzekli z miłą chęcią, dodając, iż zjawiamy się w szczęśliwej porze i okolicznościach i że znajdziemy piękny wybór latarni, ponieważ właśnie odprawiają swoją kapitułę.

Skorośmy przybyli do pałacu królewskiego, dwie latarnie honorowe (mianowicie latarnia Arystofanesa i latarnia Kleanta) przedstawiły nas królowej, której Panurg w języku latarnieńskim wyłożył pokrótce przyczynę naszej podróży. Przyjęła nas uprzejmie i zaprosiła na wieczerzę, iżbyśmy łatwiej mogli wybrać latarnię, którą zechcemy mieć za przewodnika. To było nam bardzo po myśli; jakoż nie omieszkaliśmy wszystkiego pilnie zważyć i notować, tak co do ich obyczaju, ubioru i zachowania jak i co do porządku biesiady.

Królowa była ubrana w szatę z dziewiczego kryształu górskiego, obrobionego modą damasceńską i usianą diamentami. Latarnie krwi ubrane były jedne w strass, drugie w kamień fengityczny; reszta była odziana w róg, papier lub ceratę. Tak samo i ogrodowe lampionki, każdy wedle stanu i starożytności swego domu. Jedną tylko zauważyłem z gliny, kształtu jakoby donicy; stała zaś w równym rzędzie z najwspanialszymi. Gdy się temu dziwiłem, objaśniono mnie, iż to jest latarnia Epikteta; za którą niegdyś na próżno ofiarowywano tysiące drachm.

Patrzałem uważnie na postać i przybranie latarni Polimyksy Marcjale, bardziej jeszcze na latarnię Ikonimyksy, niegdyś uświęconą przez Kanopę, córkę Tyzjasza. Rozpoznałem snadnie latarnię Penzylę, wziętą ongi w Tebach w świątyni palatyńskiego Apollina i później przeniesioną do miasta Kyme w Eolii przez Aleksandra Zdobywcę. Zauważyłem inną, także bardzo znaczną, a to z przyczyny pięknego szkarłatnego chwasta, który miała na głowie. I powiedziano mi, że to jest doktor Bartolo, latarnia prawa. Zauważyłem również dwie inne wyróżniające się dzięki woreczkom z lewatywami, które nosiły u pasa. Powiedziano mi, że jedna to jest wielkie a druga mniejsze Lumen stanu aptekarskiego.

Skoro przyszła godzina wieczerzy, królowa siadła na pierwszym miejscu, a niżej inne, wedle rangi i godności. Na pierwsze danie wniesiono duże lane świece; samej zaś królowej podano wielką i sztywną pochodnię z białego wosku, płonącą i nieco czerwoną na końcu. Latarnie krwi też wyróżniono spośród reszty; także latarnię prowincjonalną z Mirbalu, której podano świecę orzechową; i prowincjałkę z niżniego Połtu, której podano świecę uherbioną. Ha ha! Bóg świadkiem, jak się to świece wesoło paliły w swoich lichtarzykach! Wyjątek czyniła pewna ilość młodych latarek pod władzą grubej latarni; te nie świeciły tak jasno jak inne, ale kolory ich zdały mi się dość wszeteczne.

Po wieczerzy udaliśmy się na spoczynek. Nazajutrz rano królowa kazała nam wybrać latarnię, aby służyła nam za przewodnika; i to spośród najznacniejszych. Za czym ruszyliśmy w drogę.

XXXIV. *Jako przybyliśmy do wyroczni boskiej Flaszy*

Przy świetle szlachetnej latarni, prowadzącej nas rażno i wesoło, przybyliśmy na upragnioną wyspę, gdzie znajdowała się wyrocznia Flaszy. Gdyśmy wysiadali, Panurg okręcił się na pięcie, podskoczył żwawo i rzekł do Pantagruela:

— Dzisiaj tedy osiągnęliśmy to, czego szukaliśmy wśród tylu trudów i niebezpieczeństw.

Następnie skłonił się grzecznie przed latarnią. Ta zaleciła nam wszystkim być dobrej myśli i nie przestraszyć się, co bądźbyśmy ujrzeli.

W drodze do świątyni boskiej Flaszy należało przejść przez wielką winnicę złożoną z wszelakiego rodzaju szczepów winnych, jako to: Falerneński, Małmazyjski, Muszkat, Taggia, Boński, Mireweński, Orleański, Pikardeński, Arbozyjski, Kuzeński, Andegaweński, Grawski, Korsykański, Wieroński, Neracki i inne. Ową winnicę posadził niegdyś dobry Bachus, i tak łaskawą dłonią, iż nieustannie dawała liście, kwiaty i owoce, jako drzewa

pomarańczowe w Surenie. Nasza dostojna latarnia kazała nam zjeść po trzy grona, nałożyć winnych liści do trzewików i wziąć zieloną gałązkę w lewą rękę. Na końcu winnicy przeszliśmy pod starożytnym łukiem, na którym były bardzo misternie wyrzeźbione trofea pijackie, a mianowicie: w jednym ciągu długi rząd flaszek, butelek, gąsiorów, flakonów, starożytnych dzbanów wiszących na tyczkach w cienistej altanie; w drugim szeregu wielka ilość czosnku, cebuli, orzechów, szynek, baryłek z kaworem, ozorów wędzonych, starych serów; a cała ta spiżarnia była wdzięcznie zapleciona winnymi liśćmi i bardzo misternie zawieszona na pniach latorośli winnej. W jeszcze innym szeregu sto rodzajów rozmaitych szklanek, pieszych, konnych, czarek, kubków, pucharów, roztruchanów, kielichów, kieliszków, jakoby cała artyleria bachiczna. Naprzeciw łuku, pod zooforami, wypisane były te dwa wiersze:

*Jeśli wstępujesz w tę cienistą darnię,
Wraz się zaopatrz w sumienną latarnię.*

— Pod tym względem — rzekł Panurg — jesteśmy zaopatrzeni. W całej bowiem krainie Latarnianej nie ma lepszej, bardziej zgoła boskiej Latarni niż nasza.

Ten łuk kończył się w pięknej i dużej altanie, całej uczynionej z winnych latorośli, ozdobionej gronami w pięciuset rozmaitych kolorach i kształtach, nie naturalnych, lecz uformowanych hodowlaną sztuką, żółtych, niebieskich, brązowych, lazurowych, białych, czarnych, zielonych, fiołkowych, prążkowanych, srokatych, podłużnych, okrągłych, karbowanych, jaderkowatych, koroniastych, brodatych, kosmatych. Koniec jej zamknięty był trzema starymi latoroślami, pięknie zieleniącymi się, brzemiennymi od jagód. Tam nakazała nam najjaśniejsza Latarnia, by każdy sporządził sobie z liści tego krzaku kapelusz albański i nakrył nim całą głowę. Co też stało się bez zwłoki.

— Nigdy by — rzekł Pantagruel — nie przeszła niegdyś pod tym sklepieniem kapłanka Jowisza.

— Przyczyna tego — odparła nasza przejasna Latarnia — była mistyczna. Przechodząc bowiem pod nim miałyby winne grona, to znaczy wino, nad głową i zdawałyby się jakby ujarzmiona i pokonana winem; chodziło tedy o wyrażenie, że kapłani i wszelkie osoby, które oddają się i poświęcają rozważaniu rzeczy boskich, winny zachować ducha w spokoju, poza wszelkim zamęceniem zmysłów; to zaś bardziej objawia się w pijaństwie niż w jakiegokolwiek innej namiętności. Podobnie i was nie przyjęłaby w świątyni boska Flaszka, gdybyście przeszli pod tym sklepieniem, chyba że Bakbuk, szlachetna kapłanka, ujrzy, iż wasze trzewiki pełne są liści wina; co jest czynem zupełnie i na wskroś przeciwnym pierwszemu i oczywistą oznaką, iż wino macie we wzgardzie i panujcie nad nim i depczecie je.

— Ja tam — rzekł brat Jan — nie jestem żaden uczony mędrzec, nad czym ubolewam; ale czytałem w brewiarzu, iż w Apokalipsie pokazała się cudownym iście objawieniem, kobieta mająca księżyc pod nogami; to, jak mi wytłumaczył imię Bigot, miało oznaczać, że nie jest ono obyczaju i przyrody innych, które przeciwnie mają księżyc w głowach, a tym samym mózg zawsze lunatyczny. Dlatego też łatwo przychodzi mi uwierzyć w to, co mi tu opowiadasz, Latarenko, duszyczko.

XXXV. Jako zstąpiliśmy na ziemię, aby wejść do świątyni Flaszki i jako Szynion jest pierwszym miastem w świecie

Za czym zstąpiliśmy na ziemię przez sklepienie obrzucone tynkiem, na którym zewnątrz było malowidło przedstawiające taniec kobiet i satyrów w towarzystwie Sylena jadącego na ośle i śmiejącego się do rozpuku. Rzekłem tedy do Pantagruela:

— To wejście przywodzi mi na pamięć malowaną Piwnicę, znajdującą się w pierwszym mieście na świecie; tam bowiem są podobne malowidła i równie wdzięczne jak tutaj.

— Gdzież to? — zapytał Pantagruel — któreż jest to pierwsze miasto, o którym mówisz?

— Szynion — rzekłem — albo inaczej Kaynon w Turenii.

— Wiem — odparł Pantagruel — gdzie jest Szynion i malowana piwnica także; wysączyłem tam nieraz szklaneczkę chłodnego winka i nie powątpiewam, że Szynion jest to starożytne miasto. Już herb jego zaświadcza o tym, w którym jest powiedziano:

*Kaynon, Kaynon, Kaynon,
Któż sławę wyśpiewa twą,
Siedzisz na starym kamieniu,
Nad rzeką Wieną, w drzew cieniu.*

Ale w jaki sposób ma być pierwszym miastem świata? Gdzie to napisane? Skąd wzięłeś to przypuszczenie?

— Stoi — rzekłem — w piśmie, że Kain był pierwszym budownikiem miast; prawdopodobne tedy jest, iż pierwsze od swego imienia nazwał Kaynon, jak później, naśladując go, wszyscy inni fundatorzy i założyciele miast nadawali im własne imiona: Atene (to jest po grecku Minerwa) Atenom; Aleksander Aleksandrii; Konstantyn Konstantynopolowi; Pompejusz miastu Pompejopolis w Cylicji; Adrian Adrianopolowi: Kana miastu Kanaan; Saba Sabejom w Asyrii, także Ptolomais, Cezarea, Tyberium, Herodium w Judei.

Gdyśmy się bawili takimi pogwarkami, wyszedł wielki Gąsior (nasza latarnia nazywała go filozofem), marszałek dworu boskiej Flaszy, otoczony strażą, a były to same francuskie butelki. Ten, widząc nas uzbrojonych w tyrsy i uwieńczonych winogradem, a także poznając naszą świętą Latarnię, pozwolił nam wejść bezpiecznie i nakazał, aby nas zawiedziono prosto do księżniczki Bakkuk, damy dworu pani Flaszy i kapłanki wszystkich misteriów. Tak się też stało.

XXXVI. Jako zeszliśmy na dół po tetradycznych schodach i jako Panurg zażył wielkiego strachu

Następnie zeszliśmy marmurowymi schodami pod ziemię, gdzie była galeryjka; skręciwszy na lewo, zeszliśmy jeszcze po dwóch kondygnacjach i tam była również galeryjka; następnie w bok jeszcze trzy, również galeryjka, i po czterech również. Tam zapytał Panurg:

— Czy to tu?

— Cztery kondygnacje — rzekła nasza wspañiała Latarnia — czyście liczyl?

— Jeden — odparł Pantagruel — dwa, trzy, cztery.

— Wiele to razem? — spytała.

— Dziewięć — odparł Pantagruel.

— Przez tę samą tetradę Pitagorejską pomnóżcie to, co wypadło.

— To byłoby dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści.

— Ile to razem? — rzekła.

— Sto — odparł Pantagruel.

— Dodajcie sześcian pierwszy, to jest osiem; na końcu fatalistycznej cyfry znajdziemy bramę. I zważcie dobrze, iż to jest prawdziwa psychogonia Platona, tak sławiona przez akademików, a tak mało rozumiana; której połowa składa się z jedności dwóch pierwszych pełnych cyfer, dwóch kwadratów i dwóch sześcianów.

Przy schodzeniu po tych numerycznych stopniach były nam przede wszystkim potrzebne nogi; bez nich nie moglibyśmy zejść, chyba jeno tocząc się jako beczki po piwnicy; po wtóre, nasza przesławna Latarnia: przy tym bowiem schodzeniu żadnego innego świata nie było widać, nie więcej, niż gdybyśmy byli w dziurze św. Patryka w Hibernii albo w grocie Trofoniusza w Beocji. Skorośmy przebyli około siedemdziesięciu i ośmiu schodów, wykrzyknął Panurg zwracając się do błyszczącej Latarni:

— Damo czarodziejska, proszę ze strwożonym sercem, wracajmy. Klnę się na rogi Lucypera, umieram ze strachu. Gdzie się już wytrwać do śmierci w bezżeństwie. Zadałaś sobie, o pani, dla mnie wiele trudów i fatygi; Bóg ci to odda w dzień wielkiej wypłaty i ja też nie okażę się niewdzięcznym, skoro wydostaniemy się z tej troglodyckiej jaskini. Wracajmy, jeśli laska. Podejrzewam mocno, że to jest Tenarus, przez który schodzi się do piekła; zdaje mi się, że słyszałem szczekanie Cerbera. Słuchajcie: to on albo mi w ustach dzwoni. Nie mam doń żadnego nabożeństwa, nie ma bowiem gorszego bólu zębów na świecie, niż kiedy psy człowieka trzymają za łydkę. Jeśli tu jest jaskinia Trofoniusza, Lemury i Chochliki zjedzą nas żywcem, jako niegdyś zjadły jednego z halabardników Demetriusza, w braku innych ochlapów. Jesteś tu, bracie Janie? Proszę cię, moja baryło, trzymaj się blisko mnie, umieram ze strachu. Masz swój kordelas? Do tego nie mam żadnej broni, zaczepnej ani odpornej. Wracajmy.

— Jestem już, jestem — rzekł brat Jan — jestem, nie lękaj się; trzymam cię za kołnier; osiemnastu diabłów nie wydrze mi cię z rąk, mimo że jestem bez broni. Broni nigdy w potrzebie nie braknie, kiedy tęgie serce wspomaga tęgie ramię. Gdy trzeba, raczej broń z nieba zleci, jako na polach Krańskich, koło rowu Mariusza w Prowancji, niegdyś leciały kamienie (jeszcze tam leżą) na pomoc Herkulesowi, gdy nie miał czym walczyć przeciw dwom dzieciom Neptuna. Ale co to! gdzież my idziemy? do kręgu małych dziateczek (na miły Bóg, ofajdają nas wszystkich z kretelem!) albo też do piekła, do wszystkich diabłów? Do kroćset! już ja im dobrze wygarbuję skórę, teraz, kiedy mam liście winne w trzewikach. O jakże ja się wezmę ochoczo do tej młocki! Gdzie to jest? gdzie oni są? boję się tylko ich rogów. Ale idea rogów, jakie Panurg będzie nosił po ożenieniu, ubezpieczy mnie od nich w zupełności. Widzę go już, jakoby proroczym duchem, jako nowego Akteona, rogala, rogalika, ro-galeńka.

— Pilnuj się bracie — rzekł Panurg — gdy będą żenili mnichów, abyś snadź nie zaślubił ciężkiej cholery. Niech nie wyjdę zdrów i cały z tej czeluści, jeśli ci jej nie wyobracam sumiennie jeno po to, aby cię ukoronować; poza tym oddaję ci ją na wiekuistą własność, mało bowiem dbam o jej towarzystwo. Przypominam sobie, że ten poczciwy Pazdur chciał ci ją dać za żonę; ale nazwałeś go heretykiem.

Tutaj przerwała rozmowę jaśnie oświecona Latarnia zwracając uwagę, iż w tym miejscu należy milczeć i powściągnąć języki, nie mówiąc ani słowa; po czym objaśniła nas stanowczo, iż skoro raz wymościłszy trzewiki winnymi liśćmi, nie ma mowy o tym, byśmy mogli wrócić do domu bez uzyskania odpowiedzi boskiej Flaszki.

— Marsz tedy naprzód — rzekł Panurg — walmy śmiało, przez trzysta tysięcy kroćset diabłów. Raz kozie śmierć. Oszczędziałem się z moim żywotem na walną bitwę. Odwagi mam aż nadto; prawda, iż serce mi dygoce; ale to z zimna, z tego piwnicznego powietrza. To nie ze strachu, nie; ani z febry. Walmy, palmy, grzmijmy, bździjmy; imię moje jest Wilhelm bez trwogi.

XXXVII. Jako bramy świątyni otworzyły się nam cudownie same z siebie

Na końcu schodów napotkaliśmy wrota ze szlachetnego jaspisu, pomyślane i zbudowane ściśle wedle doryckiej sztuki i kształtu, na których czele wypisana była w głoskach jońskich ze szczerzego złota ta sentencja: *Ἐν οἴνῳ ἀλήθεια*, to znaczy: *w winie prawda*. Oba skrzydła były ze spiżu, modą korynecką, lite, ozdobione pięknymi kwiatuškami, wdzięcznie wyrzeźbionymi i emaliowanymi, wedle prawideł rzeźbiarstwa. Były one razem złączone i zamknięte dokładnie wzdłuż kantu, bez zamku, bez klamki, bez żadnego skobla; jeno wisiał u nich diament in-

dyjski wielkości egipskiego bobu, oprawny na dwie strony w odryzowane złoto, w figurę sześciokątną, określoną prostymi liniami. Po każdej stronie, ku ścianie, wisiała wiązka czosnku.

Tu rzekła szlachetna Latarnia, abyśmy chcieli ją usprawiedliwić, jeśli nie poprowadzi nas dalej. Teraz trzeba nam jeno poddać się zleceniom kapłanki Bakbuk; jej bowiem, Latarni, nie wolno wejść do wnętrza dla pewnych przyczyn, które lepiej zamilczeć uszom śmiertelnych, niż je wyjawiać. Ale na wszelki wypadek kazała być dobrej i przytomnej myśli, nie bać się i nie lękać niczego i zaufać jej co do szczęśliwego powrotu. Następnie pociągnęła za diament wiszący u spojenia podwoi i rzuciła go na prawo w srebrną miseczkę, umyślnie tam pomieszczoną; pociągnęła także w rogu każdego skrzydła za sznurerek z karmazynowego jedwabiu, na półtora łokcia długi, na którym wisiał czosnek; przywiązała go do dwóch złotych kółek, umyślnie w tym celu wiszących po bokach, i oddaliła się.

Natychmiast otworzyły się podwoje, mimo że nikt ich nie dotykał, i otwierając wydały nie ostry szelest, nie zgrzyt straszliwy, jako czynią zazwyczaj spiżowe, ciężkie i chropowate drzwi, ale łagodny i wdzięczny szmerek rozbrzmiewający pod sklepieniem. Pantagruel zrozumiał przyczynę tego zjawiska widząc pod dolną krawędzią jednego i drugiego skrzydła mały cylinder przymocowany do podwoi. Ten, w miarę jak skrzydła zbliżały się do ściany, obracając się na osi z twardego ofitu pięknie wygładzonego i równo wyszlifowanego przez tarcie, wydawał ten słodki i harmonijny szelest.

Dziw mi był wielki patrzeć, jak oba skrzydła, każde dla siebie, bez niczyjego nacisku, tak się rozwarły. Aby zrozumieć ten cudowny sposób, skoro tylko weszliśmy do wnętrza, rzuciłem wzrok między drzwi a mur, żądny poznania, jaką siłą i za pomocą jakiego instrumentu są tak spojone. Podejrzywałem, iż nasza miła Latarnia przyłożyła do ich spojenia ziele *Ethiopsis*, które otwiera wszystkie zamknięte rzeczy. Ale ujrzałem, iż

w miejscu, gdzie oba skrzydła się zamykały, brzegi ich były ostre jak ostrze najcieńszej stali, osadzone na koryneckim spiżu.

Ujrzałem dalej dwie płyty z indyjskiego magnesu, grube i szerokie na pół dłoni, niebieskawego koloru, gładkie i polerowane; te wpuszczone były całą grubością w ścianę, w miejscu, w którym drzwi hędac całkowicie otwarte, stykały się z murem.

Nie dla czego innego zatem, jeno mocą chciwości i gwałtowności magnesu, tajemnym i cudownym zjawiskiem natury, ostrza stali podlegały temu ruchowi. W ten sposób drzwi otwierały się powoli i rozchylały; nie zawsze wszelako, ale tylko skoro zdjęto ów diament, którego sąsiedztwo zwalniało stal od pociągu, który ma z natury swej do magnesu; i także, gdy się zdjęło dwie garści czosnku, który nasza luba Latarenka odciągnęła i zawiesiła za pomocą karmazynowego sznurka; owo ziele bowiem poraża magnes i zbawia go własności przyciągającej.

Na jednej z tablic, po prawej, znajdował się w starożytnych literach łacińskich misternie wryty jambiczny wiersz:

Ducunt volentem fata, nolentem trahunt.

„Losy wiedzą tego, który się im podaje, ciągną tego, który się opiera“. Po lewej zaś ujrzałem wielkimi głoskami wdzięcznie wrytą tę sentencję:

Wszystkie rzeczy zmierzają do swego celu.

XXXVIII. *Jako posadzka świątyni ozdobiona była przepięknymi godłami*

Przeczytawszy te napisy jałem podziwiać wspaniałą świątynię i poglądałem na niesłychaną strukturę bruku, której nie można było porównać z jaką bądź słusnością do żadnego dzieła teraz czy kiedykolwiek istniejącego pod firmamentem; nawet do owej świątyni Fortuny w Preneste, za czasu Sylli, ani też do

posadzki Greków zwanej *Asarotum*, dzieła Sozystrata w Pergamie. Była bowiem owa posadzka mozaikowej roboty, w formie małych kwadracików; a wszystkie z kosztownych i polerowanych kamieni, każdy w swoim naturalnym kolorze. Jedne były z czerwonego jaspisu popstrzonego ucieśnieniami barwnymi plamkami; drugie z ofitu; inne z porfiru; inne z kociego oczka zakrapianego złotymi iskierkami, drobnymi jak atomy; inne z agatu sfalowanego małymi, zmieszany bezładnie płomykami koloru mlecznego; inne z chalcedonu; inne z zielonego jaspisu bardzo drogiego, z czerwonymi i zielonymi żyłkami; a wszystkie rozgraniczone diagonalnymi liniami.

W portyku mozaika układała się w amblemat z małych kamyczków, z których każdy posiadał swój przyrodzony kolor, dostosowany do rysunku figur. A był ów deseń taki, jakby kto po owej posadzce rozsypał garść winnych liści nie troszcząc się o uważne rozmieszczenie: w jednym bowiem miejscu zdawały się rozsypane gęściej a w drugim rzadziej; i było to listowie na ogół bardzo wspaniałe, jeno miejscami ukazywały się w półcieńnię gąsienice pnące się tu i ówdzie po gronach; w innym małe jaszczurki biegnące wzdłuż lodygi; tu grona zdawały się na wpół, a ówdzie całkiem żrące; a razem były pomyślane i ukształtowane tak zmyślnie i misternie przez architekta, że łącznie mogły by oszukać wróble i inne ptaszki, jako malowidła Zeuksisa Herakleotyńskiego. W każdym razie, co się nas tyczy, udało się im zwięść nas zupełnie, w miejscach bowiem, gdzie architekt usiał wino gęsto, szliśmy wielkimi krokami, jakoby bojąc się zaplątać nogi, jak się czyni w nierównym i kamienistym miejscu. Następnie obróciłem oczy na sklepienie świątyni i na ściany całe inkrustowane marmurem i porfirem, mozaikową robotą, z cudownymi godłami umieszczonymi szeregiem dookoła. Między tymi godłami, zaraz z początku po lewej, przedstawiono z nadzwyczajną sztuką bitwę, którą Bachus wygrał przeciw Indyjczykom, a to jak następuje:

XXXIX. Jako w mozaikowych ozdobach świątyni wyobrażono zwycięską bitwę Bachusa przeciw Indyjczykom

Na początku przedstawiono rozmaite miasta, wsie, zamki, fortece, pola i lasy. całe gorejące ogniem. Również przedstawiono szalejące i rozwiążące niewiasty, z wściekłością drące żywcem na sztuki cielęta, barany i jagnięta i karmiące się ich mięsiwem. Przez co wyrażono, iż Bachus wkraczając do Indyi pustoszył wszystko ogniem i żelazem.

Mimo to Indyjczycy szacowali go tak nisko, że nie raczyli wyjść naprzeciw niemu, mając pewne wiadomości od swoich szpiegów, że w obozie jego nie ma żadnych wojowników, jeno tylko stary człowieczek, zniewieściał, wciąż pijany, w otoczeniu młodych ludzi całkowicie obnażonych, zebranych z wsiów i lasów, ciągle tańczących i skaczących, mających rogi i ogony jako młode kozły; z nimi wielka ilość pijanych kobiet. Za czym postanowili przepuścić ich nie stawiając zbrojnie czoła: jako iż hańbą, a nie zaszczytem, dyshonorem i szpetotą, nie zaś czcią i sławą okryłoby ich zwycięstwo nad takimi. Tak zlekceważony Bachus coraz to bardziej opanowywał kraj i niszczył wszystko ogniem (jako że ogień i piorun są to przyrodzone bronie Bachusa; gdy się rodził, Jowisz powitał go piorunem, a matka jego Semele i dom jego rodzinny spłonął od ognia), a także i krwią, z natury swojej bowiem wyrabia on krew w czasie pokoju, a wyciska ją w czasie wojny. Świadectwem pola Samos, zwane *Panema*, co znaczy *całe zakrwawione*, na których Bachus doścignął Amazonki uciekające spod Efezu i wszystkie zgładził otwarłszy im żyły, tak iż pole było zlane i napojone krwią. Z czego (lepiej niż z tego, co pisze Arystoteles w swoich problemach) możecie zrozumieć to, co niegdyś powiadano w powspolitym przysłowiu: „W czas wojny nie jada się i nie sadi mięty“. I słusznie, w czasie wojny bowiem zwyczajnie rozdziela się

razy bez umiarkowania; jeżeli zaś zraniony robił tego dnia koło mięty albo też jadł ją, nie podobna mu (a przynajmniej trudno) zatamować krew. Następnie wyobrażono w tym amblemacie, jak Bachus kroczy do bitwy: stał na cudownym wozie ciągniętym przez trzy pary sprzężonych razem lampartów; twarz jego podobna była twarzy dziecka, dla zaświadczenia, iż pijacy nigdy się nie starzeją; czerwony był jak cherubin, bez śladu zarostu. Na głowie spiczaste rogi; nad nimi piękny wieniec spleciony z winnego liścia i gron, z czerwonokarmazynową mitrą; na nogach złote trzewiki.

W orszaku jego nie było ani jednego mężczyzny; cała straż i wojsko składały się z Bassaryd, Ewantek, Euhyad, Edonid, Trieteryd, Oggijek, Mimalonek, Menad, Thyad i Bachantek, opętanych, wściekłych, rozszalałych kobiet, opasanych smokami i żywymi węzami miast pasków, z włosami fruwającymi w powietrzu, z naczólkami z winnych gron; ubrane były w kozle i jelenie skóry, w rękach dzierżyły siekiery, tyrsy, oszczepy, halabardy w kształt szyszek i małe lekkie tarcze, dźwięczące i brzęczące, kiedy było ich dotknąć, by i najlżej, którymi posługiwały się w razie potrzeby jako bębenkami i tympanami.

Liczba ich wynosiła siedemdziesiąt dziewięć tysięcy, dwieście dwadzieścia siedem. Przednią straż prowadził Sylen, człowiek, który posiadał zupełne zaufanie Bachusa i którego cnotę, odwagę i roztropność poznał w różnych okolicznościach. Był to mały staruszek, trzęsący się, zgarbiony, tłusty i brzuchaty. Uszy miał wielkie i sterczące, ostry i zakrzywiony nos, brwi duże i krzaczaste, jechał na oślim ogierze; w garści trzymał kij, którym się podpierał a którym także umiał krzepko walczyć, jeśli przypadkiem przyszło mu stanąć nogami na ziemi; ubrany był w żółtą suknię kobiecego kroju. Orszak jego składał się z młodych pacholków, rogatych jak koty a drapieżnych jak lwy, całkowicie nagich, ciągle śpiewających i tańczących hulaszce tańce nazy-

wane *korduksy*; wołano ich Tityrami i Satyrami. Liczba ich wynosiła osiemdziesiąt pięć tysięcy sto trzydzieści trzy.

Tylną straż prowadził Pan, straszliwy i poczwarny człowiek. Dolną część ciała podobną miał do capy, uda miał kosmate, na głowie rogi sterczące ku niebu. Twarz miał czerwoną i rozpłomienioną i bardzo długą brodę. Był to człowiek śmiały, odważny, rezolut i łatwy do pogniewania. W lewej ręce trzymał flet, w prawej zakrzywiony kij; orszak jego był podobnie złożony z Satyrów, Hemipanów, Egipanów, Argipanów, Sylwanów, Faunów, Fatuów, Lemurów, Larów, Błędnych Ogników i Chochlików w liczbie siedemdziesięciu ośmiu tysięcy stu czternastu. A wspólne wszystkim hasło wojenne brzmiało: *Evohe*.

XL. Jako amblematycznym kształtem przedstawiono szturm i atak dobrego Bachusa przeciw Indyjczykom

Następnie przedstawiono szturm i atak przypuszczony przez dobrego Bachusa przeciw Indyjczykom. Tam zauważyłem, iż Sylen, wódz przedniej straży, poci się ciężkimi kroplami i dręczy dotkliwie osła; osieł toż samo otwiera straszliwie paszczę, sapie, wierzga, cwałuje w przeraźliwy sposób, jak gdyby szerszeń przypiął mu się do zadka.

Satyry, rotmistrze, sierżanci, chorążowie, kaprale, wraz z trębaczami grającymi pobudkę uganiaли jak wściekli koło wojska, skacząc jak kozły, wierzgając, pokrzykując, popierdując na kuraż, zagrzewając wiarę do ognistej walki. Cały hufiec na obrazie krzyczał *Evohe*. Menady pierwsze nacierały na Indian z okropnym krzykiem i przeraźliwym dźwiękiem tarcz i bębenków; całe niebo huezało od nich, jako to wyrażała amblematura. Nie szafujcie już tedy tak nadmiernie podziwem dla sztuki Apellesa, Arystydesa Tebańczyka i innych, którzy wymalowali grzmoty, błyskawice, pioruny, wiatry, słowa, obyczaje i duchy. Następnie przedstawiono wojsko Indyjczyków jak gdyby uwiadomio-

ne, iż Bachus szerzy spustoszenie w kraju. Na czele kroczą słonie z wieżami na grzbietach, dźwigając niezliczoną mnogość wojowników; ale cała armia, już w rozsypce, zwraca się przeciw nim. Przeciw nim obróciły się też i kroczyły słonie, spłoszone wściekłym hałasem Bachantek i wprawione przez nie w paniczny strach odbierający zmysły. Tam byście ujrzeli dopiero Sylena, jak spina krzepko piętami osła i wywija kijem jak stary rębajło; zasię osieł ugania za słoniami z otwartą gębą, jak gdyby rycząc przeraźliwie, i tym dzielnym ryczeniem (z podobną skwapliwością, z jaką niegdyś obudził nimfę Lotis w czas pełnych Bachanaliów, kiedy Priapus pełen priapismu chciał ją we śnie spriapizować bez priaproszenia) dając hasło do ataku.

Tam ujrzeliśmy Pana, jak podskakuje na krzywych nogach dokoła Menad, pasterską fletnią zagrzewając je do ochoczej walki. Tam ujrzelibyście potem młodego satyra, jak wiedzie pojmanych w niewolę siedemnastu królów; Bachantkę, jak ciągnie czterdziestu dwóch rotmistrzów opasanych jej węzami; małego Fauna, jak wiezie dwanaście sztandarów zdobytych na nieprzyjaciolach, i pocziwego Bachusa przejeżdżającego się spokojnie wśród obozu, śmiejącego się, figlującego i przepijającego do każdego obficie. W końcu wyobrażony był, w amblematycznej figurze, trofej zwycięstwa i tryumf dobrego Bachusa.

Wóz tryumfalny cały był okryty liściem winogrodu, uszczęknietym i zerwanym na górze Meros, a to dla rzadkości, która podnosi wartość każdej rzeczy, a zwłaszcza tej rośliny, w Indiach. W tym naśladował go później Aleksander Wielki w tryumfie swoim nad Indianami, zaprzęgając swój wóz w dwa słonie. W czym później naśladował go Pompejusz Wielki w Rzymie, w onym tryumfie afrykańskim. Na wozie stał szlachetny Bachus pijący ze dzbana. W czym później naśladował go Kajus Marius po zwycięstwie nad Cymbrami, które odniósł pod Akwizgraniem w Prowancji. Całe wojsko było strojne winem, tyrsy, tarcze i bębenki również były nim przykryte. Nawet osieł Sylena miał czaprak przybrany winogradem.

Po bokach postępowali królowie indyjscy, pojmani i uwięzani na złotych łańcuchach; cała brygada kroczyła w boskim tryumfie, wśród niewypowiedzianej radości i wesela, niosąc nieprzeliczone trofeje i posągi, i łupy zdobyte na nieprzyjaciolach, wśród radosnych pieśni wojennych, ucieśnych piosnek i grzmiących dytyrambów. Na końcu wyobrażony był Egipt z Nilem i jego krokodylami, cerkopitekami, ibisami, małpami, trochilami, ichneumonami, hipopotamami i innymi tam przemieszkującymi bestiami. Zasię Bachus kroczył wśród nich ciągniony przez dwa woły, z których jeden miał na sobie napisane: *Apis*, a drugi *Oziris*, ponieważ przed przybyciem Bachusa nie znano w Egipcie wołu ani krowy.

XLI. Jako świątynia była oświetlona cudowną lampą

Zanim przystąpię do opisywania Pani Flaszy, opiszę wam cudowny kształt lampy, od której rozchodziło się światło po całej świątyni tak obficie, że mimo iż była pod ziemią, widno w niej było tak, jako my widzimy w pełne południe, gdy słońce przyświeca jasno i pogodnie. W środku sklepienia umocowany był pierścień z litego złota, wielkości dobrej pięści; u niego wisiały trzy łańcuchy nieco cieńsze, bardzo misternie wykonane, które na dwie i pół stóp od sufitu trzymały w powietrzu trójkątną płytę ze szczerzego złota, okrągłą, tak dużą, iż średnica jej przekraczała dwie stopy i pół piędzi. W niej były cztery zagłębienia albo otwory, a w każdym z nich próżna kula, wydrążona z wewnątrz, otwarta od spodu, niby mała lampa mająca w obwodzie dwie piędzie. I wszystkie były z bardzo kosztownego kamienia; jedna z ametystu, druga z karbunkułu libijskiego, trzecia z opalu, czwarta z antracytu. Każda była pełna spirytusu pięć razy destylowanego za pomocą wężowego alambiku, a był ten spirytus niezniszczalny jako ta oliwa, którą niegdyś napełnił Kalimach złotą lampę Pallady w Akropolis. Knot był czę-

ścią z lnu azbestowego (jako był niegdyś w świątyni Jowisza w Ammonii i widział go tam Kleombot, filozof bardzo bystry), częścią z lnu kaparyjskiego, które to gatunki lnu ogień raczej odświeża, niż strawia.

Pod tą lampą mniej więcej na dwie i pół stóp trzy łańcuchy zamykały się z pierwotnej swojej postaci w trzy pętle, które znowuż zahaczały się o dużą okrągłą lampę z kryształu najczystszej wody, mającą półtora łokcia średnicy. Od spodu otwarta była na jakie dwie piędzie: w tym otworze było naczynie podobnież kryształowe, w formie ogórka albo jakoby urynału, i opuszczało się aż do dna wielkiej lampy, z taką ilością owego spirytusu, iż płomień lnu azbestowego przypadał właśnie w sam środek wielkiej lampy. W ten sposób zdawało się, iż cała jej powierzchnia sferyczna płonie i żarzy się, ogień bowiem płonął wewnątrz i w centralnym punkcie.

I trudno było poglądać na nią bystro i ustawicznym wzrokiem, tak jak nie można patrzeć w kulę słoneczną; była bowiem z tak cudownie przeźroczystego materiału i tak przejrzystej i subtelnej roboty. Takż z przyczyny rozmaikolorowych refleksów (które są właściwe kosztownym kamieniom) czterech lamp, umieszczonych ponad ową wielką, niższą, tak iż blask tych czterech rozlewał się chwiejny i drżący po całej świątyni. Co więcej, skoro to światło zetknęło się z gładkością marmuru, który wyścielał całe wnętrze świątyni, ukazały się wszystkie kolory, jakie widzimy w tęczy niebieskiej, kiedy jasne słońce zetknie się z dżdżystymi chmurami.

Wymysł zaiste był cudowny, ale jak mi się zdaje, bardziej jeszcze cudowne to, iż naokoło kręgu tej kryształowej lampy rzeźbiarz wyrzeźbił katagliczną robotą żywą i ucieśzną bitwę małych dzieci cale nagich, usadowionych na drewniane koniki, z lancami zakończonymi wiatraczkiem i z misternymi tarczami z gron winnych; a wszystko oplecione było winnym listowiem. Ruchy i miny dziecięce tak zmyślnie były przez sztukę wyrażone, iż natura sama nie mogłaby lepiej. I zdawały się nie wy-

ryte w kruszcu, ale raczej wypukło wyrobione, albo przynajmniej zdawały się wystawać zeń groteskowo, dzięki różnorodnemu i ucieśznemu światłu, jakie ukryte wewnątrz, dobywało się przez tę rzeźbę.

XLII. Jako kapłanka Bakbuk ukazała nam w świątyni fantastyczną fontannę

Gdyśmy w ekstazie patrzyli na tę świątynię i pamiętną lampę, podeszła ku nam czeigodna kapłanka Bakbuk ze swym orszakiem, z wesołą i jasną twarzą. Widząc nas przystrojonych, jako wprzód pisałem, wprowadziła nas bez trudności w pośredni krąg świątyni, gdzie pod lampą mieściła się piękna fantastyczna fontanna, kosztowna tak co do materiału jak co do wykonania, bardziej rzadka i cudowna niż owa, o której śnił niegdyś Dedalus. Krawędzie, czara i podstawa były z bardzo czystego i przeźroczystego alabastru, wysokości trzech piędzi (może trochę więcej), w formie siedmiokątu równo podzielonego z wewnątrz, z mnóstwem stylobatów, doryckich bruzdek i żłobkowań dokoła. Wewnątrz była dokładnie okrągła. Na pośrednim punkcie każdego kąta, na brzegu, wznosiła się brzuszkowata kolumna z kości słoniowej albo z alabastru (nowocześni architekci nazywają je *portri*); a było ich wszystkich siedem, odpowiednio do siedmiu kątów. Wysokość ich od podstawy do architrawów wynosiła siedem piędzi (może trochę mniej), wedle dokładnego i wyborowego wymiaru średnicy przechodzącej przez środek koła i wewnętrznego kręgu.

I były rozmieszczone w taki sposób, iż skoro się rzuciło wzrok zza której, aby popatrzeć na przeciwległą, zawsze piramidalny stożek linii wzrokowej kończył się w owym środku i tam spotykał się z równoramiennym trójkątem, którego dwie linie dzieliły równo kolumnę (tę, którą chcieliśmy zmierzyć). A gdy przechodził z jednej strony na drugą, dwie kolumny przeciwstawione pierwszej spotykały się z jej podstawową i zasadniczą

linią. Jeśli od tej przeciągnęło się linię urojoną aż do centrum i przepołowiło ją, otrzymało się ściśle odstępy między siedmiu kolumnami.

Pierwsza kolumna, to jest ta, która nastęrczała się oczom przy wejściu do świątyni, była z lazurowego szafiru.

Druga z hiacyntu, ubarwionego z natury kolorem onego kwiatu, w który zmieniała się wrząca krew Ajaksa.

Trzecia ze złowróźbnego diamentu, lśniącego jak piorun.

Czwarta z męskiego rubinu, wpadającego w kolor ametystu, tak iż ogień i blask jego mienił się między purpurą a fioletem.

Piąta ze szmaragdu, a był on więcej niż pięćset razy wspanialszy niż ów Serapisowy w egipskim labiryncie, bardziej świetny i błyszczący niż owe, które w miejsce oczu wprawiono marmurowemu lwu leżącemu koło grobowca króla Hermiasza.

Szosta z agatu, bardziej radosnego i żywego w rozmieszczeniu plamek i kolorów niżli ów, który był tak drogi Pyrrhusowi, królowi Epirotów.

Siódma z przeźroczego selenitu, białego jak beryl, lśniącego jak miód Hymetu; i wewnątrz błyszczał księżyc w takiej postaci i ruchu, jak jest na niebie, to w pełni, to na nowiu, rosnący i ubywający.

Owe kamienie poświęcili starożytni Chaldejczycy i magowie siedmiu planetom. Aby tę rzecz uzmysłwić i tępszej mózgownicy, wyobrażony był na pierwszej kolumnie z szafiru (i wznosił się nad kapitelem w centrycznej i prostopadłej linii, wyrobiony w kosztownym elutyńskim ołowiu) obraz Saturna dzierżącego kosę, mającego u nóg złotego żurawia, sztucznie ozdobionego emalią wedle rozmaitości barw właściwych temu saturneńskiemu ptakowi.

Na drugiej kolumnie z hiacyntu, po lewej, znajdował się Jowisz wyrobiony w jowiszowskiej cynie, mając na piersi orła emaliowanego wedle swoich przyrodzonych kolorów.

Na trzeciej Febus w obryzowanym złocie, z białym kogutem w prawej ręce.

Na czwartej, w korynckim spiżu, Mars; u nóg jego lew.

Na piątej Wenera w miedzi, z podobnej materii jak ta, z której Arystonides uczynił posąg Athamasa, w owej czerwieniejącej się białości wyrażając wstyd jego na widok syna Learcha zmarłego wskutek upadku i leżącego u jego stóp. U nóg jej był gołąb.

Na szóstej Merkury, wyrobiony w stężalej, plastycznej i trwałej rtęci; u nóg zaś jego bocian.

Na siódmej Luna w srebrze; u nóg jej chart.

Wysokość tych posągów wynosiła mniej więcej trzecią część kolumn służących im za podstawę; a tak były zmyślnie wyobrażone wedle planu matematyków, iż kanon Polikteta, o którego dziele powiadano, iż samą sztukę uczynił swą uczennicą, ledwie mógłby się z nimi równać.

Podstawy kolumn, kapitele, architrawy, zoofory i karnisze były roboty frygijskiej, masywne, z bardziej czystego i delikatnego złota, niżli je toczy Leede koło Montpellier, Ganges w Indiach, Pad we Włoszech, Hebrus we Francji, Tag w Hiszpanii, Paktol w Lidii. Między kolumnami rozpięte były łuki z takiegoż kamienia aż do najbliższej, po porządku: to znaczy z szafiru ku hiacentowej, z hiacentu ku diamentowej, i tak kolejno. Nad lukami i kapitelami, po stronie wewnętrznej, wznosiło się sklepienie jako dach nad fontanną. Zaczynało się ono w siedmiobocznej, a zamykało łagodnie w sferycznej figurze; a było z tak czystego, przeźroczystego i oszlifowanego kryształu, jednolitego i nieskazitelnego we wszystkich częściach, bez żyłek, bez chmur, bez zmącenia, bez włoska, iż Ksenokrates w życiu nie widział nawet w przybliżeniu czegoś podobnego. Na obwodzie sklepienia widniały, po porządku i bardzo misterne, wszystkie dwanaście znaków zodiaku, dwanaście miesięcy z ich własnościami, dwa solstycja, dwa ekwinoksy, linia ekliptyczna z niektóry-

mi znaczniejszymi gwiazdy stałymi, około antarktycznego bieguna i indziej; tak doskonale wykonane, iż można je było wziąć za dzieło króla Necepsa albo Petozysisa, starożytnego matematyka.

Na szczycie sklepienia, odpowiadającym środkowi fontanny, znajdowały się trzy wielkie perły kształtu gruszy, całkiem jednakie, w postaci jakoby doskonałej lzy; wszystkie razem związane w kształt linii tak dużej, iż całość większą była od dłoni. Z kielicha tejże wychodził karbunkuł wielki jak jajko strusia, wycięty w formie heptagonalnej (jest to liczba umiłowana przez naturę), tak przedziwny i wspaniały, iż podniósłszy oczy, aby go podziwiać, omal nie postradaliśmy wzroku. Ani światło słońca, ani też błyskawica nie są bardziej silne i błyszczące niż to, co nam się ukazało; tak iż prawdziwy znawca i biegły sędzia snadnie byłby odkrył w tej fontannie i w tych lampach więcej bogactw i osobliwości, niż ich zawiera cała Azja, Afryka i Europa. I z łatwością przyszłoby im zaćmić pantarbę Jarchasa, magika indyjskiego, tak jak jasny blask południowego słońca zaćmiewa gwiazdy.

Niechże teraz spróbuje Kleopatra, królowa Egiptu, chętnie się swymi dwiema perłami w uszach, z których jedną w obliczu triumwira Antoniusza rozpuściła za pomocą octu w wodzie i polknęła; a była ta perła szacowana na sto sesterceji.

Niechże przyjdzie Lullia Paulina nadymać się swą suknią usianą szmaragdami i perłami na przemian, która suknia ściągająca podziw całego Rzymu. A wszak o mieście tym powiedziano, iż jest ono magazynem i spichlerzem zwycięskich złodziei i łupieżców całego świata.

Fontanna ta wytryskała przez trzy rurki i kanały uczynione z przepięknych pereł. Napatrzwszy się temu skierowaliśmy wzrok w inną stronę, kiedy Bakkuk kazała nam się przysłuchać wpływowi wody; wówczas usłyszeliśmy dźwięk cudownie harmonijny, mimo iż przerywany i stłumiony, jakoby pochodzący z od-

dali i spod ziemi. W czym wszelako wydawał się jeszcze bardziej luby, niż gdyby był całkowicie wyraźny i słyszany z bliska. Owo tak samo jak oczy nasze udelektowały się widokiem opisanych rzeczy, tak samo przyszła kolej używania i na uszy przy nasłuchiowaniu tej wybornej harmonii.

Za czym rzekła Bakkuk:

— Wasi filozofowie przeczą, aby mógł istnieć ruch z samej mocy figur; posłuchajcie oto i patrzcie, iż zgoła jest przeciwnie. Przez samą spiralną figurę, którą widzicie wykreśloną tu wewnątrz, i także za pomocą pięciorakiej zastawki ruchomej na każdym zakręcie (takich samych, jakie są w żyle częściej w miejscu, gdzie wpada do prawej komórki) wypływa ta święta fontanna i z niej powstaje owa wyborna harmonia, która przenika aż do morza w waszym świecie.

XLIII. Jako woda w fontannie miała smaki wszelakich win, wedle pomyslenia pijących

Następnie rozkazała, aby przyniesiono puchary, kubki i szklanki złote, srebrne, kryształowe, porcelanowe, i zaproszono nas wdzięcznie, abyśmy się napili likworu tryskającego z fontanny; co uczyniliśmy chętnie.

Aby wam bowiem prawdę wyznać, nie jesteśmy zgoła obyczaju cieląt, które, jako wróble jedzą dopiero wówczas, gdy je trzepać po ogonie, tak i one nie piją ani jedzą, chyba że się je porządnie zdzieli drakiem. Nigdy nie zawiedliśmy nikogo, kto nas grzecznie zapraszał do picia. Następnie zagadnęła nas Bakkuk pytając, co myślimy o tym napoju. Odpowiedzieliśmy, iż zda się nam świeża i czystą wodą źródlaną, przejrzystą i srebrną, bardziej niż Argyrondes w Eolii, Peneus w Tesalii. Aksius w Migdonii, Cydnus w Cylicji, które widząc Aleksander Macedoński tak piękne, czyste i chłodne w pełnym lecie, zapalał żądzą ukąpania się w nich, nie bacząc na szkodę, jaka mogła dlań wynikać z tej przelotnej rozkoszy.

— Ha! — rzekła — oto co znaczy nie mieć pocucia, nie rozumieć znaków, jakimi mówią do nas mięśnie języka, kiedy napój sływa po nim, aby zejść nie do płuc arterią nieparzystą, jako mniema dobry Platon, Plutarch, Makrob i inni, ale do żołądka drogą przelyku. Ludzie wędrowni, żali wy macie gardziele skórzane, brukowane i emaliowane, jako miał niegdyś Pityllus, zwany Teufusem, żeście zaraz nie poznali smaku ani słodczy tego boskiego likworu? Przynieście tutaj — rzekła do swoich panien — moje zgrzebelka, te, co wiecie, iżbym im wyszorowała, przeskrobała i oczyściła podniebienie.

Za czym wniesiono piękne, tłuste i radosne szynki, piękne, tłuste i uciężne ozory wołowe, piękne wędliny i smaczne serdelki, botargi, kawitory, dobre i smaczne kielbasy z dziczyzny i inne podobne szczotki na podniebienie. Z rozkazu wróżki jedliśmy, pókiśmy nie uznali, że żołądki są dobrze oczyszczone i że pragnienie dokucza nam dość uporczywie; za czym rzekła:

— Niegdyś pewien hetman żydowski, uczony i dzielny, prowadząc lud przez pustynię o okrutnym głodzie, wyprosił z niebios mannę, która siłą wyobraźni miała dla nich smak taki, jak przedtem miały prawdziwe potrawy. Tak samo i tutaj pijąc ten czarodziejski likwor uczujecie smak takiego wina, jakie sobie zamyslicie. Owóż, zamysłajcie i pijcie.

Co też uczyniliśmy. I zaraz wykrzyknął Panurg mówiąc:

— Dalibóg, toć to wino bomskie, najlepsze, jakie kiedy piłem, albo niech mnie porwie dziewięćdziesiąt sześć diablów! O dalby Bóg, abym miał szyję długą na trzy łokcie, jako pragnął Filomenus, albo jako żuraw, jak sobie życzył Melancjusz, iżbym mógł dłużej je smakować.

— Słowo latarnika — rzekł brat Jan — toć to wino grawskie, lekkie i wesołe. Na Boga, dobra pani, nauczcie mię sposobu, w jaki je sporządzacie.

— Mnie — rzekł Pantagruel — wydaje się, że to wino mirweńskie, przed napiciem bowiem tak sobie zamysliłem. Ma jeno

tę wadę, że jest zimne; ha, zimniejsze niż lód, niż woda z Nonakris i Derce, niż źródło Konthoporii w Koryncie, które mroziło na kość żołądek i kiszki pijących.

— Pijcie — rzekła Bakkuk raz, dwa i trzy razy. Później możecie odmienić zamyslenie: zawsze znajdziecie smak i napój taki, jak zamyslicie. I odtąd wiercie, iż dla Boga nic nie ma niepodobnego.

— Nigdy — odparłem — nie twierdziłszy nic takiego; chwalimy jego wszechmoc.

XLIV. Jako Bakkuk przystroiła Panurga dla wysłuchania wyroczni Flasz

Po tych słowach i po ponownych libacjach spytała Bakkuk:

— Który z was pragnie usłyszeć wyrocznię boskiej Flasz?

— Ja — odparł Panurg — wasz uniżony i misterny lejek.

— Mój przyjacielu — rzekła — jedną rzecz tylko mogę ci zalecić: mianowicie, abys stanawszy przed wyrocznią słuchał jej jeno jednym uchem.

— Jako czyni urynał — wtrącił brat Jan.

Następnie przybrała go w uroczysty płaszcz, przystroiła głowę w piękny czepek, wdziała na ręce miast rękawiczek dwa staroświeckie i znoszone saczki od pludrów, opasała go trzema dudami związanymi razem, ukąpała mu twarz po trzykroć we wspomnianym źródle, wreszcie rzuciła mu w twarz garść maki, włożyła trzy kogucie pióra na prawą stronę hipokratycznego worka, kazala obejść dziewięć razy fontannę, potem ładnie trzy razy podskoczyć, siedem razy zadkiem uderzyć o ziemię, ciągle wymawiając jakieś zaklęcia w etruskim języku i mamroczać coś z księgi rytualnej, którą tuż za nią nosiła jedna z kapłanek.

Słowem, myślę, iż żaden Numa Pompiliusz, drugi król Rzymian, ani Cerytowie z Tuscji, ani ów święty hetman żydowski nie ustanowili niegdyś tylu ceremonij, ile ich widziałem przy tej

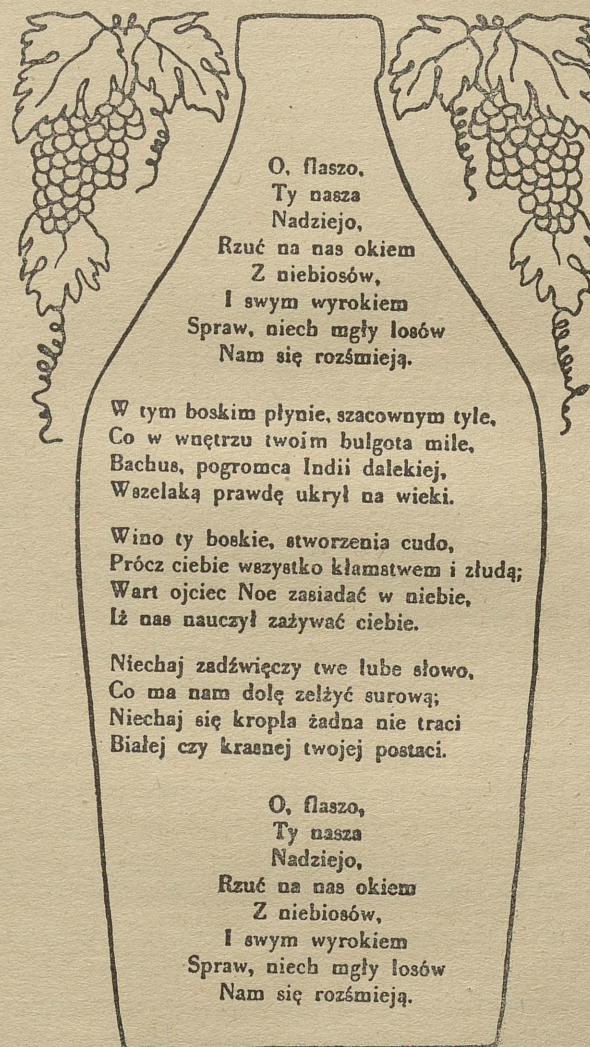
okazji; ani memfityczni wieszczbiarze Apisa w Egipcie, ani Eubejczykowie w państwie Ramzesa w Ramnuzie, ani kapłani Jowisza w Amonie, ani w Feronii, nie przestrzegali dawnych przepisów tak religijnie, jako tam widziałem.

Tak przystroiwszy Panurga wieszczka odłączyła go od kompanii, i ujawszy za prawą rękę wywiodła złotymi wrotami poza świątynię, do okrągłej kaplicy zbudowanej z przezroczystych kamieni fengitu; przez których twardą a przejrzystą powłokę bez okna i wszelkiego otworu przenikało światło słoneczne, padające przez wylom w skale, w której mieściła się wielka świątynia. I światło przechodziło do wnętrza tak łatwo i obficie, iż zdawałoby się, że początek swój ma we wnętrzu, nie zaś przychodzi z zewnątrz. Dzieło to było nie mniej wspaniałe niż niegdyś owa sławna świątynia w Rawennie albo na wyspie Chemnis w Egipcie; a nie można też pominąć, iż budowę kaplicy wymierzono tak symetrycznie, iż średnica równa była wysokości.

W środku znajdowała się fontanna ze szlachetnego alabastru, siedmiobocznego kształtu, bardzo osobliwie wykonana i ozdobiona, pełna wody tak przejrzystej, jakoby była jeno najczystszym pierwiastkiem. W niej, wpółzanurzona, stała święta Flaszka, wyróżniona w czystym i przepięknym kryształ, owalna z kształtu, z tą jeno osobliwością, iż ujście bardziej nieco było rozwarłe, niż bywa zwyczajnie w tej formie.

XLV. Jako kapłanka Bakkuk zawiodła Panurga przed oblicze boskiej Flaszki

Tam Bakkuk, szlachetna kapłanka, kazała Panurgowi pochylić się i ucałować kraj fontanny, potem kazała mu wstać i przetańczyć wkoło trzy itymbony. Po spełnieniu tego nakazała mu usiąść zadkiem na ziemi między dwa przygotowane siedzenia. Po czym rozłożyła rytualną księgę i podpowiadając mu do lewego ucha, kazała prześpiewać pieśń winną, jak następuje:



Ukończywszy pieśń Bakkuk wrzuciła coś do źródła i naraz woda zaczęła gotować się gwałtownie jako wielki kocioł w Bor-gilu w czas odpustu.

Panurg słuchał w milczeniu jednym uchem; Bakkuk klęcza-ła tuż obok; naraz ze świętej Flaszy wyszedł szmer taki, jak czy-nią pszczoły rodzące się z ciała młodego byczka, ubitego i spra-wionego wedle sztuki i przepisu Arysteusza, albo strzała wypa-dająca z luku, albo silny i nagły deszcz letni.

Wówczas dało się słyszeć słowo:

P I J !

— Dalibóg — wykrzyknął Panurg — musi być stłuczona albo pęknięta, na honor; tak mówią kryształowe butelki w na-szym kraju, kiedy pękają będąc zbyt blisko ognia.

Wówczas Bakkuk podniosła się i wzięła łagodnie Panurga za ramię mówiąc:

— Przyjacielu, podziękuj niebiosom; sam rozum ci to na-kazuje; za to, iż otrzymałeś tak rychło słowo wyroczne boskiej Flaszy; i to słowo najbardziej radosne, boskie, najbardziej pew-ne, jakie kiedykolwiek z jej ust usłyszałam, od czasu jak pełnię służbę przy jej najświętszej wyroczni. Powstań, pójdźmy do ka-pituły, wedle której glosy wytłumaczą nam to piękne słowo.

— Chodźmy — rzekł Panurg — przez Boga. Otom równie mądry jak wprzód. Poświęć: gdzie ta księga? Pokażcie: gdzie ta kapituła? Pilno mi do tej ucieśnej glosy.

XLVI. Jako Bakkuk wyklada słowo boskiej Flaszy

Bakkuk wrzuciła do naczynia coś, od czego woda natychmiast przestała wrzeć, po czym zaprowadziła Panurga do wielkiej świątyni w samo miejsce, gdzie była owa ożywcza fontanna. Tam, dobywszy wielką srebrną księgę w formie półgarnca albo kwarty z Sentencjami, zaczerpnęła nią z fontanny i rzekła:

— Wasze filozofy, kaznodzieje i doktory karmią was pięknymi słowy przez uszy; my tutaj bardziej realnie wcielamy na-sze nauki przez usta. Dlatego nie powiadam ci: czytaj ten roz-dział, posłuchaj tej glosy, jeno powiadam: posmakuj ten roz-dział, lyknij tę piękną glosę. Niegdyś starożytny prorok ludu judajskiego zjadł książkę i stał się uczony aż po same zęby; obecnie ty ją wypijesz i będziesz mądry aż po wątrobę. Ot, otwórz szczęki.

Skoro Panurg stanął z rozdziawioną gębą, Bakkuk wzięła srebrną księgę. Myśleliśmy, iż to jest w istocie księga, z przy-czynny jej kształtu jakoby brewiarza; ale był to prawdziwy i oczy-wisty flakon, pełen falerneńskiego wina, który kazała cały wy-chylić Panurgowi.

— Oto — rzekł Panurg — bardzo poważny rozdział i glosa wielce autentyczna; czy to jest wszystko, co miało wyrazić słowo przepotężnej Flaszy? Udało mi się, zaiste.

— Nic więcej — oparła Bakkuk — albowiem *Pij*, jest to słowo panomfeiczne, głośne i zrozumiałe u wszystkich narodów. I słusznie utrzymujemy, że nie śmiać się, ale pić jest przyrodzo-ną właściwością człowieka. Nie mówiąc o zwyczajnym picciu; tak bowiem piją i zwierzęta; rozumiem *pić* dobre i chłodne win-ko. Zważcie, przyjaciele, iż wino wlewa w człowieka jakąś moc i zrozumienie iście boskie; nie ma na świecie ani bystrzejszej argumentacji, ani pewniejszego jasnowidzenia. Wasi akade-micy twierdzili wywodząc etymologię wina, iż po grecku OINOΣ znaczy jakoby *vis*, moc, potęga. Ma ono bowiem moc napelnić duszę wszelaką prawdą, wiedzą i filozofią. Jeżeliście zważyli, co w głoskach jońskich napisane jest nad bramą, mogliście zro-zumieć, iż w winie jest ukryta prawda. Boska Flaszka odsyła was do niego, iżbyście sami stali się wyrocznią swego przed-sięwzięcia.

— Nie można — rzekł Pantagruel — rozumniej mówić niż owa kapłanka. Toż samo ja ci powiadałem, skoroś pierwszy

raz mnie o to zagadnął. Pij tedy i zważaj, co ci powiada serce
uniesione szalem bachicznym.

— Pijmy — odparł Panurg.

Pijmy aż do dna zagadki,
Hej, ha, widzę już pośladki
Potężnie wymaglowane
Moją kusią i wypchane
Moją mizerną osobą.
O, dobo szczęśliwa dobo!
Serce moje ma to wróży,
Że nie będę schnął już dłużej
Od tęsknoty, i powiada,
Że ma żonka, bardzo rada
I z ochoty bardzo szczerzej,
Wstąpi w szranki cnej Wenery.
Cóż to będzie za oranie,
Potykanie, szamotanie,
Ni noc nie minie daremnie:
Ha, cóż za mąż będzie ze mnie!
Hej, ha! spiera mnie pragnienie!
Żenię się, po trzykroć żenię!
Bracie Janie, czynięc oto,
Bez musu, z szczerą ochotą,
Ślub, ważny jak czyste złoto.
Iż drogę moją wytęczyła
Ta wyrocznia wskazała, mocą fatydyczną.

XLVII. Jako Panurg i inni, uniesieni furią poetycką, zaczynają składać rytmy

— Czyś ty — rzekł brat Jan — oszalał, czy cię urzeczono?
Patrzcie go, jak się pieni; słuchajcie, jak on tu rymami bredzi.
Cóżes ty zjadł za diabła? zawraca oczy jak zdechła koza, a pój-
dziesz ty na stronę?! a będziesz ty bejał dalej od towarzy-
stwa? Patrzcie świntucha! Nażrej się psiej trawki, to ci ulży na
tobolek. A może byś, klasztorным obyczajem, wpakował sobie
pięść do gardła po łokieć, aby odciągnąć flegmę z cynadrów?

Ale Pantagruel przyganił bratu Janowi i rzekł:

Wierzcie, iż to jest furia poetycka
Dobrego Bacha; i to wino zacne
Z ust jego rymy wywabia tak ładne.

Myśl jego szparka,
Duchem pijana,
Lotna i żarka
Jak winna piana,
W niebiosy wzłata
W lubej pustocie,
I z duchem świata
Słodko się brata,
K' naszej ochocie.

Owo zważywszy, iż ten szal tak luby
Mroków duchów naszych rozświećla gruby,
Mniemam, iż byłby cenzor zbyt surowy,
Kto by mu zganił to cierpkimi słowy.

— He — spytał brat Jan — i wy rytmujecie także? Na mi-
łosierdzie boskie, snadź już wszystkich nas zaproszyło. O, dałby
Bóg, by dobry Gargantua mógł widzieć nas w tym stanie! Nie
wiem, na Boga, co mam czynić, czy za waszym przykładem też
zacząć składać rytmy, czy też wstrzymać je w żywocie? Nie ro-
zumiem się wprawdzie na tym, ale nie święci garnki lepią. Na
świętego Jana, już mnie spiera; tuj, tuj, a wypsnie mi się jaki
mały rymek:

Boże, nie pozwól nam błdzić marnie,
Wejrzyj na swoje stroskane dzieci,
Zrób z mego zadka jasną latarnię,
Niech dobrym ludziom naokół świeci.

Panurg ciągnął dalej swą rzecz mówiąc: •

Nigdy, na wielkiego Boga,
Ani z Pityji trójnoga
Nie wyszła wyrocznia żadna
Bardziej dorzeczna i składna;

*I mniemam, że z Delf ją pono
 Tutaj, w źródł ten przeniesiono.
 Gdy by Plutarch zeń się napił,
 Mniej by się był może kwapił
 Sądząc, czemu Delf kapłany
 Zmilkły jak tyse barany
 I dół smalonych nie plotą.
 Nie w Delfach już, lecz tu oto
 Mieszka trójnog nadczłowieczy,
 Co obwieszcza wielkie rzeczy.
 Ateneus nam ogłasza,
 Że trójnogiem była Flaszka
 Pełna wilgoci soczystej,
 Wina prawdy wiekuistej;
 Ani żadna wróżba inna
 Tak szczerza nie jest i zwinna
 Jako owe słowo, z Flaszki
 Boskiej wychodzącej naszej.
 Radzę przeto, bracie Janie,
 Gdy już od niej posłuchanie
 Zdobyliśmy, abyś także
 Słowo zyskał swe, a jakże,
 Tak, prześcipnie a z ostrożną,
 Czy ta Flaszka wielkomożna,
 Widzi jakową przeszkodę,
 Byś i ty dał nurka w wodę
 I statecznie pojął żonę.
 Raz, dwa, pokłoń się w jej stronę,
 I, ulawszy kropel parę,
 Syp jej maki na ofiarę.*

Brat Jan, również jakoby w poetyckim szale, rzekł tak:

*Zenić się! patrzcie mi kusia!
 Na but świętego Beniusia,
 • Kto mnie zna, ten wnet odgadnie,
 Iżbym setkę kijów snadniej
 Wziął w ten zadek, niżbym kiedy
 Chciał dopytać się tej biedy
 I żonę wziąć na kark sobie.*

*Ha ha! jaż bym miał w tej dobie
 Spokojną dół człowieka
 Wiazać z babskiem po wiek wieka?
 Do kroćset! kpię z takich wróży!
 Niechby tu był i sam Duży
 Aleksander, Cezar śmiały,
 Przysięgam wam, na te gały,
 Ni im, mimo cnót ogromu,
 Ślubować nie chcę: ni komu.*

Panurg, zrzucając swój kitel i odzież mistyczną, odpowiedział:

*Za to też, pieskie nasienie,
 W piekle będziesz mój kamienie,
 Podczas gdy ja, miły bratku,
 W raju siadę na swym zadku,
 Skąd na cię, sprośna rypało,
 Oddam w mig urynę całą.
 Owo słuchaj, jeśli łaska:
 Skoro do czarnego diaska
 Powędrujesz, gdyby ninie
 Zdarzyło się Prozerpinie,
 Iżby chęcią zapalała
 Do szpikulca z twego ciała,
 Co go w płudrach nosisz grzecznie,
 I gdybyście się statecznie
 Sparzyli w trzęsącym ruchu
 I ty byś się na jej brzuchu
 Znalazi: powiedz, żali wtedy
 Herszta diabelskiej czeredy
 Lucypera, bez gawędy,
 Żali nie pošlesz w te pędy,
 Iżby z piekielnego szynka
 Przyniósł wam smacznego winka?
 Ho, ho, taka wycirucha
 Warta klasztornego zucha.*

— Idźże idź, opętańcze — rzekł brat Jan — sam do czarnego diaska! Już nie mogę rytmować; coś mi się w gardle przerytmiło; chodźmyż się obejrzyć za jakimś napitkiem.

XLVIII. Jako pożegnawszy się z Bakbuk, opuścili wyrocznie Flaszę

— O spełnienie tego — rzekła Bakbuk — nie bądźcie w kłopotcie: wszystkiemu będzie uczynione zadość, jeśli jesteście z nas zadowoleni. Tutaj, w tych regionach bliskocentralnych, pokładamy najwyższe dobro nie w tym, aby brać i przyjmować, jeno aby dawać i obdarzać, i za szczęśliwych się uważamy nie wówczas, gdy od drugiego przyjmujemy i dostajemy wiele (jako może głoszą niektóre sekty waszego świata), ale raczej zawsze drugim dajemy i użyczamy. Jeno proszę was, abyście imiona wasze i waszego kraju zostawili tutaj, zapisane w tej oto księdze.

Za czym otworzyła dużą i piękną księgę, w której za naszym dyktandem jedna z jej mistagogiń uczyniła złotym sztyletem kilka ruchów, jak gdyby coś pisała, ale znaków nie ujrzeliśmy żadnych.

Uczyniwszy to napelniła trzy bukłaki cudowną wodą i oddając je nam własnoręcznie rzekła:

— Idźcie, przyjaciele, w opiece owej sfery intelektualnej, która w każdym miejscu ma swój środek, a zaś obwód w żadnym, którą nazywamy Bogiem; i przybywszy do kraju, nieście świadectwo, iż pod ziemią kryją się wielkie skarby i cudowne rzeczy. I nie bez słuszności Ceres, z dawna czczona przez cały świat za to, iż ukazała mu i przyswoiła sztukę rolnictwa i przez wynalazek zboża usunęła spośród ludzi owo brutalne żywienie się żołądźmi, tak srodze lamentowała, iż córkę jej uprowadzono do podziemnych regionów. Była bowiem przekonana, iż pod ziemią córka znajdzie więcej dobrych i wybornych rzeczy, niżli matka uczyniła ich na ziemi. Co się stało ze sztuką dobywania z niebios piorunów i niebieskiego ognia, niegdyś wymyśloną przez mądrego Prometeusza? zaiste straciliście ją, znikła z waszej hemisfery; tu zaśle pod ziemią jest ona w użyciu. I niesłusznie czasami dziwicie się widząc miasta płonące i buchające ogniem od pioruna i eteryjskiego ognia i nie wiecie, przez kogo, z kogo

i w jaki sposób wszczęła się ta straszliwa klęska w waszych domach; ale nam to jest dobrze wiadome i pospolite. Wasi filozofowie, którzy się skarżą, że starożytni wszystko już opisali i nie im nie zostawili do odkrycia, są w oczywistym błędzie. To, co wam się objawia z nieba i co nazywacie Fenomenami, to, co ziemia wasza jawi, co morze i inne wody kryją w sobie, nieczym jest naprzeciw temu, co w ziemi spoczywa ukryte.

Dlatego słusznie podziemny władca we wszystkich prawie językach mianowany jest godłem Bogactwa. Jeżeli tedy wyteżą się pilnie w swoich naukach i pracy około pilnego szukania, wzywając ku pomocy najwyższego Boga (którego niegdyś Egipcjanie nazywali w swoim języku Ukrytym, Utajonym, Zagrzebanym, i wzywając Go tym imieniem błagali, aby się im objawił i odsłonił), wówczas dozwoli im poznać siebie i swoich dzieł; trzeba też, aby ich wiodła dobra latarnia. Wszyscy bowiem filozofowie i mędrcy starożytni uważali, że dwie rzeczy są potrzebne, aby pewnie i wesoło przebyć drogę poznania bożego i pogoni za mądrością; to jest przewodnictwo boże i towarzystwo człowieka. Tak między filozofami Zoroaster wziął Arimaspesa za towarzysza swej pielgrzymki; Eskulap Merkura, Orpheus Muzeja, Pitagoras Agleofema; tak między książętami i rycerzami Herkules w najcięższych przedsięwzięciach miał za osobliwego druha Tezeusza, Ulisses Diomeda; Eneas Achatesa. Wy postąpiście sobie podobnie, biorąc za przewodnika znamienitą panią Latarnię. Owo idźcie z Bogiem i niechaj on was prowadzi*).

* Na tym kończy się ów rozdział i piąta księga we wszystkich dawnych wydaniach. Dodatek, który następuje, pochodzi z odnalezionego później rękopisu.

KONIEC

DODATEK DO OSTATNIEGO ROZDZIAŁU

— Tak u Persów Zoroaster wziął Arimaspę za towarzysza całej swej tajemniczej filozofii; Hermes Trismegistos z Egipcjan wybrał Eskulapę; Orfeusz w Tracji miał Muzeję; także Aglaofemus Pitagorasa; u Ateńczyków Platon najpierw miał Diona z Syrakuz w Sycylii, gdy zaś ten zmarł, wziął po nim Ksenokrata; Apoloniusz Damisa. Kiedy zatem wasi filozofowie, przy pomocy bożej, wspomagając się jakąś jasną latarnią wezmą się pilnie badać i poszukiwać, jako jest przyrodzone ludziom (od tej cnoty Herodot i Homer nazwami są *alfestami*, to znaczy poszukiwaczami i wynalazcami), znajdą, iż prawdziwą odpowiedź mądry Tales dał Amazisowi, królowi Egipcjan, kiedy, zapytany przez niego, w jakiej rzeczy mieści się najwięcej mądrości, odparł: „W czasie“; wszystkie bowiem jawne rzeczy są i będą odkryte od czasu; i to jest przyczyna, dlaczego starożytni nazywali Saturna Czasem, ojcem Prawdy, Prawdę zaś córką Czasu. Nieomylnie też znajdą, iż cała wiedza, ich samych i ich poprzedników, jest ledwie małą częścią tego, co jest, a czego nie wiedzą. Z tych trzech naczyń, które wam podaję, możecie nabrać poznania i świadomości, jako powiada przysłowie: „Lwa po pazurach“. Przez rozrzedzenie naszej wody wewnątrz zawartej, pod działaniem ciepła ciał wyższych i gorącości słonego morza (jako jest naturalna transmutacja elementów), powstanie wewnątrz bardzo zbawienne powietrze, które posłuży wam za jasny, pogodny i rozkoszny wiatr; wiatr bowiem jest jeno falistym i płynnym powietrzem. Przy pomocy tego wiatru popłyniecie prostą drogą, nie przybijając do lądu, jeśli wolicie, aż do portu

Olony w Talmondzie, puszczaając ten wiatr na swoje żagle (tą małą złotą klapką, którą widzicie oto, umocowaną jakoby na flecie) tyle ile trzeba, aby to rażno, to powoli żeglować ciągle w bezpieczeństwie i weselu, bez burzy i niepokoju. O tym nie wątpicie i nie myślicie, że burza wypływa i pochodzi z wiatru; przeciwnie, wiatr pochodzi z burzy wznieconej na dnie otchłani. Nie myślicie także, iż deszcz przychodzi z osłabienia zdolności wstrzymującej niebios i z ciężkości zawieszonych chmur; przychodzi przez ewokację z podziemnych regionów, przez ewokację ciał górnych, które ciągną ją nieznacznie z dołu do góry; świadczy wam o tym ów król-prorok, śpiewający i powiadający, że otchłań woła otchłań. Z trzech naczyń dwa są pełne owej wody, trzecie zasię dobyte jest ze studni indyjskich mędrców, którą nazywają beczką Bramanów. Znajdziecie, co więcej, okręty swoje bardzo statecznie zaopatrzone we wszystko, co może być użyteczne i sposobne do waszego gospodarstwa. Podczas gdyście tu bawili, zarządziłam wszystko w tym celu. Idźcie, przyjaciele, w wesołości ducha i zanieście ten list królowi Gargantui, pozdrowcie go od nas, a wraz książąt i oficyjerów jego szlachetnego dworu.

Rzekłszy te słowa wręczyła nam zamknięte i zapieczętowane listy i wypuściła nas, rozplywających się w dziękczynieniach, furtą przylegającą do kaplicy, gdzie Bakbuk zachęcała nas, abyśmy stawiali pytań bodaj dwa razy tyle, jak wysoka jest góra Olimp. I przez kraj pełen wszelakich rozkoszy, uciech, łaskawy bardziej niż Tempe w Tesalii, zdrowotny bardziej niż owa część Egiptu, która spogląda ku Libii, nawodniony i uzieleniony więcej niż Termischoria, żyzny bardziej niż część góry Taurus obrócona ku Akwilonowi, bardziej niż wyspa Hipoborejska na Morzu Judajskim, bardziej niż Kaligi na górze Kaspicie, pachnący, pogodny i wdzięczny jak ziemia Turenii, dostaliśmy się wreszcie do okrętów.

PANTAGRUELICZNE PRZEPOWIEDNIE
PEWNE, PRAWDZIWE, NIEOMYLNE NA ROK
NIEUSTAJĄCY

ŚWIEŻO UŁOŻONE KU POŻYTKOWI I ROZWAŻANIU LUDZI
Z NATURY POMYLONYCH I ŁAKOMYCH NA MIGDAŁY
NIEBIESKIE

PRZEZ MISTRZA ALKOFRYBASA
ARCHITRYKLINA RZECZONEGO PANTAGRUELA

O liczbie złotej *non dicitur*; nie znajduję jej zgoła w tym roku mimo wszelkich kalkulacji. Przejdźmy mimo *Verte folium*.

Do życzliwego czytelnika.

Pozdrowienie i pokój w Jezusie Chrystusie!

Zważywszy, iż niesłychane nadużycia zagnieździły się z przyczyny całego mnóstwa Almanachów Loweńskich, układanych w cieniu szklaneczki wina, skalkulowałem dla was obecnie jeden z najpewniejszych i najprawdziwszych, jakie kiedykolwiek widziano, jako przekonanie się z doświadczenia. Zważywszy bowiem słowa królewskiego Proroka, Psalm V, zwrócone do Boga: „Zagładsz wszystkich tych, kórzy powiadają kłamstwo“; nie ma wątplenia, iż nie jest to lekki grzech kłamać z całą świadomością i zwodzić biedny świat, ciekaw dowiedzieć się nowych rzeczy; zasię szczególnie łakomi nowin byli zawsze Francuzi, jak to opisuje Cezar w *Komentarzach* i Jan de Gravot w *Mito-*

logiach galickich. Co i dziś jeszcze widzimy we Francji, gdzie pierwsze słowo zwrócone do świeżo przybyłych jest: „Co słyhać nowego? Nie wiecie czego nowego? Co powiadają w świecie? O czym mówią?” I tak są tego chciwi, iż często gniewają się na owych, którzy przybywając z obcych krajów nie przynoszą pełnego wora nowin; i wymyślają takim od ciołków i bałwanów.

Jeśli tedy tak jak są skorzy do zapytywania o nowiny, tak samo albo więcej łatwi są do wierzenia w to, co im ktoś podaje, czyż nie powinno się umocować wiarygodnych ludzi na granicach państwa i żółd im wypłacać, iżby nie trudnili się niczym, jeno rozpatrywaniem nowin, które doń ze świata przynoszą, i wglądaniem, (zali są prawdziwe? Rozumie się, I tak uczynił dobry Pantagruel w całym królestwie Utopii i Dipsodii. Jakoż bardzo mu to na dobre wyszło i kraina jego kwitnie w takiej pomyślności, że obecnie nie mogą w niej mieszkańcy nadażyć z piciem i będą musieli chyba rozlewać wino na ziemię, jeśli im skądinąd nie przyjdzie jaka odsiecz sumiennych bibułów i dobrych kompanów.

Chcąc tedy zadość uczynić ciekawości zacnych kmotrów przewertowałem wszystkie pankarty niebieskie, obliczyłem kwadry księżycy, przemędrkowałem wszystko, co się kiedy marzyło Astrofilom, Hypernefelistom, Anemofylakom, Uranopetom i Ombroforom, ba, naradzałem się o wszystkim z samym imię Empedoklesem, który pleca się waszej łaskawości. I całe owo *Tu autem* zredagowałem w niewielu rozdziałach, upewniając was, że mówię jedynie to, o czym sam jestem wielce przekonany, i że, wedle najprawdziwszej prawdy, nie inaczej rzeczy się mają, jeno tak, jak to w tej chwili będziecie czytali. Co będzie powiedziane w świecie ponad to, musi być przesiane trzy razy przez grube sito: może się sprawdzi, a może i nie. Zarazem ostrzegam was, iż jeśli nie uwierzycie wszystkiemu, wyrządzą mi wielki despekt, za który tu lub indziej będziecie ciężko pokarani. Kiszeczki z sosem z bycznego ogona nie pożałują waszych pleców. I radzę wam, lykajcie zawczasu powietrze jak ostrygi, wnet bo-

wiem sporo z was będzie przypieczonych, jeżeli kalfaktor nie za drzemie. Owo wysiłekajcie noski, dziateczki moje, i wy, stare tumany, poprawcie okulary i baczenie na te słowa jak na świętą Ewangelię.

I. O rządzie i władcy tegorocznym

Co bądźby wam opowiadali owe niedowarzone astrologi z Lowenu, Norymbergi, Tulingi i Lyonu, nie wiercie, aby w tym roku miał być inny gubernator powszechnego świata niż Bóg jego Stwórcy, który mocą swego boskiego słowa wszystkim włada i kieruje, z którego wszystkie rzeczy czerpią swą przyrodę, własności i kondycje, bez którego podpory i rządu wszystko w jednej chwili obróciłoby się w nicość, jako przezeń z nicości powołane jest do życia. Z niego bowiem pochodzi, w nim żywie i przez niego się pełni wszelkie istnienie i dobro, wszelkie życie i ruch, jako powiada Trąba ewangeliczna, Jego Wielebność Święty Paweł, Rom. XI. Zatem gubernatorem tego roku i wszystkich innych będzie, wedle naszej wiarogodnej przepowiedni, Bóg wszechmogący. I nie będzie Saturna, ani Marsa, ani Jowisza, ani innej planety, i zaiste ani aniołów, ani świętych; ludzi ani diabłów; cnót, pożytku, mocy ani wpływu żadnego, jeśli Bóg w swojej łasce tego nie dopuści; jako powiada Avicenna, że przyczyny wtórne nie mają żadnego wpływu ani działania, jeśli pierwsza przyczyna ich nie wzbudzi; zali nie mądrze mówi dobry człeczyna?

II. O eklipsach tego roku

Tego roku będzie tyle zaćmień słońca i księżycy, iż obawiam się (nie bez kozery), że mieszki nasze doznają stąd wielkiego wycieńczenia a zmysły zamieszania. Saturn będzie spóźniony, Wenera prostonośna, Merkury niestały. I mostwo innych planet nie zechce chodzić wedle waszego rozkazu.

Tedy na ten rok Raki będą chodzić bokami a powroźnicy tylem. Zydle będą wychodzić na ławki, rożny na ruszty a czapki na kapelusze; jajka będą zwisać u wielu z przyczyny niedostatku worków; pchły będą po większej części czarne; słonina będzie uciekać w Wielki Post od grochu; brzuch będzie kroczył przodem; zadek będzie siadał pierwszy; nie będzie można znaleźć migdała w cieście Trzech Króli; trudno będzie trafić asa w chluscie; kości nie będą padać wedle życzenia, choćby ich nie wiem jak prosić, i nie często padnie ta liczba, której się żąda; zwierzęta będą gadać po rozmaitych miejscach. Mięsopust wygra proces; połowa świata przywdzieje maskę, aby oszukać drugą, i będą ludy biegały po ulicach jako szaleńcy i niespełna rozumu; nie widziano jeszcze ni kiedy takiego zamieszania w naturze. I powstanie w tym roku więcej niż XXVII słów nieprawidłowych, jeśli Pryscjan im uzdy nie przykróci. Jeśli Bóg nas nie wspomóż, będziemy mieli mnogo kłopotów; ale przeciwnie, jeżeli będzie z nami, nie nie zdoła nam zaszkodzić, jako powiada niebiański astrolog który uniósł się aż w niebo, Rom. VII. cap.: *Si Deus pro nobis, quis contra nos?* Dalibóg, *nemo, Domine*; jest bowiem zbyt dobry i zbyt potężny. Za czym błogosławcie jego święte Imię.

III. O chorobach tego roku

Tego roku ślepi będą widzieć bardzo mało, głusi będą słyszeć dość mało, niemi nie będą wcale się odzywać, bogaci będą się mieć nieco lepiej niż biedni, a zdrowi lepiej niż chorzy. Mnogo baranów, wołów, prosiąt, gasek, kur i kaczek pomrze śmiercią, mniej zaś okrutna śmiertelność będzie wśród małych i dromaderów. Starość będzie nieuleczalną tego roku z przyczyny lat ubiegłych. Cierpiący na pleurę będą doznawali srogiego bólu w boku. Cierpiący na biegunkę będą często biegać na stolec, katary będą tego roku schodzić od mózgu ku niższym członkom; schorzenie oczu będzie bardzo niepomyślnie wpływało na wzrok;

uszy będą w Gaskonii jeszcze krótsze i rzadsze niż zazwyczaj. I będzie panować niemal powszechnie bardzo straszna i niebezpieczna, złośliwa, przewrotna, przerażająca i dokuczliwa choroba, od której świat będzie chodził jak oglupiały i ludzie nie będą wiedzieli, w który pośladek się drapać, i bardzo często będą popadać w bredzenia sylogizując o kamieniu filozoficznym i uszach Midasa. Drzę ze strachu, kiedy myślę o niej: powiadam wam bowiem, iż będzie ona epidemiczna. Awerres VII Coliget nazywa ją: brak pieniędzy. I zważywszy na kometę zesłanego roku i wsteczną drogę Saturna, umrze w szpitalu wielki niepotem, cały zakatarzony i ochroszczony, po którego śmierci powstaną wielkie rozruchy między kotami a szczurami, psami i zającami, sokołami i kaczkami, między mnichami i jajcami.

IV. O owocach i płodach ziemnych

Widzę z kalkulacji Albumazara w księdze wielkiej Koniunkcji i indziej, że ten rok będzie bardzo żyzny, z obfitością zbiorów dla tych, którzy będą mieli z czego. Ale chmiel w Pikardii będzie się nieco lękał mrozu; owies będzie bardzo smakował koniom; słoninę znajdzie się tylko u świń; z przyczyny wstępującego znaku *Pisces* będzie to rok wielce urodzajny na śledzie w beczce. Merkury groźny jest nieco dla prosa, ale mimo to cena jego będzie umiarkowana. Kłopoty i strapienia będą rosnać obficie niż zwykle. Zboża, wina, owocu i jarzyn będzie więcej, niż kiedykolwiek widziano, jeżeli spełni się wszystko wedle życzeń biednych ludzi.

V. O stanie niektórych ludzi

Największym szaleństwem świata jest mniemać, że istnieją gwiazdy dla królów, papieży i wielkich panów, bardziej niż dla biednych i uciśnionych, jak gdyby nowe jakie gwiazdy narodziły się od czasu Potopu albo Romulusa, albo Razamonda, w miarę

nowego rodzenia się królów. Czego nie twierdził ani Trybulet, ani Kaillet, chociaż obaj byli ludzie gruntownej nauki i znacznej sławy. Kto wie, czy w arce Noego nie pływał ów Trybulet z linii królów Kastylji, i Kaillet ze krwi Priama? Cały ten błąd pochodzi jeno z braku prawdziwej katolickiej wiary. Przyjawszy tedy za pewnik, iż gwiazdy troszczą się o królów równie mało co o dziadów, a o bogaczy tyleż co o nędzarzy, zostawię innym mózgowczym wróżbitom bajanie o królach i magnatach, a sam będę mówił o ludziach pośledniego stanu.

Najpierw tedy o ludziach podległych Saturnowi, jako to: pozbawionych pieniędzy, zazdrośnych, pomyłkach, wpiętkęgońcach, podejrzliwych, skapcach, lichwiarzach, groszorobach, lichykrupach i innych melancholicznych ludziach. Ci nie będą mieli w tym roku tego, czego by chcieli; będą przykładali się do wynalazków św. Krzyża, nie będą ciskali psom słoniny i często będą się drapali tam, gdzie ich nie swędzi.

Ludzie podlegli Jowiszowi, jako kaptury, trepki, birety, abrewiatory, skryptory, kopiści, buliści, datariusze, pozwance, kapucyny, mnichy, pustelniki, hipokryty, świętoszki, ścichapeki, przewrócgały, bazgracze papieru, psujce pergaminu, ojczenaszki, kleryki, regenty, promotory, będą się miewali wedle stanu swojej kieski. I tylu wymrze ludzi duchownych, iż nie będzie można znaleźć, komu by oddać beneficja, tak iż wielu będzie ich miało po dwa, trzy, cztery i więcej. Habity wiele stracą z dawnej chwały, świat bowiem się rozzuchwalił i nie chce już być głupi, jak powiada Awenzagel.

Ludzie Marsa, jako to: kaci, mordercy, awanturnicy, opryszki, strażniki, celniki, przekupne świadki, zębobijsi, rzezimieszki, miszkarze, cyruliki, rzeźniki, fałszerze monet, szarlatany, podpalacze, bezbożniki, kominiarze, węglarze, alchemiści, traktiernicy, latarnicy będą mieli tego roku ładne zyski; ale niektórym przyszkodzą się i kije, jako zysk nadliczbowy. Jeden z takich będzie mianowany w tym roku biskupem polnym i będzie dawał przechodniom błogosławieństwo nogami.

Ludzie zrodzeni pod znakiem Słońca, jako to: pijaki, rumiane na gębie, brzuchacze, obżory, piwskożłopy, tragarze, kosiarze, pobijacze dachów, pastuchy, wolarze, krowiarze, świniarze, ogrodnicy, ptasznicy, rolnicy, sadownicy, dziady prośzalne, żebracy, siodlarze, lachmaniarze, wszyscy na ogół noszący koszulę związaną w supel na grzbiecie, będą zdrowi i weseli i nie będą mieli pedogry w zębach, skoro im się trafi kasek tłusty a za darmochę.

Pod znakiem Wenery, jako to: kurwy, makarele, rajfury, makroty, francowate, szankrowate, rufiany, kurwiarze, służebne w gospodach, będą w tym roku zażywać reputacji, ale skoro słońce wejdzie w znak Raka i inne, powinni strzec się francy, szankrów, wrzodów, rzeżączki. Mniszczkom będzie uciążliwą rzeczą poczynać młode bez pomocy męskiej. Bardzo niewiele nienadwerężonych dziewcząt będzie miało mleko w sutkach.

Podlegli Merkuremu, jako: hultaje, szalbierze, oszusty, rzezmieszki, wydrwigrosze, złodzieje, młynarze, szlifibruki, kunsztmistrze, dekretysci, rymoroby, mietelniki, szulerzy, czarodzieje, grajkowie, kobziarze, poeci, łacinniki, rebusniki, będą udawać weselszych, niż są, będą się śmiali, choć im nie będzie do śmiechu, i będą mieli w sakiewce więcej, niż im trzeba.

Podlegli księżycowi, jako: myśliwi, polowacze, sokolnicy, łowcy, gończy, lunatyki, mózgowcy, postrzeleńcy, lokaje, kuriery, hajduki, koniuszowie, majtkowie, stajenni, nie zażyją w tym roku wytechnienia. Wszelako nie tyle będzie szuru-buru, ile było po św. Jagonie w r. DXXIV.

VI. O stanie niektórych krajów

Szlachetne królestwo Francji będzie w tym roku kwitnąć i opływać w uciechy i rozkosze, tak iż cudzoziemskie nacje chętnie w nim będą przebywały. Bankieciki, figielki, tysiączne uciechy wciąż będzie się tam uprawiać i każdy znajdzie swoje ukon-

tentowanie. Nigdy jeszcze nie widziano tyle win i tak smakowitych; obfitość buraków w Limuzji, mnogość kasztanów w Perrygordzie i Delfinacie, siła oliwek w Langdoku, mnóstwo piasków w Olonii, obfitość ryb w morzu, pod dostatkiem gwiazd na niebie i soli w Bronadze; w bród zboża, jarzyn, owoców, zieleń, masła, nabiału. Żadnej zarazy, wojny, żadnych utrapień; ni śladu nędzy, troski, melankolii. Owe stare dubeltowe dukaty, owe nobile z różą, angelusy, reale i baranki długorune wrócą w obieg, wraz z obfitością serafinów i słonecznych talarów. W połowie lata wszelako grozić będzie niejaki najazd czarnych pcheł i wszów dewiniarskich. *Adeo nihil est ex omni parte beatum*. Ba, poskromi się je przy pomocy smacznych zakąsek wieczornych.

Włochy, Romania, Neapol, Sycylia będą tam, gdzie były w zeszłym roku. Będą głęboko medytować pod koniec postu i zdrzemną się niekiedy wedle południa.

Niemcy, Szwajcaria, Saksonia, Strassburg, Antwerpia etc. będą zażywać pomyślności, o ile jej nie sfuszerują, napędzą nieco strachu wędrownym kapturom; także w tych krajach niewiele się odprawi w tym roku zaduszek.

Hiszpania, Kastylia, Portugalia, Aragonia będą bardzo podlegać naglemu pragnieniu. Ludzie będą tam żyli w wielkiej obawie przed śmiercią, młodzi i starzy; mimo to będą się trzymać ciepło i rachować talary, o ile je mają.

Anglia, Szkocja, Estreliny będą dość lichymi pantagruelistami. Wino byłoby im równie zdrowe jak piwo, byleby dobre i chłodne. W każdej grze nadzieję będą pokładać na grze wstecznej. Święty Trynian ze Szkocji będzie robił cudów co wlezie, ale mimo świec, jakie mu znoszą, nie będzie widział ani źdźbła jaśniej.

Moskowici, Indyjczycy, Persowie i Troglodyci będą często cierpieli na krwawe moczenie, nie będą bowiem chcieli dać się wymyszkować Romanistom.

Cyganie, Żydzi, Egipcjanie, nie ujrzą w tym roku ziszczenia swych pragnień. Wenus zaleje im sadła za skórę; nakłonią się wszelako do woli króla Parpailotów.

Zakutane Ślimaki, Sarabici, Sedomici i Kanibale będą cierpieć wielkie utrapienie od końskich much; i niewiele będą igrać swymi cymbałkami, jeśli gwajak im co nie pomoże.

Austria, Węgry, Turcja, na honor, moi dobrzy ludkowie, nie wiem, jak się będą miewały, i niewiele się o to troszczę, zważywszy, iż słońce tak mężnie weszło w znak Koziorożca; jeśli więcej co o tym wiecie, nie piśnijcie słowa, jeno czekajcie na przybycie kuternogi.

VII. O czterech porach roku, a najpierw o wiosnie

W całym tym roku będzie jeden tylko Miesiąc, a i ten nie nowy; bardzo was to markoci, was, którzy zgola nie wierzycie w Boga, którzy prześladujecie jego święte i boskie słowo, a wraz tych, co przy nim obstają? Idźcie się tedy obwiesić; nie będzie bowiem innego miesiąca, jeno ten, który Bóg stworzył na początku świata i który, mocą jego świętego słowa, umocowany jest na firmamencie, aby świecił i prowadził ludzi w nocy. Prze Bóg! nie chcę przez to powiedzieć, iż nie będzie objawiał ziemi i istotom ziemskim ubytku albo przybytku światła, wedle tego, jak będzie się przybliżał lub oddalał od słońca. Dlaczego? Dlatego, że etc. I nie macie co modlić się za niego, aby go Bóg strzegł od wilków, ani się go bowiem tkną w tym roku, rękę. Aha, żebym nie przepomniał: w tej porze roku ujrzycie dwa razy tyle kwiatów co we wszystkich trzech innych razem. I nie będzie ogłoszony za mózgowca ten, który w tej porze odłoży sobie pieniędzy na zapas, więcej niż pajaków w ciągu całego roku. Mieszkańcy i przewodnicy górscy Sabaudii, Delfinatu i Hyperborejów, w których śniegi są wiekuiste, będą pokrzywdzeni o tę porę roku i nie będą jej mieli, wedle osądzenia Awicenny, który powiada, że wtedy jest wiosna, kiedy śnieg traci się w górach.

Możecie temu wierzyć. Za moich czasów znaczyło się *Ver*, kiedy słońce wchodziło w pierwszy stopień Tryka. Jeśli teraz rachuje się inaczej, płacę grzywnę i cicho sza.

VIII. O lecie

W lecie nie wiem, co za czas będzie i wiatry z której strony; ale wiem, że powinno być ciepło i wiatr powinien być od morza. Jeśli wszelako będzie inaczej, nie trzeba dla tej przyczyny zaprzec się Boga. Mądrzejszy jest bowiem od nas i wie o wiele lepiej niż my sami, co nam potrzebne. Upewniam was na mój honor, cokolwiek by o tym powiadał Hali i jego kompania. Najlepiej będzie trzymać się wesoło i pić tego, mimo iż niektórzy powiadają, iż nie ma rzeczy przeciwniejszej pragnieniu. I ja tak sądzę, *contraria* bowiem *contrariis curantur*.

IX. O jesieni

W jesieni będzie winobranie; trochę wcześniej, trochę później, o to nie stoję, byleśmy mieli winka zadość. Będzie pora na myślenie, niejedni bowiem będą myślał zebździć się tylko, a sumiennie sfajda się pod siebie. Ci i te, którzy ślubowali pościć, póki gwiazdy nie wejdą na niebo, obecnie mogą się najeść do syta z mego pozwolenia i dyspensy. A i tak aż nadto się opóźnili, one już tam bowiem tkwią od szesnastu i nie wiem ilu dni, i to silnie umocowane. I nie spodziewajcie się w tej porze łapać skowronki, skoro niebo się zawali, nie zdarzy się to bowiem za waszej pamięci, na mój honor. Kapuzy, kaptury, feretrony, perpetuony i inne takie dziadowskie sakwy wyjdą z nor; kto żyw, niech się pilnuje. Strzeżcie się także ości, kiedy będziecie jeść ryby, a od francy niech was sam Pan Bóg ustrzeże!

X. O zimie

W zimie, wedle mego niskiego rozumienia, nieroztropnie poczną sobie ci, którzy sprzedadzą futra i kubraki, aby nakupić

drzewa. I nie tak czynili starożytni, jako zaświadcza Aben Znar. Jeśli deszcz pada, nie smućcie się: tym ci mniej będzie prochu na drogach. Trzymajcie się ciepło. Wystrzegajcie się katarów. Pijcie co najlepsze, czekając, aż nowe nadejdzie, i nie sikajcie do łózek. Ho, ho, kureczki, a gdzieżecie wy uwiły gniazdka tak wysoko?

Koniec przepowiedni pantagruelicznych

ALMANACH* NA ROK 1533 OBLICZONY WEDLE POŁUDNIKA SZLACHETNEGO MIASTA LYONU I WEDLE KLIMATU KRÓLESTWA FRANCJI. — UŁOŻONY PRZEZE MNIE, FRANCISZKA RABELAIS, DOKTORA MEDYCYNY I PROFESORA ASTROLOGII ETC.

Dyspozycja tego obecnego roku 1533

Jako że widzę, iż wszyscy uczeni ludzie potępiają wróżebną i judycjalną część nauki astrologii, tak dla miłośności tych, którzy się nią parają, jak dla zawodności corocznej ich przepowiedni, postanowiłem na ten raz opowiedzieć wam to, co znalazłem wedle rachunków A. Ptolomeusza i innych. Śmiem powiedzieć, zważywszy częste koniunkcje księżyca z Marsem i Saturnem etc., iż rok ten, a mianowicie miesiąc maj, nie obejdzie się bez znacznej odmiany tak w królestwach jak i w religiach, która odmiana wynika ze zbiegu Merkurego z Saturnem etc. Ale to są wyroki

* Jak wspomniano poprzednio, R. ułożył cały szereg almanachów. Pracę tę, wysoko cenioną w owym czasie, powierzali mu wydawcy ze względu na rozległą wiedzę encyklopedyczną, a zwłaszcza przyrodniczą, pisarza. Z tych almanachów pozostało tylko kilka urywków; jeden z nich zamieszczamy tutaj, aby dać czytelnikowi obraz tego rodzaju literatury, tak rozpowszechnionej za czasów Rabelais'go.

najprzyboczniejszej Rady króla wiekuistego, który kieruje wszystkim, co jest i co się dzieje, wedle swojej dobrej woli i ochoty; co do których lepiej jest milczeć i uwielbiać je w milczeniu, jako jest powiedziane *Tob. XII: Dobrze jest ukrywać tajemnicę króla*, i u Dawida proroka, psal. CXIV, wedle pisma chaldejskiego: *Panie Boże milczenie należy się tobie w Syjonie*, a rację tego powiada w psal. XVII: *Schronienie swoje bowiem ustanowił w ciemności*. Za czym w każdym wypadku przystoi nam ukorzyć się przed nim i modlić się doń, tak jak nas nauczył pan nasz, Jezus Chrystus: *Niechaj się stanie nie to, czego pragniemy i o co prosimy, ale to, co mu się podoba i co ustanowił, zanim niebo było ukształtowane*. Jenó we wszystkim i wszędzie jego *wspaniałe imię niech się święci*. Przywróćmy ład temu, co jest zapisane w efemerydach wiekuistych, których nie jest wolno człowiekowi śmiertelnemu poznać ani traktować, jako jest powiedziane, A, A, I: *Nie wam przystało znać czas i godzinę, które mój Ojciec wziął pod swoją moc*. I płochości tej naznaczona jest kara przez mędrca Salomona, Proverb. XXV: *Kto chce zgłębić tajemnice majestatu, będzie przez tenże uciśniony, etc.*

UZUPEŁNIENIE

W puściźnie piśmienniczej Rabelais'go mieszczą się jeszcze następujące drobne utwory:

La Sciomachie, czyli: Turnieje a festyny, wyprawione w Rzymie, pałacu Jego Dostojsności Kardynała du Bellay, ku czci szczęśliwego urodzenia Jego Wysokości księcia Orleanu.

Oda Saficzna, pisana wierszem łacińskim, do kardynała Jana du Bellay.

List do Jehana Bouchet, kreślony po francusku wierszem (błahę treści, stanowiący zaproszenie w gościnę).

Trzy listy, pisane prozą, wszystkie do biskupa de Maillezaïs.

List wierszem szkolarza limuzyńskiego (pochodzenie tego utworu jest wątpliwe).

Drobne te utwory posiadają znaczenie wyłącznie z punktu widzenia erudycji historyczno-literackiej, pomieszczanie przeto ich przekładu w tym wydaniu wydało się tłumaczowi zbędne. Ciekawszą o wiele dla czytelnika jest załączona poniżej *Kronika Gargantuińska*, która, jak to w przedmowie przedstawiono, stała się punktem wyjścia Rabelesowskiej epopei. Kwestię autorstwa tych *Kronik* omówiono również w przedmowie; obecnie, ze względu na okoliczność, iż w chwili właśnie druku tego ostatniego tomu naszego wydawnictwa ukazały się one w języku polskim* i poprzedzone komentarzem co do ich rzekomego pochodzenia, tłumacz czuje się w obowiązku jeszcze raz kwestię tę

* Wielkie i nieocenione kroniki o potężnym a przeogromnym wielkoludzie Gargantui, przełożył J. Łęczyc, 1914, Czarnecki w Wieliczce (Z przedmową S. K.).

z naciskiem podkreślić. Otóż, wbrew twierdzeniu zawartemu w przedmowie p. S. K., iż „nie ulega dzisiaj najmniejszej wątpliwości, że owe *Kroniki* są dziełem Rabelais'go“, zupełnie przeciwnie, nie ulega dzisiaj najmniejszej wątpliwości, że nie są one pióra Rabelais'go, a nawet poważnie zakwestionowaną została okoliczność, czy Rabelais był nawet ich wydawcą i czy miał z nimi cokolwiek wspólnego, prócz tego, iż bawiąc w Lyonie był świadkiem ich powodzenia i pokupu, i że to go natchnęło do kontynuowania tej baśni. Również na omyłkę polega twierdzenie w przedmowie pana S. K. do polskiego wydania *Kronik*, iż Rabelais sam mówi o nich jako o swoim utworze w „prologu“ do I ks. *Pantagruela*, Rabelais nie mówi tam nic więcej, jeno to, iż *Kroniki* te mały nadzwyczajne powodzenie i poczytność. Kwestie te zostały bardzo gruntownie wyświetlone w komentarzu do ostatniego, pomnikowego wydania pism Rabelais'go, pod redakcją znakomitego znawcy tego przedmiotu Abła Lefranc (Paryż, 1913. Tom I).

Tłumacz

WIELKIE I NIEOSZACOWANE KRONIKI WIELKIEGO I POTEŻNEGO OLBRZYMA GARGANTUI:

OPISUJĄCE GENEALOGIĘ, WIELKOŚĆ I SIŁĘ JEGO CIAŁA
A TAKŻE PRZERAŻLIWE CZYNY WOJENNE, JAKICH DOKONAŁ
DLA KRÓLA ARTURA, JAKO TO DALEJ UJRZYCIE, WYTŁO-
CZONE NA ŚWIEŻO 1532.

*Jako za czasu dobrego króla Artura żył biegły czarnoksiężnik,
nazwiskiem Merlin*

Zacni rycerze i szlachcice, trzeba wam wiedzieć, iż za czasu dobrego króla Artura żył wielki filozof, nazwiskiem Merlin, bardzo biegły w sztuce czarnoksięstwa, bardziej niż ktokolwiek w świecie. Ow Merlin zawsze w czym mógł wspierał pomocą stan szlachecki, u którego zyskał sobie przydomek księżęcia czarnoksiężników. Ow Merlin działał wielkie cuda, trudne wprost do uwierzenia dla tych, którzy nie widzieli ich na oczy. Merlin należał do wielkiej rady króla Artura i wszystkie prośby, jakie przedkładał u dworu króla, czy to dla siebie, czy dla kogo drugiego, znajdowały łaskawe przyjęcie. Ocalił króla i wielu baronów i rycerzy od nieszczęść i niebezpieczeństw. Zdziałał wiele znacznych i cudownych rzeczy. Między innymi sporządził okręt o pięciuset tonach, który tak żeglował po łądzie jak inne widzicie żeglujące po morzu. I wiele innych cudów, które zbyt zawile są do opisanja, jako z dalszego zobaczycie.

Jako Merlin rzekł królowi Arturowi, iż będzie miał siła do czynienia przeciw swoim nieprzyjaciółom

Po wielu cudach, zdziałanych przez się na chwałę i pożytek króla Artura, Merlin rzekł doń: „Ukochany, wspaniały królu! racz przy-

jać tę przestrożę, iż będziesz miał wiele do czynienia przeciw swoim nieprzyjaciółom. Czemu (jeżeli łaska twoja) chcę zaradzić, skoro oto jestem do twoich usług; nie zawsze bowiem będę mógł być, ile że podwici będą mnie odwozić i mamić. Ale tego bądź pewien, iż póki jestem panem swej osoby, będę cię bronił od nieprzyjaciół“ Wówczas ozwał się król i rzekł: „Ha, Merlinie, czyż jest możebne uniknąć tych niebezpieczeństw, bodaj za cenę całego królestwa?“ — „Nie, panie, nawet za cały świat“ — odparł Merlin. Wówczas rzekł król by czynił, co chce i aby nic nie oszczędzał z jego królestwa. Za czym Merlin podziękował królowi za jego ofiarę; on, który wszystko wiedział: czas przeszły przez swoją sztukę, a czas przyszły za zezwoleniem bożym. Ów Merlin pokłonił się królowi i kazał się zanieść na najwyższą górę Wschodu; i wziął ze sobą flaszeczkę z krwią Lancelota, zebraną z jego ran wówczas, gdy potykał się w turnieju czy walce przeciw innemu rycerzowi. Oprócz tego wziął z sobą ogryzki paznokci z palców pięknej Ginewry, małżonki króla Artura, które ważyły pełnych dziesięć funtów. Znalazszy się na górze sporządził Merlin na jej szczycie stalowe kowadło wielkie jak wieża i młoty odpowiedniej wielkości w liczbie trzech. I zdział swoją sztuką, iż uderzały tak gwałtownie o kowadło, że zdawało się, jakoby piorun zstąpił z niebios; a wszystko wedle dokładnej miary.

Jako Merlin kazał przynieść kości dwóch wielorybów, aby uczynić z nich ojca i matkę Gargantui

Skoro tylko Merlin usłyszał szcęk młotów, kazał przynieść kości samca wieloryba, pokropił je z flaszeczki i położył na kowadło. I w krótkim czasie były owe kości zmiażdżone i rozbite na proszek; wówczas, pod wpływem światła słonecznego, kowadła i młotów, począł się ojciec Gargantui z onego prochu. Po czym Merlin kazał przynieść kości wielorybiej samicy i domieszał do nich rzeczzone paznokcie królowej, po czym wszystko położył na kowadle jak wprzód. I z tego proszku powstała matka Gargantui.

Jako Merlin uczynił nadprzyrodzoną kobyłę, iżby dźwigała ojca i matkę Gargantui

Ledwie Merlin dokonał tego cudownego dzieła i ledwie podsypał ostatnią garść proszku na kowadło, aby uczynić niewiastę, już uj-

rzał mężczyznę grubego jak wieloryb i odpowiedniej długości. Widząc go Merlin rzucił na niego swój czar i uśpił go na dziewięć dni, dziewięć dni bowiem miało trwać sporządzenie niewiasty. Widząc księżę Merlin uśpionego mężczyznę powziął myśl stworzenia bydlatka, iżby go nosiło. W tym celu rozejrzał się dokoła i ujrzał szczątki kobyły, które wziął i położył na kowadło i uczynił z nich kobyłę tak wielką i potężną, iż mogła unieść tamtych oboje tak łatwo, jak może unieść zwyczajny konik pojedynczego człowieka. I puścił ją, aby się pasła na górze.

Jak Merlin zastanowił swoje czary

Kiedy Merlin uczynił tę wielką i nadzwyczajną kobyłę, zastanowił czary i ujrzał, iż niewiasta jest już gotowa, równa co do wielkości mężowi. Za czym podszedł mężczyzna przyjrzeć się swej niewieście, mówiąc: „Co tu robisz, Galmelo?“ — „Czekam na mego przyjaciela Tęgospusta“. Na to zaczął się Merlin śmiać i powiedział: „Wierę, piękne mi imiona; będziecie tedy tak się nazywać“. Wtedy spostrzegli Merlina i oddali mu cześć jako swemu panu; Merlin zasię podjął ich należycie i rzekł: „Zejdźcie do stóp góry i przywieźcie mi kobyłę, którą napotkacie“.

Jako Tęgospust i Galmela poszli szukać kobyły i jako splodzili Gargantue

Za czym z rozkazania Merlina Tęgospust i Galmela zaszli na sam dół góry, aby szukać wielkiej kobyły. Tęgospust, który pierwszy znalazł się na dole, spoglądał na nadchodzącą Galmelę i znajdował przyjemność w zaglądaniu jej między uda (byli bowiem całkiem nadzy). Skoro Galmela zaszła na dół, spytała go, co by tam miała osobliwego. Wówczas on odpowiedział rozszerzając jej uda, iż ma tam jakowąś przyrodzoną ranę. Gdy Tęgospust przyglądał się tej ranie, szerokiej i czerwonej jak ogień św. Antoniego, wyprężył mu się członek; a był tak gruby jako brzuch beczki na śledzie i odpowiednio długi; i powiedział Galmeli, że jest cyrulikiem i że członek jego posłuży mu za sondę, aby spróbować, czy rana jest głęboka. Nie mógł wszelako wymacać dna; ale zabawa tak bardzo im się spodobała, iż splodzili Gargantue. I później zawiedli wielką kobyłę do

Merlina i Merlin rzekł: „Spłodziliście syna, który dokaże wielkich czynów wojennych i użyczy zwycięstwa królowi Arturowi w spotkaniu z nieprzyjaciółmi. Dlatego winniście go troskliwie pielęgnować i żywić, nakazuję to wam, i dziś już macie gotować zapasy na ów czas, kiedy on przyjdzie na świat. I jeszcze wam powiadam, iż ja niedługo będę z wami; nakazuję wam tedy, pod karą nieposłuszeństwa, abyście skoro syn będzie w wieku siedmiu lat, abyście, powiadam, zawiedli go na dwór króla Artura do Wielkiej Brytanii i abyście także przynieśli z sobą to i owo dla objawienia i pokazania swej potęgi“. Wówczas rzekł Tęgospust: „Kochany panie, jakże my znajdziemy drogę, skorośmy tam nigdy nie byli?“ I rzekł Merlin: „Zwróćcie głowę kobyły ku zachodowi i pozwólcie jej iść swobodno, a zaprowadzi was pewnie i bez chyby“. Za czym Merlin pożegnał się z nimi, z czego czuli żalobę tak wielką, iż słyhać ich było na dziesięć mil wkoło, i płakali tak mocno, iż woda płynąca im z oczu byłaby zdolna obracać dwa młyny.

Tęgospust i Galmela poszli na łowy, aby zapomnieć swojej żaloby po Merlinie. I spotkali wielkie stado jeleni, z którego Tęgospust, puściwszy się w pogoń, upolował dwanaście najtłustszych. Rozejrzał się tedy dokoła siebie i nie spostrzegł Galmeli, która zwykle nie miała obyczaju zostawać w tyle. Załadował tedy dwanaście bydlatek na plecy i spostrzegł, iż Galmela zległa, i poznał, iż urodziła mu chłopca płci męskiej. Za czym zawołał nań: „Gargantua“, co jest słowo greckie i znaczy, jak gdyby się powiedziało: „Co za pięknego masz syna“. Za czym matka rzekła, iż chce, aby się tak nazywał, i ojciec zgodził się. Wówczas wzięli owo dziecko Gargantua każde za jedną ręką i zawiedli na stok góry, gdzie było ich mieszkanie. Niektórzy autorowie twierdzą, iż Gargantua żywiono w dzieciństwie jedynie mięsem. Ja utrzymuję, że nie (to samo powiada Morgan i wielu innych), matka jego bowiem miała w każdym cycku pewnie nie mniej pięćdziesięciu wiader mleka. Ojciec i matka chowali go z wielkim zadowoleniem, mieli z nim bowiem mnogo zabawy i uciechy. Czasem bawił się rzucaniem kamieni z wierzchołka góry, jako jest obyczaj małych dzieci; zaś kamienie ważyły nie mniej niż trzy beczki pełne wina; czasem igrał sobie po lesie, jako czynią młodziankowie, i kiedy zobaczył ptaszka, z figłów ciskał nań kamieniem, które kamienie zdały mu się małe. A były nie mniejsze niż dwa kamienie młyńskie. Jemu zaś mniej ważyły w ręce, niż waży połówka orzecha w ręce dzisiejszego człowieka.

Jako Tęgospust i Galmela wspomnieli sobie, aby iść szukać Merlina na dworze króla Artura

Tęgospust spostrzegł, iż syn jest duży i pięknie odkarmiony, że zbliża się do siedmiu lat i że czas zawieść go na dwór króla Artura, jako nakazał Merlin przy pożegnaniu. Tedy ruszył Tęgospust w jedną stronę, a żona w drugą, aby upolować nieco żywności. Tak się zakrzętnęli, iż w niedługim czasie mieli dosyć na ową podróż. I naładowali zapasy na wielką kobyłę; a było tego pięćset cetnarów chleba oraz świeżego i solonego mięsiwa. Wina nie uczynili zapasu. Następnie obrócili głowę klaczy ku zachodowi i dali Gargantui rózeczkę do poganiania, która była tak wielka jak maszt okrętowy. Zasię Tęgospust i Galmela wzięli na głowę po wielkiej skale, aby okazać swą moc królowi Arturowi, kiedy będą w jego królestwie (jak im to Merlin poradził przy rozstaniu); o której skale posłyszycie jeszcze w dalszym ciągu historii.

O tym, jako wybrali się w drogę, i o lasach w Szampanii

Tak tedy wędrował Tęgospust i jego kompania, aż doszedł do Rzymu i stamtąd do Niemiec, do Szwajcarii i do wielkiej Szampanii, gdzie były w owym czasie wielkie lasy. Wszelako wówczas wytrzebili trochę lasów, trzeba bowiem było przejść. Kiedy wielka kobyła weszła w owe lasy szampańskie, zaczęły muchy kłuć i ciąć w zadek rzeczoną kobyłę. A miała ogon dwieście sążni długi i gruby odpowiednio i zaczęła się opędzać i wówczas mogliście ujrzeć wielkie dęby padające jak grad; i póty machała ta kobyła ogonem, aż ani jedno drzewo nie pozostało prosto, iżby nie było powalone na ziemię. Toż samo uczyniła w kraju Bossie i stąd nie ma tam teraz zupełnie drzewa i tamecznym ludziom mus jest grzać się przy ogniu ze słomy. Zasię Gargantua, który biegł za kobyłą i nie mógł jej zatrzymać, wbił sobie w mały palec drzazgę drewnianą, która ważyła więcej dwóch set funtów. Gargantua poczuł ranę i zaczął kuleć powiadając ojcu i matce, iż chce spocząć. Tak przybyli nad morze, tam gdzie jest teraz góra św. Michała. Kiedy Tęgospust i Galmela, i Gargantua znaleźli się nad morzem, bardzo byli zdziwieni widząc tyle wody. Wówczas Tęgospust spytał o drogę do wielkiej Brytanii, gdzie bywał król Artur, i powiedziano mu, iż muszą przejść przez morze, jeżeli chcą tam iść. Tymczasem Gargantua opatrzył sobie mały palec i dłużył w nim igłą, która była długa nie mniej niż na trzy łokcie i ta igła to było ostrze wieży kościółka, który był tam w pobliżu; z której

wieży poprzednio zdjął krzyż, na którym był kogutek, byłby go bowiem łaskotał w ranę. I nie minęło wiele czasu, jak rana się zgoiła. I zważcie, że trzeba było czterysta łokci płótna na owiązanie tego palca (to jest, dokładnie licząc, czterysta mniej pół stopy). Był bowiem nieco obrzmiały z przyczyny świeżego cierpienia.

Skoro ludzie tameczni dowiedzieli się, iż owi są na brzegu, zeszli się ze wszystkich stron, aby ich oglądać. Godne jest uwagi, iż ze wszystkich nacji, jakie się tam zeszły. Bretonowie zrobili im wiele przykrości. A trzeba wam wiedzieć, iż pozdejmowali to, co nosili na głowach, a także żywność, jaką kobyła niosła na grzbiecie, i posłali ją na paszę na łąki i, jako dobrzy gospodarze, zawiązali dobrze zapasy. Ale mimo iż tak bacznie strzegli żywności, niebawem wielu zakradło się za skały, gdzie była ukryta, chylkiem, by ich nikt nie spostrzegł. I wnet jeden z wielkim nożem dobierał się do dziczyzny, drugi imał się wielkiej sztuki wołu, i tak ciągle i tyle razy przychodzili, aż w końcu Tęgospust ich spostrzegł. Wówczas zaprzysiągł, że jeśli mu nie oddadzą tego, co ukradli, pożre wszystkie krowy w ich kraju. Co widząc Bretonowie dali mu dwa tysiące krów jako wynagrodzenie, nie licząc cieląt, które były ponad liczbę. Wówczas powiedzieli Tęgospust i Galmela, iż będą się wystrzegać, iżby już nie byli okradzeni z przyczyny tych dwóch skał. I wówczas ów Tęgospust i Galmela wzięli każde swoją skałę na głowę, tak jak je nosili wprzód. I następnie wstąpili w morze powiadając, iż skoro będą ich potrzebować, mogą sobie ich poszukać, tak samo jak je tu przynieśli. I skoro Tęgospust zaszedł dość daleko, cisnął swoją na brzeg morza; która skała po dziś dzień nazywa się górą św. Michała. I ustawił Tęgospust tę skałę cieńszym końcem do ziemi, co wielu mieszkańców jeszcze dziś może zaświadczyć. I ta skała jest obecnie bardzo pieczołowicie strzeżona przez króla Francji, jako prawdziwa kosztowna relikwia. Galmela chciała dorzucić i swoją, ale Tęgospust nie dozwolił jej tego uczynić i kazał zanieść ją jeszcze dalej, myśląc, że gdyby ktoś zabrał jedną, nie zabierze przynajmniej drugiej. Galmela spełniła rozkaz i zanosła swoją dalej. I jest to owa skała, którą dziś nazywają Fombelena. Następnie oboje wrócili na brzeg i zastali Gargantue, który miał się na baczności, aby Bretonowie nie wyrządzili im szkody, jako poprzednio uczynili.

Jako ojciec i matka Gargantui pomarli na febrę i jako Gargantua zabrał dzwony z kościoła Najświętszej Panny w Paryżu

Ledwie Tęgospust i Galmela pozbyli się skał, chwyciła ich ustawiczna febra, która tak mocno ich dręczyła, iż niebawem z niej

pomarli w braku sposobnego przeczyszczenia. Z czego Gargantua popadł w wielką rozpacz i wrywał sobie włosy i drapał się po głowie, i nogami tupał o ziemię, i łamał ręce; iście cud było patrzeć na rozpacz, jaką nim miotła. Potem żaloba jego przeszła i przypomniał sobie, że słyszał, jako Paryż jest największym miastem w świecie, i wzięła go ochota powędrować doń, ród bowiem widział co nowego, jako zwyczajnie młodzi. Za czym wsiadł na swą kobyłę i puścił się w drogę; kiedy zasię był blisko, zesiadł i posłał klacz na paszę. Potem wszedł do miasta i usiadł na jednej z wież kościoła Najświętszej Panny, ale nogi mu zwisały aż do Sekwany. Potem przyjrzał się dzwonom jednej wieży, potem drugiej i zaczął trochę potrząsać tymi, które wiszą na najwyższej wieży i słyną jako największe we Francji. I trzeba było widzieć, jak wszyscy Paryżanie zbiegli się gromadą i przyglądali mu się, i dworowali zeń sobie, iż tak był wielki. Tedy umyślił zabrać te dzwony i zawiesić je na szyi klaczy, jako widział dzwonki na szyi mulów. Tedy wziął je i odszedł z nimi. Z czego Paryżanie byli bardzo strapieni, niesposób bowiem było użyć siły przeciw niemu. Tedy zebrali się na radę i postanowiono prosić go, aby je odniósł i powiesił na miejscu, skąd je wziął, i aby odszedł nie wracając więcej. Za to dawali mu trzysta wołów i dwieście baranów na przekąskę. Gargantua zezwolił na to, następnie udał się znów na brzeg morza, skąd był przybył, i na nowo pogrążył się w żalobie, nie znalazł bowiem już tam ojca i matki, których zostawił umarłych, jako iż Merlin, który wiedział wszystko i przyszedł go pocieszyć, kazał ich tymczasem pogrzebać. Ów Merlin przyszedł do Gargantui i powiedział mu, aby się już nie frasował więcej dla miłości ojca i matki, kazał ich bowiem pogrzebać na tym miejscu. Wówczas rzekł Gargantua: „Ktoś jest, co mi to mówisz?” Rzekł Merlin: „Jam jest ten, który kazał twemu ojcu, aby tu przyszedł przedstawić cię królowi Arturowi”. — „Ha — rzekł Gargantua — czyż ty jest ten, którego imię jest Merlin?” — „Tak — rzekł — i dlatego gotuj się iść ze mną do Wielkiej Bretanii służyć królowi”. Za czym rzekł Gargantua: „Panie Merlinie, jestem na twoje rozkazy, miej zmiłowanie nad biednym sierotą”. A Merlin rzekł: „Idź, przyprowadź swoją kobyłę; przejedziemy przez morze, pora bowiem jest ruszać w drogę”. Gargantua spełnił rozkaz i przyprowadził ową kobyłę nad morze. Wszelako uległa się fali tak bardzo, iż na dziesięć mil wkoło słychać było jej parskanie, po czym zaczęła skakać, wierzcąc i uganiać. Merlin widząc, że Gargantua chce za nią gonić, rzekł, aby jej poniechał. I rzekł, iż poleciała do Flandrii i że ta klacz ma czas swego gonienia się i może być pokryta

przez piękne ogiery, których rasa jest we Flamandii, i że innym razem będzie ją mógł odzyskać. I została tam ta klacz tak długo, aż wydała piękne źrebięta i źrebice. I wiedźcie, że od niej wywodzą ród nasze wielkie flamandzkie kobyły.

Jako Merlin zawiózł Gargantua do Wielkiej Brytanii

Skoro Gargantua postradał w ten sposób swą wielką kobyłę, Merlin przywołał chmurę, która zaniósła jego i Gargantua nad morze niedaleko Londynu. Wówczas rzekł do Gargantui: „Tu zaczekasz na mnie, a ja pójdę do dobrego króla Artura, który cię podejmie serdecznie i obdaruję czymś, co cię bardzo ucieszy. Dlatego nie odmawiaj niczemu, co ci rozkażę”. — „Nie uczynię tego odparł Gargantua — spełnię we wszystkim waszą wolę”. Za czym odszedł Merlin i pokłonił się królowi i rzekł: „Bardzo potężny władco, wiodę do waszego kraju osobę, która jest dość potężna, aby pokonać i zgładzić wszystkich waszych nieprzyjaciół, gdyby byli zgromadzeni na jednym miejscu, i prócz tego więcej niż sto tysięcy rycerstwa”. — „Ha” — rzekł król — „jakoż to jest możliwe? toć ja mam tylu dzielnych wojowników, a przegrałem dwie bitwy w zeszłym tygodniu”. — „Panie” — rzekł Merlin — „tym razem pokażesz, że nie lza im jest tak blisko do ciebie podchodzić”. Za czym król i panowie, i baronowie wraz z Merlinem wsiadli na koń i niebawem znaleźli Gargantua, który się przechadzał. I król, i baronowie byli bardzo zdumieni jego wzrostem i tęgością. Za czym król pozdrowił go, a Gargantua oddał mu pozdrowienie, jak przystało naprzeciw takiemu władcy; po czym król spytał go o imię. „Panie” — rzekł Merlin — „nie troszcz się o jego imię, w bitwie bowiem da on sobie radę”. I Gargantua odpowiedział, że gdyby było nawet i trzydzieści tysięcy ludzi, nic to dla niego. Za czym rzekł król, że gdyby chciał pobić Gogów i Magogów, którzy z nim toczą wojnę, ubrałby go w swoje barwy i dałby mu żołd i strawę przy dworze. Tedy podziękował Gargantua i rzekł, aby sporządzono maczugę na sześćdziesiąt stóp długą i aby z jednego końca była tak gruba jak kadłub okrętu. Za czym nakazał król szukać kowali do tej roboty; przy tym powiedział, że te Gogi i Magogi mają pancerze z ciosowych kamieni i że jednego z nich ma w niewoli, który budzi strach, kiedy się nań spojrzy. Za czym rzekł Gargantua: „Panie, czy jest twoja wola, abym go ujrzał?” Król przystał na to i kazał przyprowadzić jeńca. I kiedy Gargantua go ujrzał, rzekł: „Panie, chcesz, aby ten jeńiec więcej nie budził w tobie

strachu?” Tedy rzekł król: „Czyń, co zechcesz”. I nagle chwycił Gargantua owego jeńca za kark i podniósł go na oczach wszystkich baronów tak wysoko, iż nie można go było dojrzeć; i potem upadł martwy tak dobrze, jak gdyby wieża zwała się na niego. Po czym rzekł Gargantua: „Panie, nie obawiaj się go, nie napędzi ci już strachu”.

Maczugę sporządzono rychło sztuką Merlinową, taką, jaka była potrzebna, i niebawem przywieziono ją na wielkim wozie, jako się wiezie sztukę armaty, i doręczono Gargantui. Który wziął ją bardzo lekko i zaprzysiął w obecności wszystkich, że nie przyjmie jada ani napoju, póki Gogi i Magogi nie poczują, ile waży ta maczuga, co ją dzierży w dłoni. Za czym na rozkaz króla Artura przybył posłaniec, który zawiódł go do obozu Gogów i Magogów i pokazał ich Gargantui i rzekł: „Oto zdrajcy Gogi i Magogi, którzy dniem i nocą chcą nas wygubić”. I nagle Gargantua poskoczył do bitwy jako wilk między stado owiec waląc maczugą i krzycząc: „Niech żyje król Artur! pokażę ja wam zniewagę, jakąście mu wyrządzili”. Gogi i Magogi widząc, że jest dla nich twardszy niż sam wielki diabeł, nie umieli nic innego począc, jak szybko podać tył i prosić o pardon. Ale on nie ulitował się ani nad jednym. Za czym nadeszła armia króla Artura i zaczęła grabić, Gargantua zaś wrócił do Londynu przed oblicze króla. I Merlin opowiedział wszystko o jego dzielności i król bardzo rad był z jego czynów. Za czym rozkazał król zastawić stoły dla Gargantui i zapalić wesołe ognie w całym mieście z przyczyny zwycięstwa, jakie odniósł nad swymi nieprzyjaciółmi Gogami i Magogami. Za czym usiadł Gargantua u stołu i na zakąskę podano mu szynkę z czterystu świni solonych i prócz tego mnogość kiszki i kielbasy. A zaś w zupie pływało mięso z dwustu zajęcy, i czterysta chlebów, z których każdy ważył pięćdziesiąt funtów, i mięso dwustu spaśnych wołów, z których flaki zjadł również na zakąskę. I nie wątpię o tym, że stolnica, na której krajano dlań mięso, była przedziwnie wielka, mogło się bowiem na niej zmieścić mięso z czterech albo pięciu wołów; i dwudziestu ludzi bez przerwy krajano mięso i dzieliło jeno na ćwierci: wołu bowiem zjadał Gargantua na cztery małe kaski. Większych kęsów nie brał do gęby, chciał bowiem zachować przystojność u stołu. I chrupał kości tak, jak się chrupie zwyczajnie kości skowronków. Oprócz tego było czterech krzepkich ludzi, z których każdy miał łopatę, i za każdym kaskiem, który brał, rzucali mu pełną łopatę musztardy do gardła; na wety zaś podano czterdzieści beczulek gotowanych jabłek. I wypił przy tym sto beczek cienkiego piwa i trzydzieści i pół beczek jablecznika, z przyczyny, iż nie było wina.

Jako ubrano Gargantuę w barwy króla Artura

Potem sprzątnięto stoły i Gargantua wytchnął sobie lekko, nie tak wszelako jak niektóre obzory, ale słuchając pięknych rozmówek i gier, i trefności króla i książąt, którzy tam byli. W czym znajdował sto tysięcy razy więcej rozkoszy niż w piciu i jedzeniu. Król widząc, że modlitwy dziękczynne już ukończone, posłał po marszałka i nakazał, aby sporządzono szaty Gargantui wedle jego barwy i aby go zaostrzono w koszulę i inną odzież. Za czym rzekł marszałek, iż się stanie, skoro wola króla jest taka. Za czym podjęto na rozkazanie tegoż marszałka osiemset łokci płótna, aby sporządzić koszulę dla Gargantui, i sto osobno na paszki.

Na kaftan wzięto siedemset łokci atlasu, połowę czerwonego, połowę żółtego. I trzydzieści dwa łokcie i pół ćwierci zielonego aksamitu, na wypustki przy tymże kaftanie. Na pludry Gargantui zakupiono u sukiennika dwieście łokci i trzy i pół ćwierci szkarłatu.

Na kubrak wzięto dziewięćset łokci i pół ćwierci czerwonej i żółtej materii.

Na wyłogi zakupiono siedemdziesiąt łokci karmazynowego aksamitu, pół czerwonego, pół żółtego, jako podano poprzednio.

Na płaszcz wzięto piętnaście łokci i półtora ćwierci sukna, ani mniej, ani więcej.

Na trzewiki zakupiono u handlarza pięćdziesiąt skór krowich i jeszcze pół.

Na rzemyki do ich sznurowania zakupiono dwa tuziny skór ciętych, jak obszył.

Na zole do tychże trzewików zakupiono u garbarzy skórę z trzydziestu i sześciu wołów.

Na sporządzenie czapeczki wydano czapnikowi dwieście cetnarów dwa i trzy ćwierci funta wełny.

Pióropusz ważył dobrych dwieście funtów i ćwierć, a może i więcej.

Na palcu miał Gargantua złoty sygnet, który ważył trzysta funtów, dziesięć uncji, dwa i pół luta. Zaś w pierścionku oprawny był rubin niezmiernej ceny; a ważył sto trzydzieści i pół funta.

Co się tyczy wszelako konia, to (cokolwiek by kto o tym mniemał) nie chciał go przyjąć, ponieważ czuł się bardzo dobrze na nogach; i w trzydzieści kroków robił większy szmat drogi, niżby uczyniła poczta z dobrym koniem w czterech stacjach.

Jako Gargantua sekretnie podziękował Merlinowi

Skoło ubranie było gotowe i Gargantua ujrzał się w ten sposób ozdobiony i odziany we wspaniałe szaty, podobny był do pawia, kiedy roztoczy ogon; ujął się bowiem obiema rękami za boki, w obecności dobrego króla Artura i wszystkiego rycerstwa, i szlachetnych baronów, i dworzan, którzy byli przy tym obecni. Po czym wyprostował się na nogach, obejrzał się z dumą po sobie, wykręcając parę razy głową, i rzekł: „Dobrze jest słuchać rady roztropnego i mądrego człowieka, takiego jak miłościwy pan Merlin; jak teraz widzę, dobrze mi poradził, abym niczego nie odmawiał królowi Arturowi; za tę drobną bowiem przysługę, jaką mu oddałem zwyciężywszy i pobijwszy Gogów i Magogów, taką powziął miłość do mnie, iż darował mi te wspaniałe ubrania, za co mu jestem bardzo wdzięczny“. Za czym rzekł król Artur do Merlina: „Miły przyjacielu, widzimy tu oto Gargantuę, jak się raduje z żywota i chwali sobie ciebie i nasz dwór. Dlatego mniemam, iż dobrze by było, abyś stanął przed nim i pokazał mu się, dla zobaczenia, czy zrobi to, co powiada“. Za czym rzekł Merlin: „Panie, on będzie jeszcze tysiąc razy mocniejszy“. Tedy Merlin udał się przed Gargantuę. Kiedy ów zobaczył Merlina, spytał go, jak się ma i jak mu się wiedzie. A Gargantua, wielce wesół, odparł iż ma się bardzo dobrze, i na to zaczął się śmiać tak głośno i z szczerzego serca, zarówno z radości nad swą wdzięcznie przystrojoną osobą, jak i z miłości, jaką miał dla Merlina i dla króla Artura, iż słyhać było ów śmiech na siedem i pół mili wkoło. Po czym rzekł Gargantua: „Panie Merlinie, nigdy jeszcze człowiek nie zaznał tyle dobra na świecie, ile go mam z waszej łaski, za co wam też dziękuję“.

Jako król Artur wysłał poselstwo do Holendrów i Irlandczyków

Trzeba wam wiedzieć, iż kiedy na jakiego księcia albo wielkiego pana, albo innego człeka przychodzi srogie nieszczęście albo niepomyślna odmiana fortuny, wówczas spada nań nie jedno, ale dziesięć. Tak i z królem Arturem; gdy bowiem toczył wojnę z Gogami i Magogami, Holendrowie i Irlandczycy, którzy byli jego lennikami, zbuntowali się i kiedy król Artur posyłał do nich żądać pieniędzy albo posilków w rycerstwie, czynili zgoła przeciwnie. Dlatego on, ufny w swą dobrą radę i w siłę Gargantui, postanowił wyprawić do nich poselstwo i powiadomić, że mają mu co rychlej wypłacić daninę za pięć lat i wydać miasta i zamki w ręce i że ich król ma się jako jeniec stawić na dworze, aby tam otrzymać zasłużoną sprawiedli-

wość. Ale Irlandczycy i Holendrzy słysząc to poselstwo dworowali sobie jeno z niego i mówili, że takie dwa narody potrafią dać taki odpór, iż król Wielkiej Bretanii nic im nie zrobi; i pod karą więzienia zabronili posłom mówić więcej o królu Arturze.

Jako posłowie zdali sprawę ze swego poselstwa i jako król gotował się do wojny

Posłowie króla Artura, słysząc niedorzeczną odpowiedź Irlandczyków i Holendrów, odплыnęli na morze, udając się do Londynu, gdzie bawił król Artur. Mieli pomyślny wiatr i korzystali zeń dobrze, tak iż niebawem, w poniedziałek rano, przybyli na miejsce. Kiedy król się o tym dowiedział, wezwał ich natychmiast przed swoje oblężenie. Skoro weszli, pokłonili się, jako zwykli byli czynić. Król oddał ukłon i spytał, jakie nowiny przynoszą. Tedy odpowiedzieli posłowie, iż Irlandczycy i Holendrzy objawili się jako nieprzyjaciele i drwią sobie z jego potęgi. Tedy król spytał: „Czy mówiliście im o sile i czynach Gargantui?” Odpowiedzieli, że nie, mimo że dobrze pamiętali o tym; wszelako z przyczyny ich zuchwalstwa nie chcieli ich przestrzegać dla ich korzyści. Król rzekł, iż dobrze uczynili; skończywszy tę rozmowę kazał król zebrać radę, aby się zastanowić nad wojną. Do rady tej wezwano Merlina i wielu innych i postanowiono, że Gargantua weźmie z sobą rycerstwa ile zechce pod swą chorągiew i że Merlin zaprowadzi ich i będzie udzielał rad Gargantui, jak to czynił zwykle.

Jako Merlin oznajmił Gargantui, iż trzeba mu ruszyć w pole przeciw Irlandczykom i Holendrom

Usłyszawszy Merlin postanowienie rady dobrego króla Artura, pospieszył, przejęty chęcią niesienia pomocy swemu panu, do Gargantui i rzekł: „Gargantua, podnieś ręce i złożź przysięgę królowi, iż usłużysz mu w wojnie wszczętej pomiędzy nim a Irlandczykami i Holendrami”. Wówczas Gargantua, który stał od strony słońca, będącego wówczas wysoko, podniósł rękę w całej szerokości w górę, tak iż padł od niej cień na półtoorej mili dokoła, mimo iż słońce stało na samym południu. Kiedy Gargantua złożył przysięgę, prosił Merlina, aby mu dał radę, siły bowiem ma pod dostatkiem; i aby mu w krótkości wskazał robotę, jakiej ma dokonać swą maczugą. Za

czym rzekł Merlin: „Gargantua, trzeba ci wziąć z sobą jeno dwa tysiące ludzi, którzy będą łupić i plądrować wówczas, gdy ty wygrasz bitwę. I wiedz, że masz pojmać do niewoli ich króla, którego przywiedziesz królowi Arturowi, a także co najznacniejszych dworzan; i masz ich trzymać jako jeńców, aż z nich uczynisz podarek królowi Arturowi”. Tedy spytał Gargantua: „W jaki sposób przebędziemy morze?” Odparł Merlin: „Przeprowadzę cię tak samo, jakśmy się przeprawiali, kiedyśmy przybyli z Małej Bretanii do Wielkiej”. I wnet zgromadzono armię i wysłano ją do portu. Po czym Merlin sprowadził wielką czarną chmurę i w jednej chwili przeniosła całe wojsko, z wyjątkiem Merlina, który wrócił na dwór króla Artura. Za czym skoro Gargantua ujrzał ludzi dokoła siebie, wcale nie stracił głowy, ale rzekł: „Moje dzieci, czekajcie tu na mnie w tym miejscu; chcę zobaczyć, czy bramy są dobrze zamknięte, i dowiedzieć się, jak się to miasto nazywa, jesteście bowiem jakoby w zdobyczym kraju”. Za czym Gargantua wziął maczugę na ramię i udał się ku miastu, gdzie spotkał uzbrojonego człowieka, właśnie dosiadającego konia. Tedy spytał go: „Kto jesteś i kto twoim panem?” Tedy rycerz uczynił znak krzyża i rzekł: „Wrogu, urzekam cię”. Za czym Gargantua wziął go i wsadził do swej ładownicy i podażył ku bramom, gdzie zastał mnogo pośledniejszego luda, o który nie dbał i pozwolił im uciec do miasta. Tedy zaparli bramy i zaczęli bić w dzwony, aby zgromadzić całą załogę, która wraz wstąpiła na mury, aby miotać kamienie na Gargantuę. Ale on nie zważał na to i, w ich obliczu usiadł sobie na wałach i spytał, jak się nazywa to miasto i komu przynależy. Za czym odpowiedzieli, iż przynależy królowi Irlandii i zowie się Rebursyna. Tedy spytał Gargantua, czy król jest w mieście; odpowiedzieli, że jest. Za czym Gargantua nakazał, by mu powiedzieli, iż oczekuje go i całej jego potęgi, aby go pokonać i zawieść jako jeńca do króla Artura.

Jako król Irlandii i Holandii wyszedł w pole z pięcioma tysiącami rycerstwa, aby walczyć przeciw Gargantui

Gdy tak mówił Gargantua do mieszkańców, król irlandzki wyszedł tajemną bramą z pięcioma tysiącami dobrze uzbrojonych ludzi i zbliżyli się, aby napaść Gargantuę, który siedział na wałach. Kiedy Gargantua ujrzał ich sunących przeciw niemu, okroczywszy wał wstąpił do wnętrza i zaczął silnie pyskować i dworować sobie,

że jest ich tak niewiele. Za czym patrzyli nań wszyscy i powiadali, że to diabeł, głębowiem rozwartą miał na cztery morgi.

Po czym wszyscy zaczęli prać z kusz i łuków na Gargantua. Zasię ów, widząc to zuchwalstwo, wyszedł lekko zza wału i nie ruszając nawet swej maczugi brał ich gołymi rękami i ładował nimi całe siedzenie swoich pludrów. Część także wpakował do rękawów i następnie wrócił do swoich, którzy czekali go na brzegu morza, i oddał im jeńców do pilnowania, z czego byli bardzo kontenci, iż hetman ich Gargantua miał taki piękny połów.

Jako Gargantua spytał jeńców, czy ich król jest między nimi

Kiedy Gargantua wrócił z potyczki spod Rebursyny, która była stołecznym miastem królestwa, i kiedy przyniósł mnogo jeńców pochwyconych w rękawy i pludry, kazał ich policzyć swoim ludziom i okazało się, że jest trzy tysiące i dziewięć, i jeszcze jeden, który zginął od wiatru, kiedy Gargantua pierdnął w pludry. I miał biedny jeniec głowę całkowicie rozłupaną i mózg rozprysnięty od tego wystrzału, pierdział bowiem tak krzepko, iż wiatrem, który wychodził z jego ciała, przewracał trzy wozy siana, a jedną bździną obracał cztery wiatraki. Owo zostawmy to pierdnięcie i nieboszczyka i wróćmy do owych trzech tysięcy i dziewięciu, których Gargantua przeliczył i tak wybadywał: „Owo moi jeńcy, jeżeli chcecie ocalić życie, powiedzcie, czy wasz król jest tu w kompanii. Za czym rzekli, że nie i że wymknął się małą uliczką i schronił się do niskiego domku niedaleko rzeki.

Jako Gargantua postanowił przypuścić szturm do miasta i jako przyszło do zawarcia rozejmu

Nazajutrz o świcie Gargantua gotował się przypuścić szturm do miasta silniejszy niż wprzód. Aby wiedzieć, czy król wynijdzie z murów jak za pierwszym razem, kazał swoim ludziom, aby strzegli dobrze jeńców, po czym chwycił maczugę za rękojeść i przystanął sobie, wsparty na łokciu o mury. Kiedy mieszkańcy go spostrzegli, poszli oznajmić królowi. Król wyprawił poselstwo z prośbą o dwutygodniowy rozejm; zarazem oznajmił, iż wyśle mu z miasta parę okrętów naładowanych świeżymi śledziami i dwieście beczek makreli i musztardy na zaprawę do smaku. Na co zgodził się Gargantua pod warunkiem, że król przygotowuje armię w ciągu dwóch ty-

godni i że sam weźmie udział w bitwie z całą swą potęgą. Pakt zawarto i przedłożono Gargantui, który go przyjął. Widząc się Gargantua tak dobrze zaprowiantowanym w rybę, posłał swoim ludziom tylko jeden okręt ze świeżym śledziem i dwiema beczkami musztardy. I podano resztę do jego stołu przed bramami miasta pewnego poniedziałku, na zakąskę, między szóstą a siódmą rano. Pośniadawszy uczuł Gargantua chęć do spania i odalił się o ćwierć mili od miasta do dolinki, w której ułożył się do snu. Niektórzy donieśli o tym; za czym Rada uchwaliła, aby król na czele mieszkańców wyruszył i zabił uśpionego. I kiedy znaleźli się na miejscu, gdzie Gargantua spał, mniemali, iż weszli w dolinę, tymczasem wpadli mu do głowy, spał bowiem z otwartą głową; zęby zaś jego wzięli za wielkie skały nad rzeką. Tak iż wpadło mu w gardziel dwa tysiące dziewięćset czterdzieści trzy ludzi całkowicie uzbrojonych i z piką w garści. I kiedy Gargantua się obudził, uczuł wielkie pragnienie z przyczyny solonych makreli, które był zjadł; i poszedł ku rzece, aby się napić, i pił tyle, aż wypił rzekę do sucha. Za czym owi biedni mieszkańcy, którzy wpadli do jego paszczy, potopili się z wyjątkiem trzech, którzy wpadli do wydrążonego zęba i polecili się Bogu, mając wiarę i ufność, że on jeden, nie kto inny, zdoła ich ocalić.

Jako król Irlandii i Holandii przygotowuje się i zbiera wojsko, aby stawić czoło Gargantui

Widząc królowie Holandii i Irlandii, że niedługo kończy się rozejm, kazali zwołać z całej Holandii i Irlandii wszystkie załogi i rezerwy do wiernej stolicy; iż mają się stawić trzeciego dnia najbliższego miesiąca i aby każdy przysposobił się, jak może najlepiej, do obrony. I tyle sprawił król, iż w niedługim czasie miał na dworze dwieście tysięcy ludzi dobrze uzbrojonych i zaopatrzonych we wszystko potrzebne w rzemiośle wojennym. I kiedy król ujrzał się w tak dobrej kompanii i tak dobrze opatrzonej we wszystko z wyjątkiem artylerii (w owym bowiem czasie nie było jeszcze artylerii), nakazał przez herolda Gargantui, który zabawiał się ze swymi ludźmi nad brzegiem morza, aby przyszedł do bitwy i że król czeka go w pięknej kompanii, i że jeśli nie przyjdzie rychło, wówczas król sam go poszuka. Za czym Gargantua ucieszył się bardzo i rzekł heroldowi, aby się król nie trudził i że ujrzy go rychlej, niż sam pragnie; i z tym odszedł herold. Potem powiedział swoim ludziom Gargantua, iż kiedy zatrąbi, mają przyjść na rabunek. Tedy ruszył Gargantua ku

temu wojsku z wielką maczugą na ramieniu; i kiedy podszedł bliżej, ujrzał, iż cała równina jest pełna; i pozostawiali różne pułapki, aby się przewrócił. Wszelako podszedł ku nim bardzo blisko; tedy oni wypuścili nań tyle strzał, iż nie wiedział, kędy się obrócić. Za czym ujął maczugę w dwie ręce i zawinał nią wkoło tak krzepko, jako czyni lew, kiedy porywa zdobycz. I w krótkim czasie zabił ich sto tysięcy dwieście i dziesięć co do jednego, i dwudziestu, którzy pod innymi udawali zabitych, w środku zaś armii był król i pięćdziesięciu wielkich panów z jego dworu, którzy wołali o zmiłowanie. Wówczas Gargantua spytał: „Ktoście zacz?” i odpowiedzieli, że to król i baronowie tego kraju. Za czym nakazał Gargantua, aby się nie ruszali z miejsca, jako że chce ich oddać królowi Arturowi związanych jako jeńców, aby sobie począł z nimi wedle woli. Za czym jął Gargantua świstać w palce na ludzi, którzy byli na brzegu morza, o trzy małe milki stamtąd. Tedy natychmiast, skoro usłyszeli, iż hetman ich Gargantua gwiżdże w dłonie, niezwłocznie pobiegli ku niemu, wiedzieli dobrze bowiem, że wzywa ich dla grabieży tych, co polegli. I kiedy przybyli i wszystko złupili do ostatka, Gargantua pojmał pięćdziesięciu jeńców i wsadził ich sobie do spróchniałego zęba. A był w tym pustym zębie plac do gry w piłkę dla uciechy jeńców; króla zaś wsadził do ładownicy. Po czym przybyli nad morze, gdzie znaleźli pana Merlina oczekującego ich przybycia. Za czym Merlin uczynił czary, jako miał obyczaj, i wraz znaleźli się wszyscy na dworze króla Artura, gdzie Gargantua uczynił podarek szlachetnemu królowi Arturowi z owych jeńców. I byli przy tym obecni wszyscy baronowie króla Artura, którzy bardzo się ucieszyli i świadczyli mu wielką cześć i poważanie i wychwalali siłę i potęgę Gargantui.

Jako Gargantua wsadził olbrzyma do torby

Kiedy Gargantua i Merlin, i całe wojsko przybyli na dwór króla Artura i przynieśli mu jeńców, rozeszła się wiadomość po całym mieście, że znalazł się olbrzym, który ma dwadzieścia i dwa łokcie wysokości i potyka się po stronie Gogów i Magogów. Który olbrzym wszędzie, kędy przechodził, pustoszył cały kraj i przepytywał nowin o Gargantue, mówiąc, że chce walczyć przeciw niemu i pomścić rzeź, jakiej się dopuścił na Gogach i Magogach. I powstał o tym hałas tak znaczny, iż doszedł uszu Gargantui, który rad był słyszeć o jego sile i rzekł, iż jeśli ten olbrzym zechce wstąpić w służbę króla Artura, odda mu połowę zasług, jakie ma u króla Artura. Za czym

Gargantua wziął maczugę i poszedł patrzeć, gdzie jest ów olbrzym, który był tylko o pięć mil od Londynu, gdzie oblegał pewien zamek i już był zniszczył całą wioskę. Za czym Gargantua zoczywszy pozdrowił go, ów zaś olbrzym popatrzył nań i rzekł: „Tyś jest, którego szukam; nigdy już nie powrócisz tam, skąd wędrujesz, teraz bowiem pomszczone będą Gogi i Magogi“. Za czym olbrzym, który miał krótki wzrok, wziął wielką drewnianą maczugę i chcąc ugodzić Gargantue uderzył wielki dąb. Wówczas Gargantua chwycił go i zgiał mu krzyże w taki sposób, jakby ktoś zgiał tuzin zapinek do pludrów, i wsadził go do torby, i zaniósł nieżywego na dwór króla Artura.

Kiedy król Artur dowiedział się o jego przybyciu, wyszedł naprzeciw otoczony baronami i rycerstwem i podjęli go bardzo uczciwie. I rzekł mu król Artur, że jeśli chce pozostać przy nim, będzie mu bardzo rad. Wówczas Gargantua rzekł, że wdzięczny jest bardzo za dobro, jakie mu świadczy, ale pragnie wrócić do kraju, w którym się urodził i gdzie pomarli jego rodzice. Za czym król Artur popadł w wielką żalosość, kiedy poznał, iż trzeba im się rozstać. Mimo to dał mu około pięciuset dukatów angielskich. I rzekł, aby wziął sobie wszystko, co mu się spodoba. Ale Gargantua nie chciał przyjąć orszaku; lękał się bowiem mitręgi. I udał się sam jeden do Normandii i podążył prosto do Ogi, słyszał był bowiem o jableczniku przednim w owym kraju. I przybył do św. Barby w Odze, gdzie wypił tysiąc pięćset wiader jablecznika, zdał mu się bowiem bardzo smaczny. Ale pożałował tego później, jablecznik bowiem zaczął mu robić i burzyć w brzuchu, tak iż nie wiedział, co począć; jeno biegał na stronę i tarł się po brzuchu. I kiedy przyszedł do Baji, trzeba było mu opuścić pludry martyngalskiego kroju. I załatwił się tak szczerze, że całe miasto zalał owym jablecznikiem, który był wypił, tak iż do dziś jeszcze ulice nie są całkiem czyste. Owo wyczyściwszy się w ten sposób Gargantua poszedł prosto do Ruły, w którym miejscu wypił statecznie sto pięćdziesiąt beczulek piwa. I to piwo znalazłszy się w nadmiernej ilości w jego brzuchu, zaczęło burzyć w nim nie mniej i nie gorzej jak wprzód ów jablecznik. Z czego jego biedny brzusek był bardzo chory. I znowu musiał Gargantua rozpiąć martyngalę u pludrów. I biedny jego zadeczek popuścił wszystko z tak wielką i przeraźliwą gwałtownością, iż powstała rzeczka, którą do dziś dnia nazywają Robek. I jeszcze dziś toczy ona rzadkie łajno. Wszelako oddał im tym Gargantua wielką przysługę. Z tej bowiem przyczyny, iż wypił tyle jablecznika i piwa, rzeka była bardzo sposobna do wyrabiania piwa. I zaczęto wyrabiać smaczne piwko, tegie i pienne, z przyczyny pocho-

dzenia onej lajnorodnej wody. Uczuwszy się tedy tak bardzo chorym nie wiedział Gargantua, co począć. Z drugiej strony owi Rueńczycy mieli wielkiego stracha, aby w ten sposób wszystkich nie potopił. I znalazł się jeden, który ośmielił się doń przemówić w ten sposób: „Panie, jesteście w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i wy, i my wraz, jeśli nie zaradzicie zawczasu“. — „Jakże to?“ — spytał Gargantua. „Panie — odparł tamten — dlatego popadliście w taką chorobę, iż nie macie zwyczaju pić wina. Trzeba wam iść do Roszeli i tam wziąć ciepłego chleba i umoczyć w winie. A potem go zjeść i wypić wina, ile zdołacie, a ręczę, że was to skrzepi“. Jakże to? — spytał Gargantua — a tu nie macie wina?“ — „Nie — panie, w tej chwili nie. A przy tym panowie mieszczenie chowają je, aby sobie sporządzać polewkę na rano, grozi bowiem niebezpieczeństwo zarazy w mieście z przyczyny cuchnienia waszej biegunki“. Za czym biedny chory Gargantua podążył prosto do Roszeli i udał się do miasta. Kiedy mieszkańcy go ujrzeli, przelekli się wielce i wyszli naprzeciw niemu pytając, czego by żądał. Wówczas rzekł: „Proszę was, byście mi przynieśli pięćset dobrze ciepłych chlebków, ważących po dwadzieścia i sześć funtów, żeby były pięknie białe, i przynieście mi je tu na miejsce, gdzie jest wino, albo inaczej rozwałę wszystkim głowy i zburzę wasz port i mury.“ Za czym owi odpowiedzieli: „Panie, rozkaz wasz spełniony będzie natychmiast“. Tedy wszyscy, jedni przez drugich, zaczęli jedni nosić drwa, drudzy rozpalać piec, inni miesić ciasto. Tak iż wnet uczynili dwa tysiące i pięćset chlebow, strachali się bowiem, aby Gargantua zjadłszy owe pięćset chlebow nie był jeszcze niesyty. Za czym udali się doń i wręczyli, czego żądał. Tedy Gargantua odbił tyleż beczulek pełnych wina. I w każdą beczulkę zanurzył chlebuś jeszcze ciepły. Następnie zaczął z jednego końca i wziął beczulkę i wypróżnił wraz chleb i wino do swej gardzieli. Później inne po kolei. Tak iż wypił tych pięćset beczulek i połknął pięćset chlebow, ni mniej, ni więcej, jak wy byście połknęli centową bułkę rozmoczoną w garnuszkę wina. Tak się skrzepiwszy tą zupką usnął koło innych beczulek. Skoro usnął, przychodzili wielką procesją go oglądać; i zdawał się patrzącym nie człowiekiem, ale górą. Gębę miał otwartą i z gardzieli wychodziła para jakoby z czeluści. I spał tak czterdzieści i cztery dni. Gdy tak trwał, przybyło wiele statków, które przyplęły po wino i zboże. Między innymi był jeden z Bretonami, a drugi z Gaskończykami, i podeszli bliżej, aby ujrzeć tego nadprzyrodzonego człowieka. I krążąc, i kołując dookoła, ujrzeli jego ładownicę i jęli się koło niej kręcić. I póty majstrowali moi Bretonowie i Gaskończycy, aż wreszcie

otwarli ją i wleźli do środka. I tak długo plądrowali, aż znaleźli w jednej taszce pięćset tysięcy dukatów angielskich, które król Artur dał mu przy wyjeździe. Owo Bretonowie i Gaskończycy namówili się wraz w taki sposób, iż jednej nocy wypróżnili mu taszkę. I znalazł się jeden Gaskończyk najprzebieglejszy ze wszystkich; ten znalazł taszkę, w której był złoty dzwonek ważący sto i sześć dziesiątych funtów bretońskich, a był to dzwonek dany od czarnoksiężnika Merlina. I naradzali się, w jaki sposób mogliby go dostać; owo umyślili zabrać go nazajutrz rano. I zeszli się wszyscy Gaskończycy i Bretonowie, ale bardzo się oszukali. Bowiem Gargantua przespał już był czterdzieści i cztery dni i dwie godziny; za czym obudził się i znalazł ich w torbie. Tedy całe jeszcze zaspany, wziął ich i wpakował wszystkich wraz do swego saczka, aby się dowiedzieć, po co tam przyszli. A było ich nie mniej niż pięćset Bretonów a trzystu Gaskonów. Kiedy się uczuli tak przychwyceni, rzekli jedni do drugich, iż zgubieni są ze wszystkim, dławili ich bowiem zaduch piwa i jablecznika. I jeden z nich, który pochodził z Tuluzy, rzekł: „Panowie, polećmy się Bogu, który wycierpiał śmierć i mękę za cały rodzaj ludzki; to nam pewnie wyjdzie na dobre“. Wówczas przyłączyli się doń i wzniesli modlitwę do Boga, aby ich zechciał ocalić z tego smrodu i użyczył łaski, by się wydostali z owego rozporka. Wtedy Gargantua zajął do taszki i znalazł, iż nie ma w niej ani okruszyny i że wykradziono mu angielskie dukaty, czym bardzo się zmartwił. Za czym wyciągnął ich z rozporka i znalazł dwóch, którzy udusili się w pobliżu otworu w zadku i byli już wpół umarli, kiedy tamci polecali się Bogu. Tedy Gargantua rzekł: „Jeśli mi nie ukażecie skarbu, któryście ukradli, zagładzę wszystkich“. Za czym rzekł Tuluzanńczyk: „Panie, prawda jest, żeśmy tu przybyli w dwa okręty, jeden Bretonów, drugi Gaskonów; ale mniemaliśmy, iż jesteście nieżywy. Dlatego zakrzętnęliśmy się około sukcesji. Przebaczą nam, jako chcesz, aby Bóg ci przebaczył, a oddamy wszystko. I chcemy być na twoje usługi i iść wszędzie, dokąd zechcesz, by nawet do piekła. Za czym Gargantua pomyślał, iż byłoby dobrze zanieść ich do swego kraju, iżby mu szukali bogactw jego ojca. I rzekł do nich: „Idźcież szukać moich dukatów, a żwawo“. Za czym odeszli z wielką radością szukać owego łupu. I przynieśli go do Gargantui. Tedy rzekł, iż chce wracać do kraju i że lekarstwo dobrze mu poskutkowało. I rzekł rajcom owego miasta, aby przynieśli tysiąc chlebow na zapas na drogę; które dano mu natychmiast, i wziął także tysiąc barylek wina, i wszystko wsadził do taszki w ładownicę, a trzystu owych Gaskończyków do drugiej. I tak opuścił Roszelę. I siedł

przez morze, aż zaszedł pięć mil poza wszystkie wielkie morza i ujrzał górę największą, jaką kiedykolwiek widziano. Wówczas pomyślał, że to jest ta, którą uczynił jego ojciec i gdzie on sam się urodził. Tedy wyszedł na ląd i ujrzał kraj piękny i żyzny. Za czym wypuścił więźniów, aby zaczęli szukać dokoła skał, i póty szperali, aż znaleźli wielkie miasto w dolinie między dwiema górami. Tedy wrócili do Gargantui, który odpoczywał, zmęczony był bowiem uczyniwszy taki kęs drogi i z takim ciężarem w ładownicy. Tedy oznajmili mu nowiny, z których był bardzo rad. I rzekł do nich: „Panowie, wszystkich was porobię bogaczami; teraz z tego, co mamy, sporządzimy wesołą ucztę“. I jęli krzepić się dobrym winem, zakąsając obficie szynką, którą Gaskoni przynieśli z sobą. I jedli i pili tak dobrze, iż nie zostało im nic chleba ani wina. Po czym Gargantua rzekł: „Panowie, idę do miasta zobaczyć, co tu są za ludzie. Trzymajcie się nieco na uboczu z kuszami i gdyby się ktoś chciał wymknąć, nie przepuszczajcie go. Damy sobie radę, bądźcie pewni“. Za czym Gargantua udał się prosto do miasta i ujrzał z dala wielką zgrają olbrzymów wysokich na dwadzieścia i pięć łokci i grubych w teje proporcji. I przybyli tu z całego kraju, aby oddać hołd córce swego króla, którego zabili i zjedli Tatarzyni i Kanibale, spustoszywszy wprzód cały kraj. Za czym Gargantua podszedł ku nim, mając na ramieniu drzewo pewnie na pięćset stóp długie, i rzekł: „Niech Bóg was strzeże, moje piękne dziatki. Czyi jesteście?“ — „Czyżby? — odparł jeden, imieniem Molandyn: — Badebeki córki króla Miolandu. Owże poległ w bitwie, zgłodzony przez Kanibalów i Tatarzynów, którzy przychodzą tu w trzysta tysięcy ludu dwa razy do roku“. — Ha! pasibrzuchy! — rzekł Gargantua. — Pozwoliliście odejść tym, którzy zabili waszego pana. Jak wierzę w mojego Boga, pożałujecie tego“. Za czym podniósł maczugę i ugodził jednego z nich tak krzepko, że rozbił go w sztuki. Wówczas wódz ich, imieniem Łupcup, krzyknął tak głośno, że słyhać go było w całym mieście. Za czym wszystko w mieście chwyciło za broń, a pierwsi przybyli olbrzymi, których było pięć tysięcy trzysta dwadzieścia i jeden. Ale Gargantua był roztropny i ostrożny i cofnął się nieco w tył, aby musieli pójść za nim. Za czym podszedł ich rotmistrz Łupcup mniemając, iż pomści się na Gargantui, ale się bardzo oszukał. Bowiem Gargantua obrócił się z nagłą i swą wielką maczugą, zadał Łupcupowi taki raz, iż starł go tak, jak gdyby kamień młyński spadł na małego ptaszka. Potem ruszył na innych i sprawił taką rzeźbę, iż zostało ich jeno stu, którzy zaczęli uciekać popod skały i przeszli po biednych Gaskonach, tak iż na nic nie zdały się im kusze. Kiedy

mieszkańcy ujrzeni to wielkie lanie, przelekli się bardzo. I rzekli, iż lepiej poddać się mu, niż się tak dać wyzabijać. Za czym podeszli doń oddając klucze. Ale nie chciał ich przyjąć. I rzekł, iż chce widzieć Badebekę, córkę króla Miolanda. Za czym zawiedli go do zamku, gdzie mieszkała. Kiedy Badebek go ujrzała, ulękła się bardzo i chciała uciekać. Ale Gargantua rzekł, aby się nie obawiała i że chce oddać jej swoje służby. I rzekł: „Mimo iż jest to kraj, z którego pochodzę, chcę, abyś została w nim królową. A jeśli taka twoja wola, będziesz moją żoną. I uwolnię ten kraj od Kanibalów i Tatarzynów“. Wówczas Badebek i mieszkańcy wielce się ucieszyli, iż mają takiego rycerza dla obrony. Za czym uczyniono gody w wielkim weselu, tak iż w życiu nie widziano czegoś podobnego. I cudnie było widzieć Gargantua i Badebek razem. Miała ona bowiem dobrych dwadzieścia i dziewięć łokci wysokości. Nosła pierś odsłoniętą nie więcej niż na sążeń i wielka była uciecha widzieć, jak się śmieje. Gargantua żył pięćset i jeden lat i prowadził wielkie wojny. o których zmilczę na teraz. I miał z małżonki Badebeki syna, który dokazał tyluż dziwów co Gargantua. Co możecie poznać z prawdziwej kroniki, której mała część jest wytłoczona. I któregoś dnia, gdy panowie z księgarni św. Wiktora pozwolą, wypisze się z nich resztę czynów Gargantui i syna jego Pantagruela.

FINIS

Następuje skorowidz tej pierwszej historii i kroniki Gargantui. I po pierwsze:

Jako Merlin z przyczyny wielkich cudów, które czynił, nazwany był królem Czarnoksiężników. Jako Merlin poprosił o pozwolenie udania się na wschód, aby uczynić Tęgospusta i Galmelę, którzy byli ojcem i matką Gargantui.

Jako Merlin uczynił wielką kobyłę, aby nosiła ojca i matkę Gargantui.

Jako Tęgospust i Galmela, i Gargantua wybrali się szukać Merlina i jako wielka kobyła powaliła lasy w Szampanii i Bossie, opędzając się ogonem.

Jako Gargantua wraz z ojcem i matką przybyli wraz do portu morskiego koło góry św. Michała i co wypłacali im Bretonowie.

Jako Bretonowie dali Gargantui i jego rodzicom siła krów i ciał za psotę, którą im wyrządzili.

Jako ojciec i matka Garagantui pomarli i jaką żalobę po nich nosił biedny Gargantua.

Jako Gargantua wrócił na dwór króla Artura i uczynił mu dar z pojmanych królów Holandii i Irlandii.

Jako Gargantua ruszył walczyć przeciw olbrzymowi. I jako ów Gargantua złamał mu krzyże i włożył go do ładownicy.

Na tym kończą się kroniki wielkiego i potężnego olbrzyma Gargantui, opisujące jego genealogię, wielkość i siłę jego ciała. Także cudowne dzieła wojenne, jakie uczynił dla szlachetnego króla Artura, tak przeciw Gogom i Magogom jak przeciw królowi Irlandii i Holandii. Także i cudów Merlina. Świeżo wytłoczone w Lyonie 1533.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO



PRZYPISY

Str. 5, w. 12. W oryg. *Nature quitte*, być może anagram nazwiska Jean Tarquet, w którym niektórzy komentatorowie dopatrują się wydawcy tej książki, ogłoszonej w 2 lata po śmierci Rabelais'go (Patrz: *Od tłumacza*).

Str. 8, w. 17. Aluzja do nauki Dunsza Scota, wielokrotnie już przez Rabelais'go zaczepianej.

Str. 9, w. 5. Starożytni wierzyli, iż kwiat bobu sprowadza pomieszczenie zmysłów.

Str. 9, w. 24. Pitagoras.

Str. 9, w. 29. „Skrzydło złe, kuper niepewny, szyjka dobra po zdjęciu skóry“.

Str. 10, w. 23. Kolinet, prawdopodobnie Jacques Collin, lektor i sekretarz Franciszka I; Marot, znany poeta; Drouet biskup z Digne i poeta; Saingelais, autor wierszowanej przepowiedni z książki I etc.

Str. 11, w. 21. Matuzalem.

Str. 11, w. 25. Ustęp ten znamienity jest dla rodzącego się w owej epoce we wszystkich krajach piśmiennictwa ojczystego przeciwstawiającego się średniowiecznej łacinie. Por. polskie: „że Polacy nie gęsi, że swój język mają“.

Str. 11, w. 33. Pliniusz nazywa Pyzejkusa „ryparografem“, czyli malarzem rzeczy pospolitych.

Str. 12, Rozdz. I. Ten i następne rozdziały są oczywistą i dość grubą satyrą wymierzoną w życie zakonne i w ogóle w kler.

Str. 13, w. 2. Na północ od Sycylii.

Str. 13, w. 16. Glenay, wioska koło Chinon, rodzinnego miejsca autora.

Str. 15, w. 3. Nyktimena = sowa; Prokne = jaskółka; Itys = bażant; Alkmene zmieniona w kamień; Antygona, córka Laomedona zmieniona w bociana.

Str. 15, w. 17. Owidiusz, *Metam.* XV, 356.

Str. 15, w. 19. Kościoły i klasztory.

Str. 16, w. 2. Franciszkanie i dominikanie.

Str. 16, w. 15. Papagos = papież.

Str. 16, w. 23. Takie było mniemanie starożytnych.

Str. 16, w. 29. Aluzje do wielkiej schizmy z r. 1380, gdy równocześnie zasiadał na tronie papieskim Urban VI i rzekomy Klemens VII.

Str. 17, w. 27. Zakon minorytów, założony w r. 1435.

Str. 17, w. 28. Robert Valbrinque, słynny żeglarz i podróżnik, który w r. 1540 odkrył Kanadę.

Str. 17, w. 30. Zakon kapucynów, założony w r. 1526, a zatwierdzony przez Pawła III w r. 1535.

Str. 18, w. 15. Cały ten ustęp jest niewątpliwie gorzkim wspomnieniem własnych przeżyć Rabelais'go, wtrąconego bez powołania za kratę zakonną.

Str. 18, w. 31. Komeżka i tonsura.

Str. 19, w. 2. Dziękczynne modły.

Str. 19, w. 16. Dosł. = „niepewni“.

Str. 19, w. 31. Prawdopodobnie aluzja do odpadnięcia Anglii od Kościoła.

Str. 19, w. 34. Francuskie przysłowie: *jeter le froc aux orties*, oznaczające porzucenie habitu.

Str. 20, w. 3. Komtury Zakonu Maltańskiego.

Str. 20, w. 9. Krzyż rycerzy maltańskich.

Str. 20, w. 16. tj. półmniczy, półrycerze.

Str. 20, w. 19. tj. nie odprawiają mszy.

Str. 20, w. 28. Zakon Rycerzy Podwiązki, który wówczas już się był umknął władzy papieża.

Str. 21, w. 1. Parodia dewizy: *Honny soit qui mal y pense*.

Str. 21, w. 3. Francuscy rycerze św. Michała, których godło przedstawia zwycięstwo nad szatanem. „Runo baranie“ = Order Złotego Runa.

Str. 21, w. 13. Kraje reformowane.

Str. 24, w. 22. Braciszkwowie odprawiający nowicjat.

Str. 28, w. 14. Pliniusz podaje, iż lewa noga kameleona spalona w piecu wraz z rośliną tej samej nazwy i utarta na masę, czyni posiadacza jej niewidzialnym.

Str. 28, w. 22. Aluzja do „nepotów“ papieskich, którzy zostawali kardynałami czasem w wieku piętnastu lub szesnastu lat.

Str. 28, w. 30. Dzwon ekskomunikacyjny, w który dzwoniło, ilekroć papież rzucał na kogo klątwę.

Str. 29, w. 12. tj. papieża.

Str. 29, w. 21. Szufłagan — sufragan; Onokrotale, zamiast *protonotari*.

Str. 32, w. 12. Strofady, wyspy zamieszkałe przez harpie, na Morzu Jońskim.

Str. 33, w. 18. We Florencji znajduje się najstarszy manuskrypt Pandektów.

Str. 33, w. 27. Kapelusze i czapeczki duchowne.

Str. 33. Rozdz. XI. Ten i następne rozdziały zawierają krwawą inwektywę przeciw ówczesnemu wymiarowi sprawiedliwości, zwłaszcza *Wielkiej Izbie (la Tournelle)* i *Izbie ognistej (Chambre ardente)*.

Str. 34, w. 4. *Spasne koty*, w oryg. właściwie raczej „futrem okryte“, są to rajcy i prezydenci trybunałów, odziani w płaszcze podbite gronostajem.

Str. 34, w. 18. Więzienie zwane *Conciergerie*.

Str. 34, w. 29. Ukuty superlatyw od *Kwintesencji*.

Str. 37. Rozdz. XII. Aluzja do procedury trybunału inkwizycyjnego, wedle której oskarżony musiał odgadnąć miano swej zbrodni i oskarżyciela.

Str. 37, w. 29. Nieustannie powtarzane przysłowie Pazdura brzmi w oryginale *or ça* i zawiera w swym dwuznaczniku niepodobną do przetłumaczenia aluzję do przekupstwa trybunału (*or-złoto*).

Str. 47, w. 1. *Apedefci*, z greckiego „nieświadomi, nieuczeni“ Urzędnicy izb rachunkowych byli to jeno prości kalkulatorzy, bez wykształcenia, które uważano w urzędzie za zbyt uczte a nawet szkodliwe do dobrego sprawowania ich funkcji. Satyra ta, wymierzona przeciw łupiestwu ówczesnego systemu podatkowego jest jak i inne w tej ostatniej księdze, dość ciężka i pedantyczna, nie zdradzająca w niczym wspaniałego humoru i werwy Rabelais'go z pierwszych ksiąg.

Str. 48, w. 7. Rozmaite biura urzędów podatkowych.

Str. 48, w. 17. Beczka na wino.

Str. 49, w. 10. Podatnik.

Str. 49, w. 12. Dziesięcina kleru.

Str. 50, w. 12. Istniał osobny *trésorier des menus plaisirs du Roi*.

Str. 52, w. 20. W oryg. *passer outre*, nieprzetłumaczalny dwuznacznik, bez głębszego zresztą znaczenia.

Str. 55, w. 24. Terminy alchemiczne.

Str. 56, w. 33. Geber, słynny chemik z końca VIII wieku, który molił się nad sztuką fabrykowania złota.

Str. 57, w. 7. *Entelechia*, wedle Arystotelesa skończona doskonałość formy, „absolut“.

Str. 57, w. 11. *Mateotechia* = zatoka sztuk czezych i bezpożytecznych.

Str. 57, w. 30. Przysł. franc.: *fier comme un Ecossais*.

Str. 58, w. 5 i nast. Teodor Gaza z Tesaloniki, tłumacz Arystotelesa i Teofrasta; Anygrofilos, uczony i tłumacz Arystotelesa we Florencji i Rzymie w XV w.; Bessarion, patriarcha Konstantynopola, platonik w XV w.; Budeus (Budée), patrz *Od tłumacza*; Laskaris, bibliotekarz Franciszka I, przyjaciel Rabelais'go.

Str. 58, w. 8. Nazwiska współczesnych uczonych.

Str. 59, w. 11. Po francusku *chanson*, *piosenka*, używa się też i w znaczeniu „bredzenia”. Rozdziały te stanowią satyrę na subtelność filozofii scholastycznej, niejednokrotnie branej za cel drwinek już w poprzednich księgach.

Str. 59, w. 13. Liczone od Arystotelesa, jej chrzestnego ojca.

Str. 59, w. 19. Podczas koronacji królowie dotykali rękami chorych, lecząc, wedle wierzenia ludu, w ten sposób skrofuły.

Str. 59, w. 27. i nast. Nazwy tych fantastycznych urzędów są po największej części pochodzenia hebrajskiego.

Str. 61, w. 16. Wzorem dawnych laboratoriów czarnoksięskich.

Str. 61, w. 19. Amaltea.

Str. 61, w. 31. Lekarstwo uniwersalne na wszystkie choroby.

Str. 62, w. 8. i nast. Starożytne tańce Greków.

Str. 62, w. 26. Przysłowiowe wyrażenie na surowy i bezwzględny wymiar sprawiedliwości; od króla Tenesa.

Str. 63, w. 5. Czyli brak pieniędzy, przez aluzję do surowych słów ubóstwa mnichów tego zakonu.

Str. 63, w. 12. Mleko ośle, zalecane przeciw suchotom.

Str. 65, w. 26. tj. odejmując sobie od ust, skąpiąc.

Str. 66, w. 1. Komedia *Chmury*, w 144.

Str. 67, w. 16. *Humor radicalis*, termin średniowiecznej fizjologii, rzekome źródło życia.

Str. 68, w. 4. Słynny smakosz rzymski za Augusta, autor dzieła o sztuce kucharskiej.

Str. 69, w. 2. Turniej ów nie jest czym innym, jeno grą w szachy, która jako czysty abstrakcyjny wysilek władz umysłowych, musiał być ulubionym ćwiczeniem na dworze Pani Kwinty-Esencji. Pomysł rozgrywania partii szachów za pomocą żywych osób datuje jeszcze z odległych czasów Chin.

Str. 77. Rozdz. XXVI. Rozdział ten naszpikowany jest w oryginale niepodobnymi do przełożenia kalamburami i aluzjami lokalnymi, zresztą zupełnie nieinteresującymi.

Str. 79. Rozdz. XXVII. Satyra na mnichów, tak nazwanych od drewnianych chodaków i buczenia godzinek.

Str. 79, w. 25. *Servi S. Mariae*, założeni w r. 1232.

Str. 80, w. 7. Aby móc stąpać nie zostawiając śladów.

Str. 80, w. 15. Jako symbol obludy, w myśl włoskiego przysłowia: miód w ustach a brzytwa za pasem.

Str. 83, w. 23. Czyli marmur z Paros.

Str. 84, w. 9. Rozdział ten wyszydza dyscyplinę mnichów, nakazującą im milczenie.

Str. 90, w. 2. Trędowaci mieli opinię szczególniejszej jurności.

Str. 94. Rozdz. XXX. Zdaje się, że w tym rozdziale Rabelais'go drwi sobie z baśni podróżniczych, których w owej epoce gorączki odkrywczej mnóstwo musiało być w obiegu.

Str. 99, w. 10. Pierre Gilles (1490—1650) filozof, przyrodnik i podróżnik.

Str. 99, w. 17. Ziele, którego dotknięcie miało przywracać postradaną miłość.

Str. 100, w. 16. Beroz, Chaldejczyk, który napisał dzieło o chaldejskich i babilońskich starożytnościach; Melam, hiszpański geograf.

Str. 100, w. 17 i nast. Albert, generalny wikariusz dominikanów. Peter Anglerius, autor historii odkryć; Pius II Piccolomini (1405—1465); Wolateranus, Raffael Maffei (1456—1521) tłumacz Ksenofonta; Paulo Jovio, lekarz i biskup z Nocery (1486—1551), jako historyk bardzo niepewny i kłamliwy; Chaiton, książę armeński, w XIV w.; Marco Paulo, podróżnik w XIII wieku; Ludovico, patrycjusz rzymski, który zwiedził Wschód; Alvarez, odkrywca Brazylii.

Str. 100, w. 25. Mieszkańcy okolic Perche, Maine i Normandii z dawna osławieni byli z przedajności świadectwa.

Str. 102, w. 6. Kleantes, filozof, uczeń Zenona. „Latarnia Kleanthesa” stała się symbolem naukowej ścisłości.

Str. 102, w. 34. *Luminare apothecariorum*, kompendium aptekarskie, wydane w r. 1492 w Turynie.

Str. 103, w. 5 i nast. Łatwo się domyślić sensu tych z gruba sprostych aluzji.

Str. 104, w. 1. W Suresnes, w parku królewskim, mieściły się najwspanialsze oranżerie.

Str. 105, w. 23. Chinon, rodzinne miasteczko Rabelais'go, któremu wielokrotnie poświęca w swym dziele pełne miłości wspomnienie.

Str. 112, w. 7. Pasma gór i miasto w Lakonii, w którego okolicy, wedle mniemania starożytnych, mieściło się zejście do piekieł.

Str. 113. Rozdz. XXXIX. Ten i następny rozdział są w znacznej części tłumaczeniem z pierwszej części „Dionizosa” Lukiana.

Str. 128, w. 2. Bourgeuil.

Str. 129, w. 5. Ezechiel II, 8.

Str. 129, w. 18. *Panomfeiczne* = wróżebne.

Str. 139. Rabelais przez kilkanaście lat z rzędu wydawał, prawdopodobnie dla celów zarobkowych, almanachy takie jakich pełno miało odbyć w owych czasach. Ciekawym tedy jest dokumentem niniejsza parodia tej mądrości kalendarzowej, również jego pióra. Datuje ona z r. 1533, zatem powstała prawdopodobnie po I księdze „Pantagruela“ a przed „Gargantuą“. W tych krótkich rozdziałach mieści się, jak w załączku, wiele rysów satyrycznych, które później w wielkim dziele Rabelais'go tak wspaniale miały się rozwinąć.

Str. 139, w. 14. Olivier le Gras, astrolog uniwersytetu w Louvain, sporządzał liczne kalendarze i prognostyki.

Str. 144, w. 34. To jest: wisiał na szubienicy.

Str. 146, w. 12. „Nie ma doskonałego szczęścia na ziemi“.

Str. 146, w. 24. Aluzja do rozpalonych stosów Inkwizycji, srożące się w tych krajach.

Str. 147, w. 6. Drzewo gwajaku uchodziło wówczas za specyficzny lek przeciw syfilisowi.

Str. 148, w. 6. Arabski filozof i matematyk.

112373

Magazyn 3

Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku



001036231